PR R. 1982

W NUMERZE:

■ Co o historii myśleli wielcy Polacy ■ Z teki pośmiertnej Antoniego Kasprowicza ■ Laickie spojrzenie na Jezusa Chrystusa ■ Rozmowa o Wojskowych Grupach Operacyjnych ■ Dokąd zmierza urbanizacja ■ Co o nas myślą Węgrzy ■ Felietony, rozmowa o piłce nożnej.

W najbliższych numerach między innymi:

afrykański reportaż Andrzeja Makowieckiego, leninowska koncepcja związków zawodowych, specyfika i prawidłowości socjalizmu, cyki artykułów o politycznej myśli Józefa Piłsudskiego.

Pogodnych Świąt i przyjemnej lektury życzy Czytelnikom zespół „Odgłosów"

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 1 (1254) ROK XXV 11 KWIETNIA 1982 ROKU CENA 20 ZŁ

Crotalusy 1980

WANDA KARCZEWSKA

Oni co tego odmieniają się jak księżyce
Patrz jak przyjaźnie pełzają tego lata
łasząc się do gdańskiej rewolucji
by stać się z kolei jej pieszczochami

Oni wczoraj ci z rodziny Crotalidae
o paraliżujących trójkątnych twarzach
wbijali swoje pionowe źrenice prosto w serca słów
poetów niepokornych
dzisiaj z nich
rozkoszne rubensowskie aniołki
nawet z ich gładkich pupek tryska radość
z sierpniowej burzy tego roku

Fruwając
na przykrótkich jak na czas historyczny skrzydełkach
byle wyżej byle wyżej byle na wierzchu
być być być
śpiewają hosanny i alleluje
wolności sprawiedliwości jednej dla wszystkich
my pierwsza brygada i tak nam dopomóż Bóg
ojczyznę wolną racz nam wrócić
choć onegdaj jeszcze
portrety świętych marksistowskich
czuwały nad ich łóżeczkami
więc oni nawet pi-pi robili w przepisowym
sztandar-towym kolorze

Dziś baseniki i kałamarze z płynem o barwie rouge
są rozbite
O nie przepraszam głęboko schowane
w nocnych stoliczkach nakryj się
A nuż wypadnie je znowu wyjąć

Na czasie są służące do wszystkiego
naczynia
w kształcie hełmów górniczych i stoczniowych
I biały orzeł koniecznie w królewskiej koronie
polatuje nad ich głowami gdy grzechocą fałszywie
Boże coś Polskę
powtarzając pieśń za głośną w świecie
Capellą Gedaniensis

Boże mój
a gdzież tu miejsce na Matkę naszą Ojczyznę
codziennie przebijaną mieczami boleści

U Crotalusów
zapewne w przyogonowej grzechotce
powstałej z resztek zeschniętych wylinek[2]

listopad 1980

PRZYPISY GADOLOGICZNE:

1. *Crotalus — grzechotnik, wąż z rodziny Crotalidae.*
2. *Wylinka — zeschnięte resztki skóry lub błony gada, pozostałe przy ogonie, przy zrzucaniu poprzedniej skóry.*

Foto: M. Zajdler

Jakie „Odgłosy"

Przystępując do wznowienia wydawania „Odgłosów" zwróciliśmy się do przedstawicieli różnych środowisk z pytaniem: czego oczekują, czego spodziewają się po „Odgłosach"? Jak sobie to pismo wyobrażają?

W naszej dyskusji udział wzięli: artysta plastyk — **Wiesław Garboliński**, kierownik Wydziału Kultury KŁ PZPR — **Jerzy Gos**, historyk, publicysta — prof. dr hab. — **Andrzej F. Grabski**, dziennikarz, publicysta — **Jerzy Kwieciński**, dyrektor Wydziału Kultury Urzędu m. Łodzi — dr **Maciej Łukowski**, pisarz — **Igor Sikirycki**, pracownik naukowy Międzyuczelnianego Instytutu Nauk Politycznych przy UŁ, publicysta — **Karol J. Stryjski**, I sekretarz KZ PZPR ZPB im. J. Marchlewskiego — **Paweł Zawadzki**.

A. F. GRABSKI: — Można powiedzieć, że dziś ujawniają się dwie postawy polityczne: jedna — dogadajmy się, druga — a my wam pokażemy. Kierownictwo polityczne Łodzi kładzie nacisk na pierwsze rozwiązanie. Z tego jasno wynika formuła pisma, należy je kształtować w oparciu o socjalistyczną odnowę. Jeśli wyjdzie się z otwartym, szerokim programem angażowania ludzi do załatwiania wspólnych spraw, z programem krytycznym, ale także konstruktywnym, to wokół takiego programu można skupić na przykład większość dużych nazwisk ze środowiska akademickiego Łodzi. Przenoszenie bowiem konfliktów warszawskich, wrocławskich czy krakowskich na Łódź jest dużym błędem, który w Łodzi nie powinien mieć miejsca.

Trzeba się będzie oprzeć o środowiska politologiczne, choćby dlatego, aby kontynuować to, co „Odgłosy" kiedyś zaczęły — pogłębioną problematykę społeczną. Trzeba również sięgnąć do środowiska historyków i socjologów. Ale to są szczegóły.

Powinno się przede wszystkim wypracować model pisma. I to nie jest tylko sprawa techniczna. W zależności bowiem od tego, czym będziemy dysponować, możemy pozyskiwać do współpracy nowych ludzi. Wydaje mi się, że polityczny wymiar „Odgłosów" może iść w dwu kierunkach. Po pierwsze — może to być pismo polityczno-ideologiczne, to znaczy podejmujące problematykę ideową, oczywiście szeroko pojętą, w sposób otwarty, niedogmaty-

Znowu w kioskach

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

PRZEZ blisko 4 miesiące nie było „Odgłosów" w kioskach. Przez ten czas [illegible] zmiany cen. I choć przywykliśmy, że pisma są szybko wykupywane przez Czytelników — przyznajmy uczciwie — była to sytuacja nienormalna. Normalnie Czytelnicy powinni mieć prawo wyboru pism, które im odpowiadają, które ich interesują. Redakcje natomiast muszą starać się o pozyskanie Czytelników. W takich warunkach redagowanie gazet i czasopism jest trudniejsze. Zmusza bowiem do poszukiwań, do utrzymywania kontaktu z Czytelnikami, do uważnego śledzenia życia i reagowania na nie.

Zanim „Odgłosy" ukazały się w kioskach, wiele się o nich mówiło: że już nie będzie „Odgłosów"; że będzie to pismo społeczno-polityczne; że będzie miało inną nazwę. Pogłoski te wywołały zaniepokojenie w środowiskach twórczych, które wystąpiły z obroną tradycji piśmiennictwa kulturalno-społecznego w Łodzi, w obronie jego ciągłości. Prawdą jest bowiem, że „Odgłosy" są najdłużej ukazującym się łódzkim tygodnikiem: prawie ćwierć wieku. To musi się liczyć i między innymi dlatego „Odgłosy" znów się ukazują.

Czego od „Odgłosów" oczekują Czytelnicy, czego się po nich spodziewają? Z takim pytaniem zwróciliśmy się do przedstawicieli różnych środowisk i teraz publikujemy ich wypowiedzi na ten temat. Czy są one zbieżne z zamierzeniami i planami zespołu — niech to osądzi Czytelnik.

A jakie są nasze zamierzenia i plany?

Chcielibyśmy robić pismo, które byłoby obecne w życiu politycznym, społecznym, kulturalnym i gospodarczym. Celem naszym jest żywe reagowanie na to, co interesuje ludzi, co ich boli, niepokoi, cieszy i gniewa. Pragniemy nie tylko ukazywać to, co dzieje się w codziennym życiu, ale też współuczestniczyć w kształtowaniu poglądów i postaw.

Jednym z naszych celów jest walka przeciw temu, co przeszkadza w prawidłowym rozwoju społeczeństwa, w budowaniu i umacnianiu socjalistycznego ustroju. A nagromadziło

im. J. P. w Łodzi
ci 110587/2005

Fakty i wydarzenia z trzech miesięcy

Grudzień

W nocy z 12 na 13 stycznia ukonstytuowała się Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego z gen. armii Wojciechem Jaruzelskim na czele. Rada Państwa stosownie do jej konstytucyjnych uprawnień ogłosiła stan wojenny.

Internowano grupę ekstermistycznych działaczy KSS „KOR", KPN i NSZZ „Solidarność" oraz grupę osób odpowiedzialnych za wywołanie kryzysu społeczno-politycznego i dawnych prominentów z lat 1970—1980.

W ŁODZI

✻ Powołany został nowy zespół „Głosu Robotniczego", w skład którego weszli częściowo pracownicy macierzstej redakcji, jak też członkowie zespołów „Dziennika Łódzkiego" oraz „Expressu Ilustrowanego". Wszystkie dotychczasowe legitymacje redakcyjne utraciły swą ważność. Jedynym ważnym dokumentem identyfikacji dziennikarskiej jest zaświadczenie wydane przez redakcję „Głosu Robotniczego" po dniu 14 grudnia.

✻ 14 grudnia w kilku zakładach naszego miasta miały miejsce strajki i przestoje w pracy (Bistona, Strzelczyk, Polanil, Teofilów, Polopren w Zgierzu). Komunikacja i służby społeczne pracowały normalnie.

✻ Rada Narodowa powołała Komisję Pomocy Społecznej.

✻ Prezydium CR SD, na zasadzie paragrafu 19 Statutu z 19 XII 1981 postanowiło na mocy Uchwały Prezydium zawiesić działalność Prezydium ŁK SD i wyznaczyć Tymczasowe Prezydium ŁK SD w składzie: przewodniczący — Stanisław Załobny, sekretarz — Władysław Rzymski, członkowie — Bolesław Cisałek, Jerzy Sobczak, Barbara Włodarczyk, upoważniając je jednocześnie do podziału pozostałych funkcji we własnym zakresie.

✻ 13 grudnia Andrzej Słowik przewodniczący Zarządu Regionalnego NSZZ „Solidarność" Ziemi Łódzkiej i Jerzy Kropiwnicki wiceprzewodniczący zorganizowali i przeprowadzili w Łodzi, w siedzibie zarządu Regionu akcję protestacyjną. Nawoływali do powoływania zakładowych komitetów strajkowych i do rozpoczęcia strajku powszechnego. Za co staneli przed sądem. 30 grudnia Sąd Wojewódzki ogłosił wyrok; oskarżonych skazano w trybie doraźnym na kary po 4,5 roku pozbawienia wolności oraz pozbawienie praw publicznych na okres po 4 lata. W kilka miesięcy później dbyła się rewizja wyroku i Sąd Najwyższy podniósł karę Andrzejowi Słowikowi do 6 lat.

✻ 23 grudnia zmarł w Warszawie wybitny aktor Seweryn Butrym Artysta przez wiele bardzo istotnych w jego karierze zawodowej lat związany był z Łodzią, a przede wszystkim z Teatrem Nowym. Mieszkańcy naszego miasta pamiętają zapewne jego role w „Horsztyńskim" Słowackiego, „Henryku VI na łowach" Bogusławskiego, „Obronie Platona" Sokratesa i wielu innych interesujących spektaklach.

Styczeń

✻ 4 stycznia rozpoczęły się zajęcia w szkołach. Wszystkie organizacje szkolne ZHP, ZSMP, OHP, PTTK, PCK, Samorząd Szkolny i inne działać będą normalnie.

✻ 5 stycznia kierownik Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki podjął decyzję o rozwiązaniu Niezależnego Zrzeszenia Studentów.

✻ 17 stycznia wznowił działalność II program Polskiego Radia.

✻ 5 stycznia czciliśmy 40 rocznicę powstania PPR. W całym kraju odbyło się z tej okazji wiele uroczystości: sympozja naukowe, wieczornice, otwarte zebrania partyjne, spotkania z weteranami ruchu robotniczego. Składano wieńce w miejscach upamiętniających dzieje polskiego ruchu rewolucyjnego i robotniczego. W Warszawie odbyła się dwudniowa sesja popularno-naukowa pt. „Miejsce PPR w dziejach polskiego ruchu robotniczego". Sesja została zorganizowana przez WSNS przy KC. Uczestniczyło w niej grono naukowców. Przybyli także liczni działacze PPR z okresu okupacji i po wyzwoleniu m.in. Aleksander Burski, Zofia Jaworska, Ignacy Loga-Sowiński. Obecni byli także działacze jednolitofrontowego ruchu socjalistycznego m.in. Stefan Matuszewski i Edward Osóbka-Morawski. Ze względu na chorobę nie mógł przybyć zaproszony Władysław Gomułka. Życzenia owocnych obrad przesłał uczestnikom sesji Michał Rola-Żymierski, także nieobecny na niej z powodu choroby.

W ŁODZI

✻ Decyzją sztabu propagandowego KŁ PZPR w ramach nowej struktury partyjnej funkcjonującej w stanie wojennym powołano egzekutywę POP w „Głosie Robotniczym". W jej skład weszli przedstawiciele dotychczasowych egzekutyw POP w poszczególnych redakcjach oraz w radio i telewizji. I sekretarzem nowej egzekutywy POP w „Głosie Robotniczym" został Marek Gilanowicz.

✻ 7 stycznia wznowiło działalność Biuro Ogłoszeń Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego.

✻ 8 stycznia wznowiła działalność koncertową Filharmonia Łódzka.

✻ 10 stycznia przywrócona została w obrębie miasta łączność telefoniczna.

✻ 13 stycznia odbyło się spotkanie Prezydium Rady Oddziału Łódzkiego NOT z przewodniczącymi 19 branżowych oddziałów wojewódzkich stowarzyszeń naukowo-technicznych. Zebrani jednomyślnie podjęli uchwałę o powołaniu w województwie miejskim łódzkim Obywatelskiego Komitetu Ocalenia Narodowego.

✻ Jak co roku, w rocznicę wyzwolenia miasta spod okupacji hitlerowskiej wybitnym mieszkańcom wręczono Nagrody Miasta Łodzi.

Wśród tegorocznych laureatów znaleźli się:

— red. Jan Bąbiński — dziennikarz w Polskim Radiu, nagrodzony za całokształt twórczości dziennikarskiej i literackiej;

— prof. dr hab. Karol Dejna — kierownik katedry Historii Języka Polskiego i Filologii Słowiańskiej;

— red Wojciech Drygas — dziennikarz, satyryk, redaktor naczelny „Karuzeli", działacz społeczny;

— Krystyna Hencz — instruktor teatralny, założycielka i reżyser „Teatru 100 krzeseł" wybitny pedagog, działacz społeczny;

— Eufemia Jagielska — terenowy opiekun społeczny;

— prof. dr Marian Kryszewski — członek korespondent PAN, współorganizator Zakładu Polimerów PAN oraz Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych PAN w Łodzi;

— Józef Maciej Kononowicz — wybitny poeta i prozaik, Nagrodę Miasta Łodzi otrzymał za twórczość literacką i zasługi w dziedzinie krzewienia kultury;

— prof dr Stanisław Kuczewski — zastępca dyrektora d.s. nauki Instytutu Maszyn Przepływowych, współorganizator Lotniczych Zakładów Doświadczalnych w Łodzi;

— mgr Jadwiga Lech-Skubińska — z-ca dyrektora d.s. zaopatrzenia w Przedsiębiorstwie Zaopatrzenia Farmaceutycznego „CEFARM", nagrodzona za całokształt pracy zawodowej w dziedzinie farmakologii i za działalność społeczną;

✻ 20 stycznia odbyła się w Muzeum Historii Miasta Łodzi uroczystość z okazji 37 rocznicy wyzwolenia Łodzi. Na uroczystość przybyli goście ambasady ZSRR w Warszawie: radca-minister Wasilij Swiryn i attache wojskowy, lotniczy i morski generał-major Aleksander Chomienko.

✻ W Łodzi otwarto nową placówkę muzealną. Działalność rozpoczęło Muzeum Sportu.

✻ Znany reżyser filmowy Henryk Kluba został rektorem PWSFTviT w Łodzi. Nominację wręczył nowemu rektorowi wiceminister kultury i sztuki Eugeniusz Mielczarek. Jednocześnie na prorektora łódzkiej uczelni filmowej minister kultury powołał Zdzisława Szczepańskiego.

✻ Rozpoczęły działalność łódzkie teatry; Teatr Nowy 17 stycznia „Uciechami staropolskimi" w reżyserii Kazimierza Dejmka, 20 stycznia Teatr Powszechny przedstawieniem „Betlejem polskie" Lucjana Rydla, natomiast 23 stycznia Teatr Muzyczny wystąpił z nową premierą. Była to operetka Paula Abrahama „Wiktoria i jej huzar" w reżyserii znanego śpiewaka Antoniego Majaka. Do nowej premiery przygotowywał się także łódzki Teatr Wielki. Będzie to już druga po „Włoszce w Algierze" opera przygotowywana w oryginalnej wersji językowej „Don Pasquale" G. Donizettiego pod kierownictwem muzycznym Wojciecha Michniewskiego i w reżyserii Lecha Komarnickiego. Działają także teatry lalkowe dla dzieci.

✻ 22 stycznia około godz. 10.40 w 11-kondygnacyjnym bloku mieszkalnym przy ulicy Florecistów 20 nastąpiła silna eksplozja. W wyniku wybuchu część budynku zawaliła się. Pod gruzami zginęły dwie osoby, osiem było rannych.

✻ 25 stycznia po przerwie rozpoczęła działalność Rozgłośnia Polskiego Radia w Łodzi.

✻ W dniach 25—26 stycznia obradował Sejm PRL. Było to pierwsze posiedzenie najwyższego organu ustawodawczego w PRL w czasie trwania stanu wojennego Tematem obrad były przede wszystkim problemy dotyczące przyczyn wprowadzenia stanu wojennego. Sejm uchwalił w pierwszym dniu obrad ustawy o szczególnej regulacji prawnej w okresie stanu wojennego, dotyczącą zatwierdzenia dekretów z 12 grudnia 1981 r.

W drugim dniu obrad uchwalono „Kartę Nauczyciela" oraz dokonano zmian w składzie Rady Ministrów.

Luty

✻ 1 lutego jest pierwszym dniem z nowymi cenami.

✻ Z dwudniową oficjalną wizytą udała się do Moskwy delegacja partyjno-państwowa. Delegacji przewodniczy I sekretarz KC PZPR, prezes Rady Ministrów-gen. armii Wojciech Jaruzelski. W skład delegacji wchodzą m. in. prezes NK ZSL, wicepremier — Roman Malinowski; przewodniczący CK SD, wicepremier — Edward Kowalczyk.

✻ Decyzją Komitetu Gospodarczego Rady Ministrów z dniem 1 lutego wznowiona zostaje sprzedaż etyliny dla posiadaczy prywatnych pojazdów samochodowych.

✻ 2 lutego Telewizja Polska wznowiła nadawanie programów edukacyjnych dla szkół podstawowych i średnich.

✻ Minister spraw wewnętrznych zarządził aż do odwołania zwolnienie od obowiązku uzyskiwania zezwoleń na zmianę miejsca pobytu i zameldowania się przed upływem 12 godzin od chwili przybycia do określonej miejscowości następujące osoby:

— wzywane przez urzędy (instytucje) państwowe i spółdzielcze,

— dojeżdżające do miejsca pobierania nauki;

— wyjeżdżające z internatów akademików lub hoteli robotniczych do miejscowości stałego pobytu w dni wolne od pracy i nauki,

— w wieku powyżej lat 60;

— dzieci do lat 10;

✻ Wznowił działalność Komitet Rady Ministrów d.s. Związków Zawodowych. Poprzednio jego niektóre funkcje sprawował przez pewien czas Komitet Społeczno-Polityczny Rządu;

✻ Opublikowano propozycje Komitetu Rady Ministrów do Spraw Związków Zawodowych do dyskusji nad przyszłością związków zawodowych.

✻ 25 lutego w późnych godzinach wieczornych zakończyło dwudniowe obrady VII Plenum KC PZPR. Było to pierwsze posiedzenie plenarne KC PZPR po wprowadzeniu stanu wojennego. Postanowiono poddać pod ogólnokrajową debatę projekt działalności ideowej PZPR „O co walczymy, dokąd zmierzamy?", nawiązującej nazwą do historycznego dokumentu PPR, z której nasza partia wyrosła. Projekt rezolucji, deklaracji przedstawił sekretarz KC Marian Orzechowski. Obradom przewodniczył I sekretarz KC PZPR — Wojciech Jaruzelski.

W ŁODZI

✻ W poniedziałek 1 lutego wznowił pracę Łódzki Ośrodek Telewizyjny. Prace rozpoczynają także studia ośrodka, realizujące programy muzyczne, rozrywkowe i filmowe dla potrzeb I programu telewizji.

✻ 4 lutego odbyło się pierwsze od momentu ogłoszenia stanu wojennego plenarne posiedzenie KŁ PZPR. W imieniu Egzekutywy KŁ partii referat pt. „Zadania łódzkiej instancji partyjnej w konsolidacji i aktywizacji jej działania" wygłosiła sekretarz KŁ — Maria Wawrzyńska;

✻ 4 lutego po kilkutygodniowej przerwie ukazał się „Tygodnik Piotrkowski".

✻ 19 lutego ukazał się w kioskach pierwszy w tym roku numer „Dziennika Łódzkiego".

✻ Z okazji 64 rocznicy powstania Armii Radzieckiej, odbyła się w łódzkim Garnizonowym Klubie Oficerskim uroczystość której gośćmi byli przedstawiciele Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej.

Marzec

✻ Decyzją prezydenta Warszawy rozwiązane zostało Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich.

20 marca odbyło się w Warszawie spotkanie dziennikarzy prasy, radia i telewizji z całego kraju. Uczestnicy zebrania postanowili utworzyć nową organizację twórczo-zawodową — Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej

Przyjęto tymczasowy statut nowego stowarzyszenia oraz dokonano wyboru nowych władz. Powołano Tymczasowy Zarząd Główny. Przewodniczącym wybrano Klemensa Krzyżagórskiego.

✻ 24 marca w Urzędzie Stołecznym zarejestrowane zostało Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej

✻ W połowie marca po trzymiesięcznej przerwie powróciła na ekrany kin Polska Kronika Filmowa. Wydanie nr 1 pokazano w warszawskich kinach 12 marca i zawierało ono wyłącznie tematy krajowe.

✻ Minister spraw wewnętrznych z dniem 1 marca 1982 roku zarządził zniesienie obowiązku uzyskiwania zezwoleń na zmianę miejsca pobytu stałego i czasowego na obszarze całego kraju z wyłączeniem strefy nadgranicznej. Z obowiązku uzyskiwania zezwoleń na zmianę miejsca pobytu w strefie nadgranicznej zwolniono:

— osoby kierowane na leczenie do sanatoriów i ośrodków wypoczynkowych,

— uczestników zbiorowych wycieczek turystycznych,

— uczestników imprez kulturalnych, oświatowych i sportowych,

— osoby powyżej 60 roku życia i dzieci do lat 10.

W zakresie przepisów regulujących zmianę miejsca pobytu obywateli przywrócono stan prawny sprzed 13 grudnia ub. roku Ponadto minister spraw wewnętrznych z dniem 1 marca br. zniósł na obszarze całego kraju:

— godzinę milicyjną dla kierowców taksówek osobowych;

— obowiązek uzyskiwania zezwoleń na organizowanie kursów przez działające organizacje społeczne, jeżeli celem kursu jest przekwalifikowanie lub przygotowanie osób do pracy w określonych zawodach, a także doskonalenie zawodowe w zakresie świadczenia usług i prowadzenia gospodarstwa domowego.

✻ Minister spraw wewnętrznych z dniem 29 marca wprowadził kolejne rozszerzenie usług telekomunikacyjnych dla potrzeb społeczeństwa i gospodarki narodowej:

— uruchomienie wewnątrzwojewódzkiego automatycznego ruchu telefonicznego;

— uruchomienie sieci radiotelefonicznych urzędów wojewódzkich oraz sieci dla potrzeb służb pracujących na rzecz wiosennej akcji rolnej.

Warunkiem uruchomienia tych sieci jest złożenie wniosku przez zainteresowanych abonentów do właściwego terenowo-okręgowego inspektoratu państwowej inspekcji radiowej.

— uruchomienie telefonicznego ruchu międzynarodowego dla potrzeb instytucji, przedsiębiorstwa państwowych i spółdzielczych oraz turystyczno-wypoczynkowych na ich wniosek.

— wznowienie przyjmowania przez wszystkie urzędy pocztowo-telekomunikacyjne telegramów zagranicznych od ludności w ważnych sprawach losowych i życiowych, oraz od instytucji i przedsiębiorstw — w sprawach służbowych.

✻ W dniach 25 i 26 marca obradował Sejm PRL. W toku obrad uchwalono ustawy: o sprawach rolnych, o ochronie gruntów rolnych i leśnych, o scaleniu gruntów, oraz o nowelizacji Kodeksu Cywilnego. Sejm podjął także ustawę o zmianie Konstytucji PRL — zmiana dotyczy powołania właściwości, ustroju i postępowania Trybunału Konstytucyjnego, a także Trybunału Stanu. W końcowej części obrad podjęto uchwałę w sprawie utworzenia Rady Społeczno-Gospodarczej przy Sejmie PRL. Na przewodniczącego tej Rady Prezydium Sejmu przedstawiło Izbie propozycję powołania posła Jana Szczepańskiego. Wreszcie w drodze ustawy ujednolicony został termin upływu kadencji rad narodowych stopnia podstawowego i wojewódzkiego.

✻ W końcu lutego minęło 25 lat od powstania na wsi Związku Młodzieży Wiejskiej. Z tej okazji w całym kraju odbyło się wiele imprez.

✻ Międzynarodowy Dzień Kobiet był czczony może w bieżącym roku skromniej niż w latach ubiegłych, ale niemniej ciepło i życzliwie. Z wizytą u kobiet Żyrardowskich Zakładów Przemysłu Lniarskiego im. Rewolucji 1905 roku przebywał I sekretarz KC PZPR premier, przewodniczący Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, gen. armii Wojciech Jaruzelski.

W ŁODZI

✻ Na wniosek prezydenta m. Łodzi — Józefa Niewiadomskiego prezes Rady Ministrów powołał z dniem 1 marca na stanowisko wiceprezydenta mgr Jerzego Łapińskiego.

Dotychczas pełniący tę funkcję wiceprezydent Józef Kowalski na własną prośbę przeszedł do pracy w resorcie gospodarczym.

✻ Od 1 marca Teatr Wielki w Łodzi pracuje pod nowym kierownictwem. Dyrektorem został Sławomir Pietras, do niedawna wicedyrektor Opery Wrocławskiej.

✻ Z początkiem marca br. kilkunastoosobowa grupa reprezentantów łódzkiego środowiska naukowego i twórczego wystąpiła z inicjatywą utworzenia zespołu obywatelskiego, który zająłby się sygnalizowaniem najistotniejszych problemów o ogólniejszym charakterze i pomagał władzom w ich skutecznym rozwiązywaniu. Miałaby ona charakter konsultacyjno-opiniodawczy, ale nie dublujący działań rady naukowej przy prezydencie miasta. Inicjatywa ta spotkała się z żywym poparciem władz miasta i na zebraniu w obecności wiceprezydenta Zbigniewa Polita zawiązał się Obywatelski Klub Konsultacyjny. Do opracowania wstępnych założeń Klubu upoważniono trzyosobowy zespół w składzie: prof. dr hab. Andrzej Grabski (PAN, UŁ), dr Jan Nosko (WAM) i doc. Zenon Michalski (PWSFTviT).

✻ Przy KŁ PZPR powstał robotniczy zespół konsultacyjny. Jego powstanie wiąże się z koniecznością rozszerzenia prac instancji w oparciu o ludzi bezpośrednio pracujących w zakładach, tam gdzie znajduje się podstawa wszelkich działań partyjnych.

✻ W piątek 12 marca po prawie trzymiesięcznej przerwie ukazał się pierwszy w tym roku numer „Expressu Ilustrowanego".

✻ Rada Oddziału Łódzkiego NOT rozwiązała ŁKTiR z dniem 1 kwietnia b.r. Przypomnijmy, że organizacja ta powołana została do istnienia decyzją Rady Oddziału Łódzkiego NOT 1 grudnia 1980 r.

Redaguje zespół: Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, (z-ca sekretarza redakcji), Teresa Jerzykowska, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Jerzy Panasewicz (z-ca redaktora naczelnego), Igor Sikiewicz (kier. działu literackiego), Karol J. Stryjski, Janusz Szymański Glanc (grafik), Grażyna Szypowska (redaktor techniczny), Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny), Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler (fotoreporter).

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy" ul. A. Mickiewicza 11, kod 90-438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo doskrótów. Informacje o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP: XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 520. F-4.

IW/ZM/1571/005

Znowu w kioskach

Dokończenie ze str. 1

się przecież przez minione lata wiele mitów, wrogości, niesprawiedliwości, podziałów, błędów, nieporozumień i niewiedzy. Jest więc o co się spierać, z czym walczyć.

Do tych sporów, polemik, do wyrażania swoich poglądów zapraszamy wszystkich, którym droga jest nasza przyszłość, którzy stojąc na gruncie Konstytucji PRL chcą i mogą troszczyć się o kształt socjalistycznej Polski. Będzie bowiem naszą ambicją redagować pismo otwarte dla wszystkich środowisk Łodzi. Ale chcielibyśmy też zwracać się do autorów spoza Łodzi, podejmować problemy, które mają walor uniwersalny. Chcielibyśmy też widzieć wśród naszych odbiorców nie tylko mieszkańców Łodzi, sąsiednich województw, ale i mieszkańców dużych ośrodków w kraju.

Tworząc nasze redakcyjne plany, wychodzimy z założenia, że dziś nie można redagować pisma, które tylko budziłoby dobre samopoczucie u przedstawicieli poszczególnych środowisk, u przedstawicieli różnych szczebli władzy. Powinno ono swą działalnością budować pomost między władzą a społeczeństwem, powinno przyczyniać się do kształtowania postaw i sposobu myślenia, podejmując jednocześnie walkę z wszelkimi przeciwnościami, jakie powstają na drodze naszego społecznego rozwoju. Powinno ono przekazywać władzy to, co czuje i myśli społeczeństwo, informować o jego niepokojach i dążeniach, obawach i nadziejach. Będziemy w naszej redakcyjnej praktyce kierować się wytycznymi IX Zjazdu PZPR, który w swej uchwale stwierdził między innymi, że „jednym z najważniejszych sposobów zapobieżenia w przyszłości kryzysowi zaufania jest przywrócenie właściwego znaczenia i roli opinii publicznej".

Prezentujemy obecnie Czytelnikom „Odgłosy" w nowej szacie graficznej, którą przygotował zespół z pracowni doc. Krzysztofa Lenka z PWSSP w Łodzi. Są to więc niejako „te same „Odgłosy", ale nie takie same". Redaguje je po części zmieniony zespół. Zmienia się również grono współpracowników. W najbliższym czasie powołany zostanie Komitet Redakcyjny „Odgłosów", do pracy w którym zaprosimy przedstawicieli różnych środowisk, licząc, że pomogą zespołowi w realizacji ambitnego przecież programu.

„ODGŁOSY" wracają do kiosków — a mamy nadzieję, że i do Czytelników — w trudnym okresie. 13 grudnia 1981 roku Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego podjęła niełatwą, ale i niezbędną decyzję o wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce. Stan wojenny zahamował szerzącą się u nas anarchię i panujący chaos. Postępująca stabilizacja życia tworzy warunki dla podjęcia i przeprowadzenia prac porządkujących nasze życie. Ale stan wojenny nie zmienił automatycznie mentalności Polaków, nie przyczynił się do rozwiązania wielu problemów, które takiego rozwiązania wymagają. Nie uczynił tego, bo uczynić nie mógł.

Wprowadzenie stanu wojennego nie oznacza również powrotu do metod sprawowania władzy sprzed sierpnia 1980 roku, bo powrót do tych metod dziś jest już niemożliwy. Jeśli więc mówimy, że nie ma powrotu do tego, co było przed sierpniem 1980 roku, jak i nie ma powrotu do anarchii i chaosu sprzed 13 grudnia 1981 roku, to wynika z tego, że trzeba dziś szukać nowych rozwiązań, tworzyć nowe mechanizmy sprawowania władzy, w pełni wykorzystywać to, co daje nam demokracja socjalistyczna.

Podstawową sprawą staje się odbudowanie tożsamości PZPR, odzyskanie zaufania społeczeństwa, nawiązanie trwałej więzi z klasą robotniczą, a przez nią z całym społeczeństwem. Toczy się obecnie dyskusja nad Deklaracją ideowo-programową „O co walczymy, dokąd zmierzamy". Jest to początek odbudowywania tożsamości partii, jej konsolidacji wokół programu, który powinien spotkać się z powszechną aprobatą. W toku tej dyskusji partia powinna odpowiedzieć sobie na pytanie: do jakich tradycji całego ruchu robotniczego chce nawiązywać, jak te tradycje dziś ocenia, jak ocenia dotychczasowe doświadczenia w budownictwie socjalizmu i spełnianiu kierowniczej roli i jakie stawia przed sobą najbliższe i dalsze cele, w jaki sposób będzie rozwiązywała rodzące się sprzeczności i konflikty.

Odpowiedzi na te pytania trzeba szukać w nieustannej walce z oporną rzeczywistością. Weszliśmy właśnie w okres realizowania założeń reformy gospodarczej. Wszyscy są przekonani, że gospodarka nasza nie podniesie się z upadku, jeśli nie przeprowadzimy reformy, ale proces ten odbywa się z oporami. Realizacja założeń reformy gospodarczej napotyka na wiele przeszkód i zahamowań. Działają też stare nawyki, przyzwyczajenia, ludzkie wygodnictwo a czasem po prostu indolencja. Proces uruchamiania w gospodarce mechanizmów ekonomicznych, przywracanie prawom działającym w ekonomii właściwej roli i znaczenia musi trwać, jako że i nieprawidłowości narastały latami. Dla zreformowania naszej gospodarki potrzeba bowiem nie tylko mądrych, dobrych ustaw, ale i niezbędnych zmian w sposobie myślenia ludzi zarządzających gospodarką. A to jeszcze przed nami.

Toczy się też dyskusja o przyszłości ruchu związkowego. W procesie porządkowania spraw gospodarczych i socjalnych coraz bardziej w zakładach pracy odczuwa się brak związkowego partnera. Ludzie pytają: jakie teraz powinny być związki zawodowe? Poglądy są różne. Jedni uważają, że tylko branżowe. Inni — że różne, ale tylko w podziale branżowym, a nie terytorialnym. Są i tacy, którzy mówią o potrzebie reaktywowania „Solidarności" w dotychczasowym kształcie, ale są i tacy, którzy mówią, że w socjaliźmie w ogóle związków zawodowych nie potrzeba. Taki pogląd zwyciężył swego czasu na Kubie, ale bardzo szybko tam wycofano się z tego błędu.

Z dotychczasowej dyskusji o przyszłości ruchu związkowego w Polsce jedno wynika niezbicie: związki zawodowe, jakie nie będą i ile ich nie będzie nie mogą przekształcać się w opozycyjną partię polityczną, nie mogą być opozycyjne wobec władzy państwowej, partii, ustroju, a powinny nieugięcie bronić interesów klasy robotniczej, walczyć o jej żywotne cele.

Naszą skomplikowaną współczesność wyznacza też stosunek środowisk intelektualnych, twórczych, artystycznych do poczynań władzy. Przedstawiciele tych środowisk wybierają się niekiedy na „wewnętrzną emigrację", w różny sposób demonstrują swoją niechęć do władzy, nawołują do „biernego oporu", do „bojkotu". Autorzy tych wezwań rozumieją, że żadne społeczeństwo nie może prawidłowo rozwijać się bez udziału inteligencji, bez sprawnego działania środowisk twórczych, bez rozwoju kultury. A kultura jest dziś poważnie zagrożona przez kryzys gospodarczy. Jeśli kryzys ten cofa naszą gospodarkę o wiele lat wstecz, to czyni to samo z kulturą, zatrzymując jej rozwój. A więc troską środowisk intelektualnych i twórczych powinny być starania o utrzymanie tego, co w poszczególnych dziedzinach nauki i kultury osiągnięto, o utrzymanie bazy kultury, stworzenie takich struktur, które pozwoliłyby na dalszy jej rozwój po wyjściu z kryzysu. Tego „wewnętrzną emigracją" i milczeniem się nie osiągnie.

W okresie ostrej walki politycznej opozycja wykorzystywała historię dla dyskredytowania współczesności. Mogła tak czynić, gdyż w ukazywaniu naszej przeszłości robiliśmy liczne błędy, unikaliśmy wielu tematów, pokazywaliśmy je ułamkowo, oświetlaliśmy jednostronnie, jakby proces stawania się naszej współczesności był zawsze bezkonfliktowy, prosty, uładzony. Jednostronnie i niepełnie uczyliśmy młodzież historii i przeciwnik polityczny wykorzystał ten fakt podsuwając młodym nowe mity, fałszywe i niepełne interpretacje, wchodząc bezceremonialnie na obszary przez nas zaniedbywane. Jest więc wiele i w tej dziedzinie do odrobienia. Jest wiele kart w naszej historii, wiele postaci z przeszłości, a dotyczy to również stu lat polskiego ruchu robotniczego, które trzeba dziś ukazać w pełnym blasku i świetle. Żaden naród nie będzie się bowiem właściwie rozwijał nie będąc dumnym ze swojej przeszłości, wstydząc się jej i nie umiejąc krytycznie jej ocenić.

Są to tylko niektóre z problemów kształtujących obecną rzeczywistość, z konieczności szkicowo zarysowane, które będą przecież wyznaczały redakcyjną działalność, pozwalały na formułowanie programu bliskiego życiu i Czytelnikom. Liczymy w naszej pracy na przychylność Czytelników!

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Jakie „Odgłosy"?

Dokończenie ze str. 1

czny, inspirujący dyskusję. I druga sprawa. Przypominam dawne „Odgłosy", z czasów przedwczorajszych. Bywała w nich wprawdzie publicystyka społeczno-polityczna o charakterze przede wszystkim interwencyjnym, ale zawsze brakowało konsekwencji w jej kontynuowaniu. Było bowiem tak, że publicystyka społeczno-polityczna, odnosząca się do konkretów regionalnych na ogół spotykała się z torpedowaniem przez instancje polityczne lub administrację, z prostego powodu, ponieważ pokazywała m. in. ich nieudolność. I trzeba sobie powiedzieć wyraźnie — jeśli „Odgłosy" mają być nośne społecznie, nie mogą zrezygnować z tego typu tematów.

J. KWIECIŃSKI: — To jest ogromnie ważne. Publicystyka — mówiąc najprościej — interwencyjna jest warunkiem docierania pisma do najszerszego odbiorcy. Przede wszystkim do środowisk robotniczych, bo tam jest czytelnik, na którym powinno nam zależeć najbardziej.

Ważne jest, żebyśmy zaczęli bez wewnętrznych zahamowań. I to jest dla nas jedyna droga, a sprzyjają nam te wszystkie przemiany modelu władzy, jakie dokonują się przez uchwalenie najnowszych aktów prawnych, które zmierzają do tego, żeby nasze życie społeczne toczyło się prawidłowo.

Chciałbym także poruszyć sprawę tematyki kulturalnej w „Odgłosach". Otóż sądzę, że nie można traktować kultury czysto instrumentalnie. To byłby powrót do dawnych, najgorszych praktyk. Trzeba traktować kulturę jako dobro, które służy wzbogacaniu wrażliwości estetycznej i moralnej człowieka, w oparciu o niekwestionowane pryncypia socjalizmu.

K. J. STRYJSKI: — Otwarta, szeroka formuła pisma stworzy możliwość wykorzystania potencjału intelektualnego szeroko rozumianych środowisk. Jednocześnie będzie szansą integracji środowiskowej. Tutaj myślę nie tylko o poszczególnych środowiskach twórczych, intelektualnych i naukowych, ale o roli pisma jako łącznika między tymi środowiskami a bardzo szeroko rozumianym społeczeństwem.

Łódź, czy ktoś chce czy nie chce, jest w podwójnym uwarunkowaniu: z jednej strony stanowi centrum dla makroregionu, i to — niezależnie od granic administracyjnych — funkcjonuje w jedną i drugą stronę. Ościenne województwa oddziałują bowiem także na Łódź. To dwustronne uwarunkowanie jest szansą dla problematyki, którą pismo będzie podejmowało.

A. F. GRABSKI: — Jeśli „Odgłosy" miały potknięcia w swojej dawniejszej formule, to w moim przekonaniu dlatego, że po prostu nie bardzo się poruszało szeroko rozumianej sfery ideologicznej. A wydaje mi się, że mamy możliwości wypowiadania się w tych sprawach w sposób nowoczesny i otwarty. To w nowej formule pisma trzeba sobie wyraźnie powiedzieć. Trzeba prezentować problemy o największej nośności ideowej dotyczące historii, socjologii czy literatury współczesnej.

J. GOS: — Trzeba tu zaznaczyć, że „Odgłosy" nie będą jedynym czasopismem w Łodzi. Zostanie wznowione wydawanie kwartalnika „Osnowa", nad jego profilem prowadzone są w tej chwili dyskusje. Jedna z koncepcji — to podjęcie problematyki kulturalnej, ale uprofilowanej wyłącznie na pracę wśród młodych. Oczywiście nie miałoby to nic wspólnego z „Nowym Wyrazem".

Istnieje również koncepcja wydawania w Łodzi czasopisma periodycznego w formie cyklu edytorskiego. Nad jego profilem trzeba będzie jeszcze dyskutować.

M. ŁUKOWSKI: — Mamy przed sobą dylemat: co zrobić, żeby „Odgłosy" były pismem czytanym i popularnym, a jednocześnie akceptowanym przez środowiska Przed mniej więcej dwoma miesiącami odbyła się dyskusja na temat, jakie powinny być łódzkie pisma kulturalne. Były różne koncepcje, ale generalny wniosek był jeden: jeśli chcemy, żeby „Odgłosy" były pismem mającym znaczący głos w sprawach kultury, to musimy problem regionalizmu odsunąć zdecydowanie na bok To znaczy, musi to być pismo ogólnopolskie nie dlatego, że tak się będzie nazywać, tylko ze względu na sposób, w jaki będzie się kulturą zajmować. Muszą więc być na przykład recenzje z ważniejszych wydarzeń plastycznych czy teatralnych z całego kraju. Trzeba wkalkulować w model pisma wysyłanie recenzentów, żeby coś zobaczyli, żeby coś opisali i wtedy nie będzie tylko odnotowywania spraw wyłącznie łódzkich. Taki wybór wydarzeń kulturalnych powinien być naturalną polityką pisma. W konsekwencji takiej polityki, w dalszym etapie powinni zacząć współpracować z pismem ludzie, których nazwiska będą gwarantować sposób patrzenia na sprawy łódzkie w pełni obiektywny, ponadregionalny. Jest to założenie bardzo optymistyczne i niewątpliwie trudne do przeprowadzenia, ale sądzę, że pierwszy jego etap leży wyłącznie w gestii redakcji. I jeszcze jedno — pisma o kulturze nie można traktować w sposób wyłącznie kronikarski, musi to być publicystyka i to bardzo szeroko pojmowana. Wiąże się z tym problem kręgu współpracowników z terenu Łodzi. Nie jest to sprawa nowa, listę nazwisk ludzi z kręgu interesującego się kulturą można spokojnie wymienić od razu i nie popełni się omyłki. Prawdą jest natomiast, że nie istnieje zaplecze w tym zakresie. W efekcie nie istnieje żaden system wychodzenia z problematyką kulturalną na łamy pism pozałódzkich. Moim zdaniem, taki system jest niezbędny po to, aby łódzka problematyka kulturalna znalazła właściwe miejsce na łamach czasopism ogólnopolskich. Jeśli „Odgłosom" udałoby się taką formułę wypracować, to redakcja zjednałaby sobie zarówno nowych współpracowników, jak i poszerzyłaby krąg czytelników.

I. SIKIRYCKI: — Nie rozpoczynamy niczego od nowa. Trzeba się liczyć z tym, że spadną na nas konkretne obowiązki. Byli przecież wierni czytelnicy tego pisma, miało ono swoich sojuszników. Docierało na przykład do bibliotekarzy, było czytane przez nauczycieli. Są to środowiska, których nie możemy pozostawić. Są nam nadal potrzebni sojusznicy, zarówno wśród twórców, autorów, ale przede wszystkim wśród odbiorców. Chciałbym tutaj przytoczyć przykład „Życia Literackiego". Nie chcę szukać żadnych wzorów, bo nigdy nie udaje się wierne naśladownictwo. Jest jednak faktem, że jest to pismo, w którym była i jest cała Polska. Więc nie miejsce, w którym ukazuje się pismo, decyduje o jego randze i zasięgu.

„Odgłosy" powinny spełniać jeszcze jedną funkcję, której, niestety, nie udało im się w pełni zrealizować. Muszą w przyszłości jak najszerzej zaprezentować wszystkie środowiska twórcze. Nie może to być tylko prezentacja okazjonalna, przypadkowa.

Trzeba by się również zastanowić, czy pismo nie powinno się zajmować debiutem poetyckim. Dzisiaj bowiem z wielu względów, nadzieja młodego twórcy na wydanie tomu poezji odsuwa się coraz dalej.

W. GARBOLIŃSKI: — Przypominam sobie chyba dwie czy trzy dyskusje w redakcji „Odgłosów" z przedstawicielami różnych środowisk, kiedy to były stawiane właściwie te same problemy. Zawsze jednak kończyło się na dyskusji i pobożnych życzeniach, a w życiu później było zupełnie inaczej Pismo było lokalne, poruszało tylko sprawy lokalne, ale nawet jeśli poruszało sprawy ogólnopolskie, to w sposób mało interesujący. Istnieje jednak niebezpieczeństwo, że jeśli „Odgłosy" będą poświęcały łamy problemom ogólnopolskim, to w małym procencie będą mogły pisać o sprawach łódzkich. Jest jednak wyjście: pisanie o problemach łódzkich w aspekcie kultury ogólnopolskiej, a wtedy wyjdą one poza zasięg regionalny. Niezależnie od drażliwości i wrażliwości łódzkiego środowiska twórczego, trzeba być konsekwentnym w postępowaniu i prezentować tylko te wydarzenia kulturalne, które mają rangę ogólnopolską. Jest więc możliwość łączenia dwu spraw szalenie ważnych: służebnej roli pisma w stosunku do kultury łódzkiej w powiązaniu jej z szerokim aspektem ogólnopolskim.

Szukając współpracowników „Odgłosy" powinny częściej sięgać do środowisk twórczych. Wśród artystów plastyków są przecież ludzie, którzy potrafią dobrze pisać. Mogłyby to być refleksje na temat samej twórczości, procesu tworzenia. Tacy autorzy potrafią napisać i opowiedzieć o rzeczach, które nie każdy może odczytać z ich obrazów czy grafik. Tak poszerzony krąg współpracowników może pomóc podnieść atrakcyjność i rangę pisma.

P. ZAWADZKI: — Moim zdaniem, o obliczu pisma nie decyduje podtytuł, a treść oraz adresat. Dzisiaj w kioskach widać, że ceny kształtują rynek czytelniczy. Istotne jest więc pytanie, kto to pismo będzie robił. Mam tu na myśli i zespół redakcyjny, i współpracowników. Myślę jednak, że oblicze pisma będzie zależało od zespołu redakcyjnego, od talentu autorów, ostrości spojrzenia, dociekliwości i konsekwencji. Jednego reżysera się ogląda, innego — nie, jednego autora się czyta, drugiego pomija.

Równie istotna jest sprawa, do kogo pismo ma być adresowane. Istnieje przecież w Łodzi ogromne środowisko — robotnicze. I dla mnie podstawowym problemem jest, ile egzemplarzy „Odgłosów" będzie ze swoją treścią trafiało do robotnika, a nie tylko, przepraszam, do środowiska literackiego, plastycznego, itd. Toteż sądzę, że oprócz poszukiwań współpracowników ze środowisk twórczych czy naukowych, należałoby szukać inspiracji wśród załóg robotniczych, pytać o odbiór pisma, o zapotrzebowanie, szukać problemów i tematów dotykających bezpośrednio ludzi pracy. Wtedy będzie po co wyjąć te 20 złotych na kupno „Odgłosów".

J. GOS: — Ja też myślę, że nie możemy w profilu pisma tygodniowego pominąć specyfiki Łodzi jako regionu z silnym środowiskiem wielkoprzemysłowej klasy robotniczej. Ta specyficzna dla Łodzi, a jakże ważna problematyka, stwarza dla „Odgłosów" dodatkową szansę pozyskania czytelników spoza naszego regionu. I tej szansy nie można zaprzepaścić.

K. J. STRYJSKI: — Istnieje konieczność programowego zespolenia problemów kultury i problemów społecznych: zespolenie zjawisk kulturowych i pokazanie ich w kontekście całokształtu życia społecznego, pokazanie mechanizmów wzajemnego oddziaływania.

A. F. GRABSKI: — Nie przypominam sobie w „Odgłosach" żadnej dyskusji problemowej związanej np. z wystawą okręgową, z nowymi koncepcjami, jakie się na niej pojawiły, nie przypominam sobie żadnego omówienia problematyki muzycznej z punktu widzenia modelu muzyki oferowanego w Łodzi. Po prostu brakowało publicystyki problemowej. Jeżeli mamy mówić o funkcjonowaniu rzeczywistej kultury, to trzeba przede wszystkim pokazywać problemy, a nie odfajkowywać indywidualne wystawy, wyłącznie sylwetki twórców.

K. J. STRYJSKI: — Istotne jest jeszcze jedno. Dzisiaj ważne jest zwracanie uwagi, na ile zjawiska ekonomiczne, bo przecież mamy reformę gospodarczą i problem będzie jeszcze trwał długo, rzutują na problemy społeczne, jakie rodzą problemy, jakie rodzą sprzeczności interesów, jak generalnie odbijają się na pracy zespołów, na warunkach pracy i życia ich załóg. Ta problematyka znajdzie odbiorcę nawet bez ciągotek skandalizujących. Będzie ona uogólniać opinie, które w społeczeństwie funkcjonują i funkcjonować będą.

J. KWIECIŃSKI: — Trzeba zdawać sobie sprawę, że dzisiejszy czytelnik, po burzliwych wydarzeniach ostatnich lat przeobrażających świadomość i postawy społeczeństwa, jest inny, niż dawniej. Inne są dzisiaj jego aspiracje i wymagania wobec pisma. Pozyskanie czytelników jest dzisiaj zadaniem trudnym.

W. GARBOLIŃSKI: — Sądzę, że jeżeli „Odgłosy" będą łącznikiem między społeczeństwem a twórcami, jeśli będą kształtować politykę kulturalną, to spełnią nie tylko pożyteczną rolę, ale staną się pismem interesującym, czytanym przez społeczeństwo, które tym samym będzie niejako współuczestniczyć w procesie tworzenia. Najdoskonalszą bowiem formą upowszechniania sztuki jest taki model, w którym społeczeństwo jest nie tylko odbiorcą sztuki, ale współuczestniczy w jej tworzeniu. A współuczestnictwo to kształtowanie opinii i poprzez tę opinię wywieranie wpływu na twórczość.

Opracowała: BOGDA MADEJ

Foto: S. Czekalski

Pomóc samym sobie

Rozmowa z płk mgr Edmundem Jasiukiewiczem zastępcą szefa do spraw politycznych Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego w Łodzi

— Towarzyszu pułkowniku, nasza dzisiejsza rozmowa miała się odbyć przed 13 grudnia ub. roku. Od tego czasu minęły trzy miesiące. Czy w nowych warunkach, jakimi jest stan wojenny w kraju, prace Wojskowych Grup Operacyjnych uległy jakimkolwiek modyfikacjom i zmianom?

— Odpowiem na to pośrednio. Nasze środki masowego przekazu sporo pisały, mówiły, przedstawiały społeczeństwu tak zwany materiał na temat pracy Wojskowych Grup Operacyjnych. Wydaje mi się, że wszystkie te materiały posiadają pewną wadę, powiedziałbym, że niejako zawężają zakres i charakter działania naszych grup operacyjnych. Zdaję sobie sprawę z faktu, że bardziej fonogeniczne i fotogeniczne jest pokazanie załatwienia jednostkowej sprawy. Jest to bardziej efektowne. Ale przecież nie jest to istotą pracy naszych grup i nie to jest najważniejsze.

Są dwa główne nurty pracy grup. Jeden — ten tak często eksponowany przez środki masowego przekazu, to jest załatwianie doraźnych, jednostkowych spraw. Ktoś, gdzieś nie dopełnił obowiązków, gdzie indziej stwierdzono bałagan w magazynie, jeszcze gdzieś nieuczciwie załatwiono obywatela, itd., itp. Jest to niejako forma oczyszczania naszego życia gospodarczego i społecznego z tych mankamentów, niechlujstwa, braków, niedostatków, niekompetencji, dyletantyzmu. Jest natomiast nurt drugi, niezwykle ważny. Tu są także niemałe osiągnięcia naszych grup. Polega to na współuczestniczeniu w budowaniu tego, co bardzo ogólnie nazywamy odnową. Przy czym chodzi tu o to, że my co najmniej w takim samym stopniu próbujemy przebudowywać świadomość społeczną, jak to czynimy w porządkowaniu magazynów i urzędów. Przy czym nie chodzi tu o jakieś szczególnie wielkie sprawy. Ot, choćby na przykład rodzaj dość powszechnej obojętności wobec mienia społecznego. Przecież pracownicy tych zakładów, mieszkańcy osiedli, dostrzegali pewnie nieprawidłowości, a jednak pozostawiono te sprawy swemu losowi.

Spotykamy się ze zjawiskiem ciągłego wzrostu wymagań od innych, a obniżania w stosunku do siebie. Na każdym niemal kroku spotykamy się z takimi faktami. Np. mieszkańcy bloku piszą stosy pism, że przed blokami w jezdni zrobiła się dziura, którą można w ciągu pół godziny naprawić własnymi środkami, kierowca samochodu robi awanturę z powodu braku jednej drobnej części, zresztą słusznie, ale jednocześnie jego samochód jako całość to obraz nędzy i rozpaczy — brud i rdza.

Dlatego ludziom, którzy do nas przychodzą, tak często zadajemy pytanie: a pan, pani co zrobili w tej sprawie, aby pomóc sobie samemu, nie czekając, aż ktoś za was to zrobi?

Wydaje się nam, że tu leżą właśnie nasze znaczne rezerwy, rezerwy tkwiące w działalności społecznej, w aktywizacji szerokich kręgów ludzi do rozwiązywania spraw i problemów leżących w granicach możliwości, a znacznie usprawniających funkcjonowanie naszego codziennego życia. Nade wszystko zaś ważne jest solidne wykonywanie swych obowiązków na każdym stanowisku i wobec innych ludzi. Stąd właśnie nasze szerokie zainteresowanie problematyką postaw społecznych i działalnością instytucji i organizacji społecznych, których ilość nie zawsze idzie w parze z jakością i efektywnością tej pracy. Właśnie ten nurt jest niedoceniany przez środki masowego przekazu.

— Sądzę, towarzyszu pułkowniku, że jest jeszcze trzeci nurt, równie ważny, jak dwa wymienione powyżej. Myślę o sympatii, jaką wojsko zyskało w społeczeństwie z chwilą wprowadzenia grup operacyjnych.

— Mówię to z pewnym zażenowaniem, ale prawda jest taka, że do naczelnika gminy ustawia się kilka osób, do naszego pełnomocnika z reguły kilkadziesiąt. Nie prowadzimy statystyki, ale sądzę, że na przestrzeni kilku miesięcy, w czasie których działają nasze grupy, przez pokoje przyjęć naszych pełnomocników w gminach, dzielnicach i miastach przewinęło się tysiące ludzi z bardzo różnymi sprawami.

Myślę, że sympatia społeczna dla żołnierzy ma swe źródło w naszej narodowej tradycji, ale sądzę także, że postawa żołnierzy dnia dzisiejszego w niemałym stopniu tę sympatię i popularność podtrzymuje. Poczucie obowiązku, dyscyplina w działaniu, życzliwy stosunek do innych — to jest to, co ludzie szczególnie sobie cenią. Może właśnie dlatego są takie kolejki do pełnomocników.

— Porozmawiajmy zatem o tych sprawach. Proszę powiedzieć, z czym przychodzą ludzie do pełnomocników?

— Absolutnie ze wszystkim: poczynając od spraw mieszkaniowych, poprzez konflikty wewnątrzrodzinne, aż do spraw ogólnospołecznych. Jest to najlepsze świadectwo naszej popularności. A co ważniejsze, zaufanie do nas nie słabnie, co wynika ze zwiększającej się z dnia na dzień ilości zgłaszających się do nas ludzi.

— Proszę zatem swoją wypowiedź podeprzeć konkretnymi przykładami.

— Proszę bardzo. Dzielnica Łódź-Widzew. Jedna ze spraw zdawałoby się, dla nas nieistotnych, ale dla zgłaszającego ją do nas — ważna. Otóż 80-letnia staruszka prosi, by uspokoić jej krewkiego sąsiada mającego psa, który to pies zakłóca spokój w domu. Inni proszą o pogodzenie małżonków, żony żądają, by odzwyczaić ich mężów od picia wódki, mężowie proszą pełnomocnika o spowodowanie, by żona powróciła od kochanka do domu. Często zgłaszają się po pomoc inwalidzi, ludzie upośledzeni przez wiek, itp. Ludzie zwracają się do nas jako do ostatniej instancji, która może im pomóc. Często w nadchodzących listach piszą wręcz, że w nas pokładają jedyną swoją nadzieję, że urzędy odmawiają im pomocy. Jednak najwięcej spraw dotyczy mieszkań: zdarza się, że dziennie do jednego pełnomocnika przychodzi kilkudziesięciu mieszkańców.

Obserwujemy pewną tendencję, dość niezdrową, polegającą na tym, że niektórzy zgłaszający się do naszych grup operacyjnych, usiłują załatwić swoje prywatne, często wykraczające poza normy prawne, sprawy i interesy. Otrzymujemy także bardzo dramatyczne listy, które natychmiast badamy. Niestety, okazuje się niejednokrotnie, że sytuacja nie wygląda tak źle, że autor listu nie do końca miał świadomość, co można dzisiaj zrobić i na ile możemy mu pomóc. Ludzie liczą na to że a nuż się uda. Oto konkret: otrzymaliśmy list z więzienia, w którym syn prosi nas o otoczenie jego matki opieką, gdyż on został aresztowany, a staruszka została sama, bez środków do życia. Zbadaliśmy sprawę okazało się, że synalek przez wiele lat nie pracował, pozostając na utrzymaniu matki, że z chwilą, gdy trafił do więzienia, kobieta naprawdę odetchnęła. Na co liczył? Ano na to, że skoro jego sprawą zajęła się grupa operacyjna, będzie to jakaś tam okoliczność łagodząca w czasie trwania prowadzonego przeciwko niemu procesu karnego. Mówię o tym dlatego, że jakże często właśnie tego typu sprawy odciągają nas od tych ważnych, istotnych i słusznych. Bierze się to zapewne stąd, że dla nas wszystkie sprawy, w momencie ich zgłoszenia, są jednakowo ważne i każdą z nich rozpatrujemy wnikliwie i z uwagą. Dotyczy to także spraw zgłaszanych przez instytucje i organizacje. Jeśli mogę na łamach „Odgłosów" wystąpić z apelem, to prosiłbym Czytelników, by wykazywali więcej społecznego zrozumienia, gdyż i bez tego w naszym kraju, w naszym województwie spraw do rozstrzygnięcia jest ciągle bardzo wiele.

Inne przykłady: w gminie Nowosolna ob. Ozimek wywłaszczyła Spółdzielnia „Uranium" z jej 1,5 ha gospodarstwa, zostawiając jej 0.30 ha i pozbawiając kobietę dojazdu za swoje budynki. Wywłaszczenie nastąpiło dwa lata temu, ale Ob. Ozimek dotąd nie otrzymała za swoją ziemię pieniędzy. Oczywiście i tę sprawę załatwiamy. Przykład kolejny: wykup gruntów przez ob. Szczepańskiego, młodego, 20-letniego gospodarza. Sprzedano mu 12 ha, pomijając trzy wcześniej złożone podania przez innych rolników, którzy także ubiegali się o tę ziemię. Ludzie poczuli się skrzywdzeni. No cóż, tę sprawę także wzięliśmy w swoje ręce i spowodujemy, że owe 12 ha zostanie podzielone na równe części.

A teraz przenieśmy się na łódzkie podwórko. Oto w dzielnicy śródmiejskiej część domów nie ma centralnego ogrzewania i jest opalana węglem. Ludzie z odpowiednimi zaświadczeniami, przychodzą do punktu skupu, a kierownik nie chce z nimi rozmawiać i wysyła ich po węgiel do kopalni. To już nie jest niemożność, a zwykłe chamstwo, z tym też trzeba walczyć. Albo taka sprawa: przeciekające dachy. Mamy ponad 500 skarg i naprawdę czasem nie wiemy, jak to „ugryźć". Umowy zawarte pomiędzy Przedsiębiorstwem Gospodarki Mieszkaniowej a wykonawcami są tak formułowane, że są korzystne jedynie dla wykonawców, a nie dla PGM. A cieknących dachów przybywa z roku na rok.

— Towarzyszu pułkowniku, dość dużo mówimy o sprawach ludzkich. A przecież wasze grupy operacyjne wchodzą także na tereny przedsiębiorstw, spółdzielni, zakładów pracy. Jak tam wygląda?

— Nie najlepiej. Posłużę się znowu przykładami. Oto Przedsiębiorstwo Terenowe Budownictwa. Otrzymaliśmy stamtąd rozpaczliwy list od pracowników, dotyczący marnotrawstwa urządzeń. Pojechaliśmy. Na niezabezpieczonym terenie leży 40 żurawi budowlanych, każdy w cenie 1.800 tys. zł, o udźwigu 80 ton. Owszem, żurawie te obecnie nie są przydatne dla budownictwa wielkopłytowego, mają za mały udźwig. Więc co mają tak stać, aż stoczy je rdza? Szukamy więc wspólnie sposobu wykorzystania tego sprzętu, aby nie zmarnować społecznych środków.

W widzewskim SKR do dziś nie są przygotowani do robót wiosennych. Część sprzętu w czasie zimy uległa zniszczeniu, do tego niebywały bałagan, beztroska. Po naszej interwencji prezesa odwołano ze stanowiska, odwołano także jego zastępcę. Ale my do SKR jeszcze powrócimy, sprawdzimy poczynania nowych władz. Jeśli zajdzie potrzeba, wystąpimy z kolejnymi wnioskami dyscyplinarnymi.

Innym przykładem niegospodarności są dwa przedsiębiorstwa mieszczące się przy ul. Zakładowej: Przedsiębiorstwo Budownictwa Rolniczego i Przedsiębiorstwo Robót Inżynieryjnych i Melioracyjnych Budownictwa Rolniczego. W obu zniszczony park maszynowy, straty sięgają milionów złotych. W obu samochody ciężarowe w 50 procentach nadają się do kasacji. Oczywiście, nie jesteśmy powołani do karania, więc sprawy przekażemy właściwym organom. Ale w całej tej sprawie jest jeszcze inny aspekt: Otóż wychodzimy po takich kontrolach zdegustowani, nieraz wręcz przerażeni ludzką beztroską, brakiem poczucia odpowiedzialności, niegospodarnością.

Przykłady niegospodarności spotykamy też i u osób prywatnych, rolników indywidualnych. Zastajemy w polu maszyny rolnicze, które tam rdzewieją i ulegają dewastacji. Na pytanie, dlaczego nie zabrano tych maszyn jesienią do szopy, rolnicy odpowiadają, że przecież wkrótce otrzymają nowy sprzęt, więc starego nie opłaca im się przechowywać. Niestety, tu nasza władza nie sięga, nie możemy wnioskować o ukaranie takich gospodarzy, bowiem sprzęt jest ich własnością prywatną i mogą z nim robić, co chcą. W ogóle z rolnikami bywają kłopoty, jakich nie da się przewidzieć. Obecnie na Widzewie powstają sołectwa i trwa akcja wyboru sołtysów. A sołtys — to intratne stanowisko. Więc trwają istne kampanie agitacyjne. Nie dalej jak w ubiegłym tygodniu, w jednym z sołectw przedsiębiorczy człowiek, nie posiadający ziemi, o mało nie został wybrany. I nikt jakoś się nie zastanawiał, że kandydat nie ma nic wspólnego z rolnictwem.

Podałem tu szereg przykładów negatywnych zjawisk w naszym życiu być może dlatego, że *taka jest rola grup operacyjnych*, polegająca na odkrywaniu zła i jego likwidacji. Tropiąc zło, co jest naszym głównym zadaniem, spotykamy się w naszym działaniu z wielością zjawisk pozytywnych, budujących, napawających optymizmem. W naszym województwie jest wiele wzorowo wręcz pracujących zakładów i instytucji, są wysokiej klasy dyrektorzy i kierownicy, ofiarne, zgrane załogi i kolektywy pracownicze, bezprzykładnie ofiarni działacze społeczni. Są to siły, które napędzają mechanizm naszego życia. Jest ich wiele, myślę, że trzeba te wartości z równym pietyzmem pielęgnować, jak z pasją zwalczać wszystko to, co hamuje i przeszkadza nam w osiąganiu nakreślonych celów. Sądzę, że dotychczas zbyt łatwo godziliśmy się z istniejącym obok nas złem i zbyt oczywiste i normalne było dla nas to, co jest dobre, przez co nie docenialiśmy i ludzi, i spraw naprawdę na to zasługujących.

— Towarzyszu pułkowniku, czy nie jest tajemnicą liczba wojskowych grup operacyjnych działająca w naszym województwie?

— Zasada jest taka: w każdej dzielnicy i w każdym mieście wydzielonym działa grupa operacyjna, a w terenie na dwie gminy przypada jedna taka grupa.

— Z boku wygląda to tak: wojsko, zamiast swojej podstawowej funkcji, jaką jest obrona ojczyzny, wyręcza w pracy administrację...

— Uważam, że to, co robimy, jest także obroną naszej ojczyzny. Umacnianie państwa, usprawnienie gospodarki, integracja społeczeństwa — są to przecież nieodzowne składniki siły obronnej państwa. W naszej szczególnej sytuacji rola wojska przybrała odpowiednie do niej formy działania. To co robimy dziś dla kraju, nie dzieje się wcale kosztem osłabienia naszej gotowości do obrony granic Ojczyzny, a nawet tę funkcję armii jeszcze bardziej umacnia. Przecież nasze grupy operacyjne interweniowały tysiące razy, załatwiliśmy i rozstrzygnęliśmy setki tysięcy problemów. To dużo. Ale to także jedna z form szeroko podjętej obronności. A w ogóle to jesteśmy po to, aby pomagać ludziom. Być może kiedyś historycy zajmą się tym tematem i ocenią go właściwie.

— A jakie są wasze odczucia? Czy według was, ludzi w mundurach, spełniliście powierzone wam zadania? A mówiąc językiem wojskowym: czy wykonaliście rozkaz?

— Myślę, że odpowiedź na to pytanie daje każdy dzień naszej pracy, utwierdzając nas w przekonaniu, że byliśmy i nadal jesteśmy potrzebni w dzielnicach, miastach, gminach. Bowiem ilość spraw wcale nie maleje, a wręcz wzrasta. Województwo miejskie łódzkie liczy około 1.200 tys. mieszkańców. My, załatwiając sprawy doraźne, uruchamiamy niejako czynniki społeczne w różnych środowiskach, szukamy tam sojuszników, zaszczepiamy w ludziach poczucie odpowiedzialności. Jesteśmy świadomi, że wszystkich spraw nie załatwimy ze względu na szczupłość liczbową grup operacyjnych, a także na fakt, że będąc żołnierzami nie posiadamy rolniczych, administracyjno-prawnych czy, powiedzmy, melioracyjnych kwalifikacji. Dlatego tak potrzebni są nam sojusznicy, aktyw społeczny, ludzie dobrej woli, prawdziwi patrioci. Chcemy przekonać, że w naszym kraju działając praworządnie, można rozstrzygnąć wszystkie problemy. Oczywiście do tego potrzebny jest upór i zaangażowanie.

Wojskowe Grupy Operacyjne włączają się do pracy organizacji społecznych, takich, jak Polski Komitet Pomocy Społecznej, Polski Czerwony Krzyż, itp., organizacji młodzieżowych, politycznych, służymy pomocą i wiedzą Podstawowym Organizacjom Partyjnym. Jesteśmy wszędzie tam, gdzie powstają Osiedlowe Komitety Odrodzenia Narodowego, a jest ich coraz więcej. Tak więc jesteśmy wszędzie tam, gdzie potrzebna jest pomoc. Zresztą wojsko nigdy nie stało z boku spraw społecznych czy gospodarczych kraju. Z drugiej strony, nie chcemy wyręczać innych, nie chcemy wykonywać pracy za innych.

— Teraz zadam pytanie jakie chciałem zadać na początku naszej rozmowy: co było bezpośrednią przyczyną powołania Wojskowych Grup Operacyjnych?

— Przez półtora roku nasza gospodarka zmierzała ku katastrofie. Upadały autorytety. „Solidarność" atakowała władzę, władza natomiast przejawiała zupełną wobec niej bezradność. Jedynym autorytetem pozostawało wojsko. Ten autorytet był i jest nadal autentyczny, z wojskiem polskim zawsze łączono takie hasła jak patriotyzm, uczciwość, bezinteresowność, wysokie morale. Dlatego, też w tym zamęcie politycznym, jaki nastąpił po sierpniu 1980 roku, z chwilą wprowadzenia grup operacyjnych, zostały one przyjęte przez społeczeństwo z wielkim zaufaniem, życzliwie, z jednoczesnym przekonaniem, że grupy te są nieodzowne dla ratowania gospodarki. Dziś, z perspektywy półrocznej działalności, możemy powiedzieć, że nie zawiedliśmy społecznego zaufania, choć na pewno nie rozwiązaliśmy wszystkich spraw, nie spełniliśmy wszystkich ludzkich oczekiwań.

— Kogo delegowaliście do takich grup? Czy byli to ludzie przez was specjalnie wybrani, dobrzy żołnierze i oficerowie, znakomici dowódcy, rzetelni fachowcy ze znajomością organizacji pracy, czy po prostu zadecydował przypadek?

— Oczywiście, że są to ludzie wybrani, posiadający określone walory moralne, umiejętności organizacyjne, o dużym zasobie wiedzy, gdyż czekała ich dość specyficzna praca, daleko odbiegająca od spraw wojskowych. Przy czym są to ludzie życiowo doświadczeni, znający problemy społeczne, dobrzy fachowcy. Przypomnę, że wojsko polskie zawsze żyło problemami społecznymi, zawsze byliśmy blisko życia całego narodu, stąd nasze grupy operacyjne potrafiły tak szybko opanować nową dla nich problematykę. A gdyby mi przyszło określić zadania Wojskowych Grup Operacyjnych, to powiedziałbym, że chcemy jako Polacy pomóc Polakom, pomóc samym sobie. Nie bez pokrycia istnieje powiedzenie, że „lud z wojskiem a wojsko z ludem". I to udowadniamy obecnie.

— Dziękuję za rozmowę.

Foto: M. Zajdler

Rozmawiał:
EUGENIUSZ IWANICKI

Węgierskie refleksje

KAROL JÓZEF STRYJSKI

Byłem na Węgrzech krótko przed 13 grudnia 1981 roku. Dziś, jak i przed wprowadzeniem stanu wojennego, Węgry, ich przeszłość i teraźniejszość budzą w nas żywe zainteresowanie. Stąd i moja śmiałość, aby zaprezentować polskiemu czytelnikowi kilka refleksji z podróży po Węgrzech jako materiał do przemyśleń i dyskusji.

1

W samolocie, którym wracałem do kraju, przeważali Polacy. Głośni, zadowoleni. Jechali w odwiedziny do swoich domów. Pracują na Węgrzech, na polskich budowach. Węgrzy mówią, że pracują dobrze. Tak zresztą, jak wszędzie za granicą.
Opowiadał mi węgierski znajomy, że jesienią 1981 roku przyjechał do robotników polskich, pracujących w województwie czarngrodzkim, delegat „Solidarności", aby organizować tam związek. Władze węgierskie na to przystały, ale gdy na węgierskiej budowie polscy robotnicy wpadli na pomysł zorganizowania strajku solidarnościowego z krajem — ostro zaoponowały.
— Albo strajk, albo powrót do Polski — powiedziano pomysłodawcom. Zostali i nie strajkowali. Bo i po co? Tym bardziej, że uwagi zgłaszane pod adresem węgierskich pracodawców zostały przyjęte, a postulaty spełnione.
Pracują więc dalej. Co jakiś czas odwiedzają rodziny w kraju, dowożąc im różne rzeczy, o które u nas trudno. Kłopotów z zakupami ani w Segedzie, ani w Budapeszcie nie ma. Byle by tylko forintów starczyło. Wybór w istocie duży, ale ceny także wysokie.
— Ludzie nie narzekają, że drogo, że nie starcza na to czy tamto? — pytałem.
— Narzekają — przyznał mój rozmówca, sekretarz Komitetu Wojewódzkiego partii w Segedzie. — Wyjaśniamy im wówczas, że albo będziemy bardzo ostrożnie podwyższać płace, stopniowo, ale tylko na tyle, na ile nas stać, albo znikną towary z półek sklepowych, nie przymierzając, jak u was.
— U nas to nie tylko kwestia płac i cen. To też skutek wielu różnych przyczyn.
— Zgadzam się. U nas, kiedy mamy słaby rok, a zdarza się i tak, kiedy rolnictwo nie da spodziewanych plonów, robimy korekty do umów międzynarodowych, ograniczamy eksport. Najważniejsze, aby Węgrzy mieli co jeść. Skoro jedzenie nie jest tanie, to nie może go brakować.
— A my nie bardzo możemy ograniczać eksport, bo — po pierwsze: liczy się nasza stała obecność na zachodnich rynkach, a — po drugie: trzeba spłacać długi zagraniczne.
— Owszem, liczy się — przyznał mój rozmówca i dodał: — Ale de Gaulle także pragnął zbudować potęgę Francji ignorując potrzeby Francuzów. Nie wyszło mu.
Trochę upraszczał, ale jakaś racja w tym przecież była. Mieliśmy być dziesiątą potęgą świata według obietnic Edwarda Gierka. Natomiast Lech Wałęsa roztaczał przed nami japońskie miraże. Pozostały z tych obietnic kartki, konieczność regulacji cen, zamrożenie płac. Czy i kiedy dojdziemy do tego, co mają już dziś Węgrzy?

2

Za naprawę gospodarki wzięli się Węgrzy dwadzieścia lat temu. Janos Kadar nie mamił Madziarów snami o potędze. Wprost przeciwnie — zagasił zielone światło dla rozwoju tych gałęzi przemysłu, które na Węgrzech nie miały przyszłości lub ekonomicznego uzasadnienia. Była taka teza w latach pięćdziesiątych, że socjalizm to jedynie węgiel i stal. Wielkie kombinaty hutnicze budowano także na Węgrzech, a nie doceniano bogactwa, jakie daje tamtejsza ziemia. Reforma węgierskiej gospodarki zmieniła te proporcje, zniwelowała szereg innych anachronizmów, uwolniła gospodarkę z hamulców.
Miejsce zdemontowanych odważnymi, mądrymi politycznymi decyzjami ekonomicznych i organizacyjnych anachronizmów zajęły w węgierskiej gospodarce stymulatory jej intensywnego rozwoju. Równocześnie, zamiast modnego u nas od okresu manewru gospodarczego hasła poszukiwania rezerw, które wciąż skrywamy lub nie w pełni rozeznajemy, tam faktycznie do nich się odwołano.
Sięgnięto po wszystkie dostępne sposoby wzrostu wydajności. Dla przykładu — w jednej ze spółdzielni rolniczych w okolicach Hodmezovasarhely, na glebach wcale nie najlepszych, uzyskuje się dziś rekordowe plony. Przyczyna jest prosta — do ogrzewania licznych szklarni, na które postawiono zamiast uprawiać wszystko po trochu, wykorzystano wodę z gorących źródeł. Ziemia dawała liche plony, ale pod szkłem rodzą się miliony.
Tymczasem u nas od lat mówi się na przykład o wykorzystaniu miejscowych materiałów budowlanych. Od lat jednak dalej buduje się przede wszystkim z wielkiej płyty i to wciąż za mało.
Ale to, co jest charakterystyczne dla pejzażu okolic doliny Cisy, to nie tylko kombinaty szklarniane, schludne wsie, ciekawie pobudowane z czerwonej cegły, z przymusowo spadzistymi dachami. To nie tylko szyby wiertnicze, ale także to, co nazywa się tutaj — tanya (czytaj: tonio). Tanya, to samotne pośród bezkresu równiny gospodarstwa, chutory. Białe lub żółte ściany zabudowań, otoczone niskim sadem lub rosłymi, starymi drzewami. Na podwórzu stoi wysoki, skrzypiący żuraw.
Był czas, kiedy chłopi opuścili tanya. Wyprowadzali się do wsi, bliżej spółdzielni. Młodzi uciekali do miasta. Chutory opustoszały. Te samotne, jakby powiedzieć, na odludziu leżące gospodarstwa wykupują dziś i doprowadzają do pięknego stanu ludzie z miast (ziemię przejmuje spółdzielnia) Jest to moda, na którą stać nie każdego. Ale tym sposobem ocalone zostało wiele tanya dla węgierskiego pejzażu, dla kultury. A wydawało się już, że tanya będzie można oglądać jedynie na tęsknych pejzażach realistów.
Tanya to moda. Prawda, że nie dla biednych. Ale tanya to także tradycja, cząstka węgierskiego pejzażu, w którą warto zainwestować pieniądze tych, którzy je mają, aby ocalić pewną wartość od zapomnienia.
Jakże inna to moda od naszej, od tych betonowych willi, całych miasteczek daczy nad ogrodzonymi drutem brzegami jezior, lub kiczowatych „bacówek" na stokach architektonicznie zaśmieconych gór...

3

Inna refleksja z węgierskiej podróży: demokracja. Ileż to u nas dyskutowało się o niej, ile narzekało — nie pierwszy raz zresztą — że brak było więzi między „dołem", a „górą", że relacje między rządzonymi a rządzącymi zostały poważnie zachwiane, że naruszono leninowskie zasady i normy funkcjonowania władzy. Ciekawiło mnie, jak poradzili sobie z tym Węgrzy? Jak udało im się pogodzić reformę, surowe, ale obiektywne prawa ekonomiki z założeniami polityczno-ideowymi, z demokracją — od szczebla zakładu pracy poczynając?
System organizacji życia społecznego w zakładach, w których byłem, cechowała ważna i silna pozycja dyrektora. Można powiedzieć, iż występuje tam wiele cech systemu menadżerskiego. Swoboda działania dyrektora, jednoosobowo odpowiedzialnego za przedsiębiorstwo, limitowana jest zasadami zawartymi w umowie, która określa nie tylko zakres jego kompetencji, praw, ale i obowiązki, i to w sposób szczegółowy. Obowiązki te dotyczą sfery produkcji, jej wielkości i gwarancji opłacalności, poziomu i jakości świadczeń socjalnych, poziomu płac. W związku z tym, iż przedsiębiorstwo socjalistyczne to nie tylko produkcja, we wspomnianej umowie limitowane są również świadczenia, jakie ponosić będzie przedsiębiorstwo na rzecz organizacji wypoczynku załogi, z tytułu patronowania klubom sportowym, itp.
W cyklicznym odstępie czasu umowa, której sygnatariuszami są: dyrektor i załoga, jest odnawiana. Przedtem jednak następuje szczegółowe jej rozliczenie, którego dokonuje dyrektor przed przedstawicielami załogi.
Jeśli zaś chodzi o przedstawicielstwo załogi, to pełni ono funkcje doradcze i konsultacyjne wobec dyrekcji — z jednej strony, z drugiej zaś — ponosząc współodpowiedzialność za los zakładu — bierze również na siebie rolę inspiratora działań produkcyjnych i społecznych w stosunku do załogi.
W tym modelu związki zawodowe zabezpieczają interesy produkcyjno-socjalne załogi. Nie pełnią one, ani też nie zauważyłem (na przykładach zakładów, które odwiedziłem), aby wykazywały aspiracje do pełnienia funkcji politycznych.
WSPR, obok problemów ideowych, sporo miejsca w swoich programach, a nade wszystko w działaniu, poświęca sprawom produkcji, ekonomiki. Na mnie zrobiło to takie wrażenie, jakby sekretarz POP był członkiem dyrekcji, jej komisarzem politycznym. Jest to chyba skutek, a zarazem cecha bardzo obciążonego pragmatyzmem systemu organizacji produkcyjno-społecznej przedsiębiorstw węgierskich.
Trzeba przy tym dodać, iż organizacja partyjna, jak również młodzieżowa (KISZ) nie są liczebnie wielkie, choć też i nie kadrowe. Stąd szczególna odpowiedzialność przed społeczeństwem i troska, aby w niczym go nie zawieść. Z tym ostatnim związane jest również wspomniane wyżej obciążenie pragmatyzmem w działaniu partyjnym. Dyrekcja, organizacja partyjna i związkowa odpowiadają za to, aby przedsiębiorstwo wypełniało swoje funkcje, a ludziom pracowało się w możliwie jak najlepszych warunkach. Jeśli działoby się inaczej, jeśli działoby się źle, odpowiedzialność jest surowo egzekwowana.
Nasza ustawa o samorządzie jest jedną z najbardziej radykalnych tego typu w obozie socjalistycznym. Ale też popełniliśmy błąd przewlekając pracę nad tym dokumentem.
W końcu zrodziła się ona pod silną, zradykalizowaną presją społeczną. Inna więc być nie mogła. Jak będzie funkcjonować, pokaże praktyka, kiedy kraj powróci do stanu normalnego.
Pewne jest jedno, iż musi się znaleźć w praktyce produkcyjno-społecznej takie rozwiązanie w funkcjonowaniu samorządu, które nie będzie się kłóciło z literą ustawy, a zarazem takie, które gwarantować będzie właściwą relację między tym, co niezbędnie demokratyczne być musi w stosunkach panujących w sferze produkcji i podziału dóbr, a co gwarantować będzie zarazem minimum menadżerstwa. Inaczej współczesne przedsiębiorstwo nie będzie mogło sprawnie funkcjonować.

4

Budapeszt oglądałem nocą i w dzień, ale za to we mgle. Woda w Dunaju była mętna, bura. Za zasłoną mgły ledwo widoczny był po drugiej stronie rzeki Zamek i Cytadela. Reszta Budy ginęła gdzieś w zamglonym pejzażu. Za to doskonale pamiętam monumentalny pomnik wystawiony na tysiąclecie państwa węgierskiego. Konne postacie pierwszych wodzów madziarskich przywodzą na pamięć zapamiętane fragmenty historii, losy i dzieje plemion i narodów prastarej Panonii. Równocześnie przy tym samym placu, na rogu ulic Nepkoztarsasag i Dozsa Gyorgy, stoi niczym właściwie się nie wyróżniający budynek ambasady jugosłowiańskiej. W tej to ambasadzie znalazł czasowe schronienie Imre Nagy, którego historia oskarżyła i surowo osądziła za to, iż jako premier popaździernikowego rządu węgierskiego nie zrobił nic, albo niewiele w zwalczaniu kontrrewolucji.
To już najnowsze dzieje Węgier. Na jednym placu dwa, jakże odległe, epizody z historii. Do tego drugiego często wracaliśmy w rozmowach. Z jednej strony powodowani byliśmy ciekawością, chęcią poznania spojrzenia na te dramatyczne wydarzenia jesieni 1956 roku ich uczestników. Z drugiej zaś — gospodarze, kiedy rozmawialiśmy z nimi na temat sytuacji w naszym kraju, czynili często analogie między naszą teraźniejszością, a ich przeszłością. Przestrzegali przed tym, aby nasz eksperyment nie skończył się podobnie tragicznymi wydarzeniami, po których do dziś w sercach i świadomości wielu Węgrów pozostała spora zadra.
Uważam, iż polski sierpień i to co nastąpiło potem, oraz węgierska jesień 1956 roku, są nie tylko wydarzeniami odległymi w czasie, ale i w swojej politycznej konkluzji. Doświadczenia tamtego społeczeństwa węgierskiego i współczesnego polskiego są różne. Stąd i potrzeba poszukiwania rozwiązań adekwatnych do czasu i sytuacji. Nie zaprzecza to bynajmniej potrzebie wymiany poglądów tak na historię, jak i współczesność. Próbując zrozumieć innych, rozumiemy także lepiej siebie...
Łączą nas z Węgrami: historia, ustrój polityczny i przysłowia, różnią zaś — doświadczenia i współczesność. Nie różnicuje to naszych poglądów na to, co w teorii i praktyce socjalizmu winno być uniwersalne.

Foto: Stanisław Czekalski

Kandydaci na dyrektorów na szkolnej ławie

Przed 15 laty, w 1967 roku, otworzył na Węgrzech podwoje Państwowy Instytut Szkolenia Kadr Kierowniczych. Placówka ta została utworzona w ramach ONZ-owskiego programu rozwoju w oparciu o fundusz Międzynarodowej Organizacji Pracy. Jej celem było dostarczanie wyższym funkcjonariuszom gospodarczym i administracyjnym specjalistycznej i solidnej dawki wiadomości niezbędnej dla osób, które miały zająć kierownicze stanowiska w warunkach wprowadzania w życie reformy gospodarczej, co nastąpiło w 1968 roku. Było bowiem oczywiste, że w miarę wzrostu samodzielności przedsiębiorstw ich dyrektorzy będą musieli rozwiązywać coraz bardziej skomplikowane zadania wymagające gruntownej wiedzy. Ten cel nie utracił aktualności również dzisiaj, kiedy trzeba podejmować ważne decyzje w trudniejszych i bardziej skomplikowanych warunkach gospodarowania.

Instytut przygotowuje kadry dyrektorskie dla zakładów przemysłowych ministerstw i urzędów. Najważniejszym elementem systemu szkolenia są kursy, na które słuchacze zostają delegowani przez przedsiębiorstwa i odpowiednie resorty ministerialne. Przed przyjęciem na kurs „uczeń" zostaje poddany testowi psychologicznemu, który ujawnia jego inteligencję, zdolności i predyspozycje kierownicze. Na kursy przyjmuje się osoby w wieku do lat 40, legitymujące się wyższym wykształceniem i minimum pięcioletnim stażem pracy na stanowisku kierowniczym o średniej odpowiedzialności.

W ciągu roku kandydaci na dyrektorów słuchają wykładów i uczestniczą w seminariach na temat aktualnych problemów polityki zagranicznej i wewnętrznej, zagadnień dotyczących zarządzania gospodarką i kierowania przedsiębiorstwem, matematyki ekonomicznej i techniki obliczeniowej, oraz spraw o charakterze organizacyjnym. Absolwenci nie otrzymują dyplomów. Ukończenie kursu nie stanowi także gwarancji mianowania na odpowiedzialne stanowisko.

Węgierskie doświadczenia w tym zakresie wykazują, że dojrzała konieczność udoskonalenia tej formy szkolenia, ponieważ w trakcie roku słuchacze zbyt odrywają się od życia swych macierzystych zakładów. Dlatego też przewiduje się, że na Uniwersytecie Ekonomicznym im. Karola Marksa w Budapeszcie zostaną wprowadzone studia stacjonarno-zaoczne. Słuchacze będą poświęcali nauce jeden tydzień w każdym miesiącu w ciągu dwóch lat. Zmienione zostaną także formy nauczania — główny nacisk zostanie położony na samokształcenie, a nie, jak dotychczas, na wykłady i egzaminy.

Inny ważny dział węgierskiego systemu szkolenia kadr kierowniczych, to nauczanie osób już piastujących wysokie funkcje. Poczynając od pewnego poziomu każdy zajmujący odpowiedzialne stanowisko specjalista obowiązkowo musi „zaliczyć" 3—5-tygodniowe kursy, na których przede wszystkim zapoznaje się z aktualnymi problemami kierowniczej działalności. Instytut organizuje również seminaria, konferencje okrągłego stołu i inne imprezy podnoszące kwalifikacje kadry kierowniczej w różnych wybranych zagadnieniach. Ta ótka forma szkolenia stała się bardzo popularna. Udział w niej jest dobrowolny.

W 1981 roku, w jednej z powyższych form doskonalenia kadr kierowniczych w ramach instytutu wzięło udział 781 osób, a od 1967 roku — blisko 10 tysięcy.

WOJCIECH STANKIEWICZ

Jezus Chrystus — — spojrzenie poprzez stulecia

EDMUND LEWANDOWSKI

Rosnące zainteresowanie religią, obserwowane współcześnie, skłania nas do zaprezentowania Czytelnikom świeckiej interpretacji niektórych założeń chrystianizmu oraz współczesnego spojrzenia na postać Jezusa i Jego nauki.

1 Jezus Chrystus urodził się około 5 r. przed naszą erą, a zmarł ok. 30 roku. Dokładne określenie dat jego narodzin i śmierci jest niemożliwe. Wiemy, że przyszedł na świat za rządów króla Heroda Wielkiego, który panował do 4 r. p.n.e. Natomiast ukrzyżowany został w okresie, kiedy namiestnikiem rzymskim w Judei był Poncjusz Piłat, co miało miejsce w latach 26—36.
Pierwszego obliczenia czasu narodzin Jezusa dokonał w VI wieku mnich scytyjski, Dionizy Mały, na polecenie ówczesnego papieża Jana I. Niestety błędnie ustalił on datę śmierci Heroda na 754 r. od założenia Rzymu — przyjętą później za punkt wyjścia naszego kalendarza. Ale faktycznie król Herod umarł w 750 roku. Z czego wynika, że Jezus urodził się co najmniej 4 lata przed początkiem ery chrześcijańskiej.
W tym miejscu czytelnik może wyrazić zdumienie: Jeśli nie potrafimy podać dokładnego r o k u, to skąd znamy d z i e ń Bożego Narodzenia. Otóż wybrano go dopiero w IV wieku, ponieważ 25 grudnia przypada moment zimowego przesilenia i ludność cesarstwa masowo wtedy obchodziła święto narodzin niezwyciężonego słońca, związane z kultem boga Mitry. A mitraizm miał wielu wyznawców i konkurował z chrześcijaństwem o zdobycie pozycji religii światowej. O genezie święta Bożego Narodzenia najlepiej zresztą świadczy pewien list papieża Leona Wielkiego z połowy V wieku.
„Są wśród nas tacy którzy uważają, że uroczystość należy obchodzić nie tyle z powodu narodzin Chrystusa, co z powodu wschodu nowego słońca".
Papież ubolewał dalej, że ludzie przed wstąpieniem do bazyliki św. Piotra oddają pokłon dyskowi słonecznemu.
Dzieciństwo i młodość spędził Jezus w miasteczku galilejskim Nazaret, leżącym na stoku wzgórza, około 24 km na zachód od Jeziora Genezaret i 140 km na północ od Jerozolimy. Następnie być może jakiś czas przebywał i uczył się w jednym z klasztorów nad Morzem Martwym (Qumran?). Albowiem Jan Chrzciciel, zanim rozpoczął działalność publiczną, dojrzewał i uczył się gdzieś — jak to niejasno określa ewangelista — „na pustkowiu".
Gdy Jezus osiągnął wiek ok. 30 lat, skupił wokół siebie grupę uczniów, z których wybrał 12 „posłańców" (apostołów). Wędrując z nimi wygłaszał kazania moralne, objaśniał zasady religii, pomagał nieszczęśliwym i uzdrawiał chorych. Działalność tę prowadził głównie wśród biednego ludu na terenie rodzinnej Galilei (Kana, Nain, Tyberiada, Magdala, Genezaret, Kafarnaum). Początkowo zdaje się próbowali mu w tym przeszkodzić matka i bracia, gdyż mówiono, że „odszedł od zmysłów". W samym Nazarecie został przyjęty nieufnie. Ludzie byli tu zdziwieni jego sławą i zdolnościami oraz zgorszeni tym, co głosił. Rzecz znamienna: nie mógł dokonać tam „żadnego cudu" z powodu niewiary mieszkańców. Aż w końcu wypędzono go i nawet chciano zrzucić ze stoku. Opuszczając niegościnne miasteczko powiedział: *„Tylko w swojej ojczyźnie, wśród swoich krewnych i w swoim domu może być prorok tak lekceważony"*. Stąd znane powiedzenie: nikt nie jest prorokiem we własnym kraju.
Ówcześni kronikarze i dokumentaliści w zasadzie nie odnotowali historii Jezusa. Prawie wszystko co o nim wiemy pochodzi z Ewangelii i innych tekstów religijnych. Przy czym najstarsza ewangelia (św. Marka) została napisana dopiero po 70 roku kiedy od śmierci Jezusa upłynęło około 40 lat. Na tej podstawie wysunięto hipotezę, że ktoś taki w ogóle nie istniał, lecz miała miejsce „historyzacja mitu". Dziś już nikt poważny nie podtrzymuje tej koncepcji. A zresztą dokładne fakty historyczne dla wiary i filozofii są wbrew pozorom mało istotne. Można bowiem zgodzić się z następującym zdaniem Hegla:
„Egzegetycznie, krytycznie, historycznie możecie robić z Chrystusa, co chcecie; możecie również do woli wykazywać, że nauki Kościoła tworzyły się na soborach pod naciskiem takich czy innych interesów lub namiętności biskupów, albo też, że takie czy inne jest źródło tych nauk. Jest rzeczą obojętną, jakie były konkretne okoliczności tych spraw, i chodzi tylko o jedno: czym jest idea albo prawda sama w sobie i dla siebie".
Celem niniejszego szkicu jest próba syntetycznego i lapidarnego przedstawienia filozofii moralno-religijnej Jezusa. A przede wszystkim chodzi tu o ukazanie zalecanego w jego licznych wypowiedziach sposobu życia ludzkiego. Na ten temat pisano wprawdzie wyjątkowo często i dużo, ale przecież — jak to wykazywał Albert Schweitzer — ilu było autorów, tyle różnych obrazów Jezusa. Pewnie każda epoka, każde pokolenie i każdy człowiek potrzebują własnych specyficznych interpretacji w zależności od stanu ducha i kultury.

2 Posłannictwo swoje upatrywał Jezus w tym, żeby „dać świadectwo prawdzie". Uważał, iż ludzie autentycznie rozumni słuchają jego nauki i przyjmują ją. Kiedy usłyszał to urzędnik Cesarstwa Rzymskiego, prokurator Judei Poncjusz Piłat zapytał cynicznie: „Cóż to jest prawda?" I być może wzruszył przy tym ramionami.
Jaką zatem prawdę głosił Jezus? Otóż podkreślał konieczność radykalnej zmiany celu i sensu życia ludzkiego. Twierdził, że s z c z ę ś c i e c z ł o w i e k a n i e z a l e ż y o d w a r t o ś c i m a t e r i a l n y c h l e c z m o r a l n y c h. Postawił najbardziej doniosłe pytanie, jakie kiedykolwiek zadano w historii powszechnej:
„Cóż bowiem za korzyść stanowi dla człowieka zyskać świat cały, a swoją duszę utracić?"
Problem ten wymaga rozważenia szczególnie w dobie współczesnej, kiedy niektóre społeczeństwa osiągnęły stan dobrobytu i stworzyły potężne środki energetyczne, a równocześnie jednostki odczuły wzrost alienacji, osamotnienia i zagrożenia *„W miarę jak rośnie wartość świata rzeczy, zwiększa się wprost proporcjonalnie deprecjacja świata ludzi"*.
Te słowa młodego Marksa okazały się adekwatne także do krajów socjalistycznych, ponieważ przyjęto orientację na „mieć" zamiast na „być".
W rozmowie z Piłatem Jezus wyjaśnił: *„Królestwo moje nie jest z tego świata"*. Ale jeśli nie z „tego" świata to z jakiego? Świecka interpretacja którą tu prezentuję, może być następująca: Jezus ma na myśli d u c h o w e „królestwo" — w e w n ę t r z n y mikrokosmos m o r a l n y, a nie, a przynajmniej nie tylko, jakiś świat pozagrobowy czy transcendentny. Trwałe szczęście i doskonałość możliwe są, według niego, jedynie w tym zbagatelizowanym, bądź w ogóle nie dostrzeganym przez ludzi, świecie wewnętrznym — „Królestwie Bożym".
W czasach Jezusa wyznawcy judaizmu nie byli jednolici, lecz podzieleni na cztery główne ugrupowania, między którymi istniały ważne różnice doktrynalne. Warstwy wyższe, bogaci właściciele ziemscy i kapłani to przeważnie „saduceusze". Nie wierzyli oni w życie pozagrobowe i zmartwychwstanie, a także w duchy i anioły. Rywalizowali z nimi „faryzeusze", rekrutujący się z klas średnich i niższych. W przeciwieństwie do saduceuszów uznawali oprócz Biblii również tradycję ustną, a ponadto uzupełniali religię wierzeniami ludowymi w dobre i złe duchy. Wierzyli w nagrodę lub karę w życiu pozagrobowym oraz w zmartwychwstanie ciał. Bardzo drobiazgowo, lecz formalistycznie przestrzegali przepisów Tory (prawa), przywiązując szczególną wagę do publicznych i rytualnych form kultu. Dwaj spośród faryzeuszów, Nikodem i Józef z Arymatei, byli sympatykami Jezusa. Następne ugrupowanie, bliskie faryzeuszom, stanowili „zeloci" (gorliwi) i „sykariusze" (sztyletnicy), którzy łączyli fanatyzm religijny z aktywną działalnością polityczną i terrorystyczną przeciwko okupantom rzymskim. Zelotą był apostoł Szymon, a sykariuszem być może Judasz (Iskariota). I wreszcie ostatnia grupa — to „esseńczycy", żyjący w gminach komunistycznych i klasztorach, potępiający własność prywatną i wyzysk. Praktykowali zwykle poza synagogami i świątynią jerozolimską. Świat jawił im się jako arena nieustannej walki dobra i zła, ciemności i światłości, fałszu i prawdy. Oczekiwali na rychłe przyjście zesłanego przez Boga Mesjasza i zbawienie sprawiedliwych. Organizowali wspólne posiłki, podczas których błogosławili i spożywali chleb i wino. Jeden z ich odłamów przestrzegał celibatu.
Jaki był stosunek Jezusa do wymienionych wyżej ugrupowań judaizmu? Wiele wskazuje na to, że należał on do esseńczyków. Ale później występował samodzielnie z własnymi uczniami. Jezus był niezwykle krytycznie nastawiony do faryzeuszów i saduceuszów, i ostrzegał przed ich wpływami. Zarzucał im, że obnoszą się ze swoją religijnością a w rzeczywistości są obłudni, wyzyskują biednych i co innego czynią niż mówią. Sam zaś głosił zupełnie nowy typ religijności, w którym nieważne są rytuały, lecz liczą się d o b r e u c z y n k i oraz zamiary. A grzechem są także złe słowa i myśli.
Podstawą etyki judaistycznej (i chrześcijańskiej) jest dekalog, czyli „Dziesięć Przykazań". Zawiera on następujące normy moralno-religijne:
1) nie czcić innych bogów poza Jahwe,
2) nie sporządzać i nie czcić świętych rzeźb i obrazów,
3) nie wzywać imienia Boga do czczych rzeczy
4) nie wykonywać żadnej pracy w siódmym dniu tygodnia,
5) czcić ojca swego i matkę swoją,
6) nie zabijać,
7) nie cudzołożyć,
8) nie kraść,
9) nie świadczyć fałszywie przeciw bliźniemu,
10) nie pożądać żony bliźniego ani żadnej jego rzeczy.
Kościół katolicki zrezygnował z drugiego przykazania, a ostatnie podzielono na dwa, aby zachować liczbę dziesięć.
Jezus, zapytany podstępnie przez jednego z faryzeuszów, które przykazanie Tory jest największe, odpowiedział, że całe Pismo Święte oparte jest na dwóch r ó w n o r z ę d n y c h przykazaniach: miłości Boga i miłości bliźniego. A przy innej okazji podkreślał, że uczynki wobec bliźnich są zarazem uczynkami wobec Boga! Tak więc dwa najważniejsze przykazania są w istocie j e d n y m przykazaniem m i ł o ś c i w s z y s t k i c h ludzi.
Mówił Jezus: *„Przykazanie nowe daję wam, abyście się wzajemnie miłowali"*. A w innym miejscu: *„Wszystko więc, co byście chcieli, żeby wam ludzie czynili, i wy im czyńcie"*.
Jan Ewangelista w pierwszym swoim liście podkreśla, że nie można kochać niewidzialnego Boga nie kochając bliźniego — kto uważa inaczej jest „kłamcą". Miłość wzajemną uznał Jezus za podstawowy wyróżnik społeczności chrześcijańskiej!
Co to jest miłość? Jeden z najwybitniejszych psychologów XX wieku Erich Fromm pisze, że *„kochać to przede wszystkim dawać, a nie brać"*. Według świadectwa św. Pawła Jezus mówił: *„Więcej szczęścia jest w dawaniu, aniżeli w braniu"*. Niestety dziś zapomniano u nas o tych ważnych prawdach psychologicznych. Przestaliśmy uczyć własne dzieci i młodzież — na co wskazywał Aleksander Kamiński — radości dawania.
Jezus rozumiał, że ludziom dobrym nie będzie łatwo żyć w społeczeństwie. Do Apostołów mówił, że posyła ich jak *„owce między wilki"* i radził im, aby byli *„roztropni jak węże, a nieskazitelni jak gołębie"*. Jego postawa i nauka mają charakter wybitnie pacyfistyczny. Królestwo Boże — to świat miłości i pokoju, w którym ludzie mają radykalnie odmienioną osobowość.
W jaki sposób jednak osiągnąć ten stan? W tej sprawie Jezus był niezdecydowany. W jednym z pierwszych kazań mówił: *„Nie stawiajcie oporu złemu, lecz jeśli cię kto uderzy w prawy policzek, nadstaw mu jeszcze drugi"*. Ale kiedy indziej, powołując Apostołów, powiedział: *„Nie sądźcie, że przyszedłem pokój przynieść na ziemię. Nie przyszedłem przynieść pokoju, ale miecz"*. Z kolei zaś w obliczu aresztowania, gdy Piotr użył miecza, został skarcony: *„Schowaj swój miecz do pochwy; bo wszyscy, którzy za miecz chwytają, od miecza giną"*.
Jezus nie był rewolucjonistą społecznym, dążącym do przekształcenia struktury instytucjonalnej drogą przemocy. Był raczej reformatorem, który pragnie zmienić świadomość społeczną. Nawoływał do rewolucji m o r a l n e j. Z tym, że każdy winien rozpoczynać odmianę duchową od siebie samego, a nie od osądzania innych. Tym innym należy wybaczać. Ludzie natomiast postępują zwykle odwrotnie: dostrzegają „drzazgę" w oku bliźniego, a nie zauważają „belki" we własnym oku. Jest to postawa obłudna, potępiana przez Jezusa.
Pewnego razu, chcąc go wypróbować i znaleźć powód do oskarżenia, saduceusze i faryzeusze przyprowadzili kobietę przychwyconą na cudzołóstwie i spytali, jak z nią postąpić. Prawo mojżeszowe przewidywało w takich przypadkach niezwykle surową karę — ukamieniowanie. Zakłopotany Jezus schylił się i rysował palcem po ziemi. A ponieważ dalej go nagabywano, podniósł się i rzekł: *„Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci na nią kamień"*. Zaskoczeni tym słuchacze opuścili świątynię. Jezus zaś nie potępił kobiety, lecz powiedział jej: *„Idź, a od tej chwili już nie grzesz"*. W scenie tej uwidacznia się znakomita psychologia i wielkość moralna Jezusa. Bo przecież — jak słusznie twierdził Aleksy Zorba — *„wielkość to przebaczenie"*. Czy w aktach przebaczania innym i miłości bliźniego zawiera się szczęście? Moim zdaniem niewątpliwie tak, co każdy łatwo może doświadczyć. Kiedy Karenin wybaczył swej żonie, Annie, to wówczas — czytamy — *„radosne uczucie miłości i przebaczenia wrogowi napełniało mu duszę"*. W rozmowie z Wrońskim zwierzył się, iż błaga Boga, aby mu nie odebrał *„szczęścia, które wypływa z przebaczenia"*. Pisarz podzielał i chciał udowodnić biblijną tezę, że pomsta należy wyłącznie do Boga.
Jezusowa droga do Królestwa Bożego ma więc prowadzić poprzez program utopijny? Pewnie tak, gdyby reformacja była traktowana jako alternatywa rewolucji, a nie jej uzupełnienie. Hegel trafnie pisał, że nie może być rewolucji bez reformacji, gdyż na dłuższą metę przemoc zewnętrzna nie jest w stanie niczego stworzyć. Problem ten jest wyraźnie nie doceniany w marksizmie, co mści się bardzo na praktyce budowy socjalizmu.
W nauce Jezusa w zasadzie nie ma instytucji Kościoła, ponieważ był przeciwny publicznym modłom oraz demonstrowaniu religijności w synagogach i na ulicach. Tak postępują — według niego — „obłudnicy". Modlić zaś należy się samotnie, zamknąwszy drzwi „swej izdebki". I nie trzeba przy tym, jak poganie, wypowiadać zbyt wiele słów. Za odejście od tych wskazań Jezusowych zaatakował Kościół Lew Tołstoj. W kwietniu 1890 r. notował: *„Najbardziej chyba zuchwałym nieposłuszeństwem wobec Chrystusa jest nabożeństwo, wspólne modły w świątyniach i nazywanie duchownych ojcami"*. Zdaniem Tołstoja *„nauka Chrystusa polega nie na owych czarnoksięstwach, modlitwach, mszach, świecach, obrazach, lecz na tym, żeby ludzie miłowali się wzajem, nie odpłacali złem za zło, nie osądzali i nie zabijali wzajemnie"*.
Problem zgodności praktyk kościelnych z chrystianizmem niepokoił także Fiodora Dostojewskiego. W znanej powieści „Bracia Karamazow" Wielki Inkwizytor napomina Jezusa, który objawił się powtórnie w Sewilli, żeby poszedł sobie i nie przychodził więcej na świat, nie przeszkadzał Kościołowi. Albowiem ludzi męczy wolność sumienia i wolą być prowadzeni jak trzoda. Dlatego Kościół zastosował trzy siły, które mogą zniewolić sumienia dla dobra ludzkiego szczęścia: cud, tajemnicę i autorytet. Uzyskawszy wolność ludzie, według Inkwizytora, szukają prędko czegoś tak niewątpliwego, przed czym wszyscy mogliby się pokłonić. Wolność jest wartością *fascynującą* i zarazem przerażającą ich. Będąc z natury buntownikami, dążą do jej zdobycia, lecz później, ponieważ są słabi, starają się zrezygnować z niej na rzecz jakiegoś absolutnego autorytetu.
Wielki Inkwizytor poucza Jezusa, że nauka jego jest szkodliwą utopią, którą mogą przyjąć jedynie nieliczni wybrani, ale nie szerokie masy. Jeśli rzeczywiście ma on rację, oznaczałoby to, że chrystianizm — jako r e l i g i a l u d z i w o l n y c h — jest bardzo kłopotliwy i wymaga wręcz heroizmu moralnego.

3 Przed rozpoczęciem nauczania, w ciągu 40 dni kusił Jezusa na pustyni szatan. Duch ten — rzecz znamienna — określany jest w Piśmie Świętym jako *„władca tego świata"* lub nawet *„bóg tego świata"*. Ciekawe, że także Budda kuszony był przez panującego nad światem ducha pożądania — Marę, obawiającego się zagrożenia swej władzy. Jezus najpierw nie zgodził się zamienić kamieni w chleb i odparł, że nie samym chlebem człowiek żyje. Następnie nie chciał skoczyć ze świątyni dla wypróbowania, czy uchronią go aniołowie. I wreszcie odrzucił ofertę szatana uzyskania władzy nad światem w zamian za oddanie mu pokłonu. Wielki Inkwizytor z „Braci Karamazow" miał za złe Jezusowi, że nie uległ szatanowi. A sam Dostojewski sugerował, że trzeciemu kuszeniu poddał się Kościół katolicki i przez to zgubił Zachód.
Jezus twierdził, że doskonałość moralna i szczęście nie dają się pogodzić z żądzą posiadania i bogactwa. Służba Mamonie, bóstwu chciwości i skąpstwa, wyklucza czyste sumienie i spokój wewnętrzny. Nie rozumieli tego chciwi faryzeusze i naśmiewali się z niego.
Jezus i Apostołowie wyrzekli się własności prywatnej i prowadzili wspólną kasę. Skarbnikiem — mającym „pieczę nad trzosem" — był Judasz Iskariota.
Pewnego razu jakiś młody człowiek spytał, co ma robić, aby osiągnąć „żywot wieczny"? Jezus odpowiedział, że przede wszystkim winien przestrzegać przykazań i miłować bliźniego. A gdy młodzieniec stwierdził, że wypełnia to wszystko od dawna, usłyszał: *„Jeśli chcesz być doskonały, idź, sprzedaj to, co posiadasz, i rozdaj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie. Potem przyjdź i chodź ze mną"*. Wtedy, jak zapisał ewangelista, pytający *„odszedł zasmucony"*, ponieważ był bardzo zamożny. Jezus zaś powiedział do Apostołów, że bogatym trudno jest wejść do „Królestwa Bożego" i że łatwiej już *„wielbłądowi przejść przez ucho igielne"*. Wzywał on w swoich kazaniach, aby nie gromadzić dóbr materialnych, bo *„gdzie jest twój skarb, tam będzie i serce twoje"*. Chwalił Marię z Betanii, która — w przeciwieństwie do swej siostry Marty — nie troszczyła się o zbyt wiele. Nauczał, że

Sarkofag Stilichona, IV w., Sant'Ambrogio, Mediolan

nie należy, jak poganie, być nadmiernie zapobiegliwymi na przyszłość, gdyż *„dosyć ma dzień swojej biedy”*.
Po śmierci swego Mistrza Apostołowie tworzyli gminy o ustroju komunistycznym.
Obowiązywały w nich dwie fundamentalne zasady komunizmu: wspólnota dóbr i podział według potrzeb. Łukasz ewangelista tak to przedstawia: *„Ci wszyscy, co uwierzyli, przebywali razem i wszystko mieli wspólne. Sprzedawali majątki i dobra i rozdzielali je każdemu według potrzeb”*.
Nauka Jezusa Chrystusa, co warto podkreślić, wymaga zaangażowania oraz jednoznacznej postawy ideowo-moralnej. Podczas słynnego Kazania na Górze mówił: *„Niech raczej mowa wasza będzie: «Tak, tak; nie, nie». Co nadto jest, od złego pochodzi”*. Natomiast w Objawieniu św. Jana znajdujemy wołanie: *„Obyś był zimny albo gorący!”*. Jest to więc filozofia — rzec można — zdecydowanie antymieszczańska. Albowiem to właśnie chytry i zdroworozsądkowy mieszczanin sądzi, że w życiu jest tak prosto, iż prawda zawsze leży pośrodku. Drobnomieszczanin, jak to lapidarnie ujął Karol Marks, składa się z „jednej strony” i z „drugiej strony” — i taki jest we wszystkim, także w moralności.
W wielu państwach ogółem ponad miliard ludzi (ok. 25 proc. ludności świata) wyznaje religię chrześcijańską. Wydaje się więc logiczne, że gdyby wszyscy stosowali w życiu zaprezentowaną wyżej doktrynę, to stosunki w tych krajach byłyby doskonałe.
„Twierdzenie takie — pisał Hegel — *może być naszym pobożnym życzeniem, nie jest jednak prawdziwe. Religia bowiem jest czymś wewnętrznym, czymś, co jest jedynie sprawą sumienia.. Po przeciwnej stronie stoją wszelkie namiętności i żądze i aby serce, wola i intelekt przejęły się prawdą, muszą być z gruntu przetworzone. Sprawiedliwość musi się stać obyczajem, musi wejść w zwyczaj, rzeczywista działalność ludzka musi stać się działaniem rozumnym, państwo musi mieć rozumną organizację, a ta dopiero czyni wolę jednostek wolą rzeczywiście sprawiedliwą. Światło padające w ciemności wydobywa tylko barwę, ale nie stwarza ożywionego duchem obrazu”*.
A zatem sprawa nie jest taka prosta. Nie wystarczy uznawać jakieś szlachetne zasady, trzeba jeszcze przebudować na ich modłę ustrój społeczny. To zaś, jak wiemy z naszego powojennego doświadczenia, jest bardzo trudne.

4 Radykalizm poglądów Jezusa i wzrost jego popularności niepokoił władze religijno-narodowe Żydów. Jezus bowiem demaskował fałsz, obłudę i w pewnym sensie nieludzki charakter ich religii. Dlatego też przewrotnie oskarżono go o działalność polityczną i doprowadzono do skazania jako „podżegacza ludu”.
Prokurator Poncjusz Piłat łatwo zorientował się, że przyprowadzono mu niewinnego człowieka. Nie chciał go skazać — tym *bardziej, że sam nie znosił Żydów*, a szczególnie ich władz, z którymi miał ciągłe kłopoty. W końcu uległ zdecydowanej presji i szantażowi. Nie zależało mu aż tak na niewinnie oskarżonym Żydzie, aby ryzykować donos do cesarza, że toleruje buntowników politycznych.
W nieszczęściu Apostołowie opuścili swego Mistrza i uciekli. Najwierniejsze okazały się kobiety. Towarzysząc w drodze krzyżowej *„zawodziły i płakały nad Nim”*. Jezus umarł bardzo szybko, co zdziwiło Piłata. Świadczyć to może, iż był wątłej budowy. Po śmierci nie miał go nawet kto pochować. Uczynił to jakiś potajemny sympatyk — Józef z Arymatei, a pomagali mu: inny sympatyk Nikodem oraz do końca wierne kobiety.
Lew Tołstoj przeciwstawiał się tezie, że Jezus umarł za rodzaj ludzki. Myśl o odkupieniu uważał za *„jeden z najbardziej mylnych i szkodliwych dogmatów kościelnych”*. Jego zdaniem Chrystus umarł za prawdę. Ale jeśli tak — to śmierć jego nie byłaby czymś bezprecedensowym. Ilu przecież ludzi zna historia powszechna, którzy oddali życie w obronie ideałów i prawdy?! Cała wielkość Jezusa polega jeszcze na czymś innym. Otóż miał on głęboką potrzebę i świadomość konieczności cierpienia za całą ludzkość, ponieważ czuł się odpowiedzialny za wszystkich. *„Jeśli ziarno pszenicy* — mówił — *wpadłszy w ziemię nie obumrze, pozostanie tylko samo, ale jeżeli obumrze, przynosi obfity plon”*. Słowa te wybrał sobie Dostojewski jako motto. Święty starzec Zosima mówił do Aloszy Karamazowa: *„Oto mój testament: w cierpieniu szczęścia szukaj”*. A główny bohater Dymitr powiada bratu, że *„wszyscy są za wszystkich odpowiedzialni”*. Nie mamy niestety tej świadomości, lecz chętnie i odruchowo zrzucamy winę na innych.
Interesująco i pięknie pisał Nazim Hikmet Ran:

„Życie nie lubi żartów.
Winieneś żyć z ogromną powagą,
na przykład — jak wiewiórka szara.
To znaczy — nie oczekując nic od życia
ani spoza życia;
znaczy: życie to wszystko, o co winieneś
się starać.
Życie masz brać na serio.
Do tego stopnia, tak bardzo serio,
że na przykład:
pod ścianą,
z rękami związanymi na plecach,
albo w laboratorium
w białym kitlu, wielkich okularach,
powinieneś umrzeć za ludzi.
Za ludzi, których twarzy nie widziałeś nawet,
choćby cię nikt do tego nie zmuszał,
choćbyś wiedział,
że najpiękniejsze jest i najprawdziwsze—
życie.
To znaczy:
życie masz brać tak poważnie,
że mając lat siedemdziesiąt, oliwkę — na
przykład — zasadzisz.
Nie po to tylko, by rosła dla żony dla dzieci,
lecz dlatego, że w śmierć nie wierzysz,
choć boisz się śmierci.
Dlatego, bo życie przeważa na szali”.

Wiadomo bowiem, że znajomość dziejów dawnych i spraw tak domowych jako i postronnych, u mędrców poczytana za matkę cnoty i mistrzynię życia, nie mniejsze jako filozofia rodzajowi ludzkiemu przynosi korzyści. Bo lubo filozofia naucza cnoty i drogę do niej wskazuje, silniejszym jednak historia staje się bodźcem do wielkich przedsięwzięć i czynów. Tamta zagrzewa tylko i pobudza do dzieła — ta dzieło już spełnione przedstawia, ukazując wszelakie przykłady męstwa, roztropności, powagi obyczajów, pobożności i wiary i dozwalając je rozważać jakby w zwierciadle i żywym obrazie ludzkiej ułomności. Kształci ona i największą napełnia rozkoszą nie tylko uczeńszych, ale i pospolitych ludzi, już nie przepisami i nauką, nie rozprawami, lecz obrazem czynów i przymiotów znakomitych mężów, wiodąc do umiłowania cnoty, a razem zaszczytów i chwały: składa się bowiem z dziejów ludzi wielkich i pamiątek spraw najsławniejszych.
(...) Przez czytanie bowiem dziejów, cudzą pracą skreślonych, dochodzimy do poznania rzeczy najpiękniejszych i możemy w krótkiej chwili obeznać się ze sprawami długich wieków i równie tajemnymi jak i publicznymi dziełami. Tym sposobem człowiek młody i wiekiem kwitnący może przewyższyć starców, posiadających wiadomości jednego, który przeżyli wieku, albo im przynajmniej wyrównać, gdy swój umysł zbogaci nauką najwyborniejszą, w obrazie spraw i działań i znajomości dzieł dawnych zawartą, a nie z jednej głowy, ale z wielu piór i dowcipów jak z najdonośniejszego źródła płynącą.

JAN DŁUGOSZ

(1415—1480 — historyk, dyplomata, wychowawca synów Kazimierza Jagiellończyka, kanonik krakowski, arcybiskup lwowski).

Na nic jednak nie przydałoby się wysławianie dawności historii oraz rozmiaru jej, cały świat ogarniającego zasięgu, gdyby jednocześnie nie była ona w najwyższym stopniu i wszechstronnie pożyteczna. Sama tylko jałowa i bezpłodna dawność rzadko tylko podoba się komuś na dłuższy czas; dopiero wówczas zasługuje na osobliwy szacunek, gdy dzięki swej niewyczerpalnej płodności zdolna jest do wydawania obfitych owoców. Otóż z tych rzeczy, które zostały albo zrodzone przez naturę, albo stworzone przez geniusza sztuki, najpożyteczniejsza ze wszystkich jest dla rodzaju ludzkiego z pewnością historia. Słusznie możesz ją nazwać drugim dla ludzi słońcem życia. Ludzie zawsze byli przeświadczeni o tym, że słońce, owo potężne oko wszechświata, jest władcą rzeczy pożytecznych dla rodzaju ludzkiego; stąd też liczne narody oddawały mu cześć jako Bogu, aczkolwiek pod różnymi formami i nazwami. Lecz zaiste słońce nie przynosi większej korzyści ciału ludzkiemu, niż historia ludzkiemu umysłowi. Słońce jest światłem świata, a historia światłem prawdy. Słońce zachowuje życie na krótko, a historia przechowuje życie na bardzo długo i w pewnym sensie czyni je nieśmiertelnym.

JOACHIM PASTORIUS

(1611 — 1681 — historyk, profesor i rektor gimnazjum w Elblągu i profesor gimnazjum akademickiego w Gdańsku).

Fałszować bowiem historię (którą najznakomitsi historycy wciąż z błędów wywodzą, i wciąż nic innego nie czynią, jak sprawdzają) wydawa mi się logicznie dziełem nieustannie praktykowanym, jeżeli nie dziełem nieuniknionym! Nadto, godzi się jeszcze i to uważyć, że fałszujący historię ze złą intencją mają tę piękną stronę, iż ufają i świadczą o dwóch prawdach zbawiennych, a arcymało przez niefałszujących używanych, czyli: że oni wierzą, iż historia jest siłą, i oni wiedzą, że historię nie tylko stanowią wiarygodne zbiorowiska nagich faktów, ale i pojęcia, jakie naród o swej własnej wyrabia historii. Dwie prawdy znakomite i mimowolnie świadczone — przynajmniej przez tych, którzy fałszują historię.

CYPRIAN NORWID

(1821 — 1883 — poeta, filozof).

Obok naukowego celu, historia każdego narodu ma jeszcze wobec tego narodu osobne, niepospolite zadanie. Każdy naród w życiu swoim i rozwoju korzystać może i powinien przede wszystkim z wyników nauk społecznych i politycznych, które mu wskazują drogę, prawa i środki działania. Na tym jednak nie można poprzestać. Ogólne wyniki nauk nie dadzą się wprost i w tenże sam sposób zastosować do każdego narodu i państwa, muszą ulec pewnym, przewidzianym zresztą nieraz w nauce, zboczeniom i wyjątkom, bo każdy naród i państwo posiada pewne warunki, zasoby i dążenia, które jego indywidualność stanowią. Otóż zadaniem jest historii, ażeby stosując ogólne naukowe zasady do przeszłości tego narodu, nakreślić jego charakter, jego warunki i zasoby, jego wybitne kierunki i dążenia, ażeby mu uwydatnić te naukowe zasady, które w jego rozwoju i życiu większą niż w rozwoju innych narodów odgrywają rolę, ażeby mu te zasady i prawa widomie postawić przed oczy. O zadanie to może się zresztą praca historyczna zupełnie nie troszczyć, może o nim zupełnie zapomnieć — spełni je zawsze bezwiednie (...) Już Cycero powiedział: historia est magistra vitae, tylko że historia, nie ujęta w karby umiejętności, nader często dała się nadużywać i zamiast do nauki, do obałamucenia umysłów służyła.

MICHAŁ BORRZYŃSKI

(1849 — 1935 — profesor, historyk prawa, członek Akademii Umiejętności).

Otacza nas zewsząd przeszłość!
Nasze zwyczaje i uprzedzenia, zasady i wierzenia, uczucia i temperament, w dalszym ciągu — instytucje polityczne i prawne, poglądy moralne i estetyczne, w końcu nasze systemy filozoficzne, wszystko to w rozwoju dziejowym tworzy jedną zwartą kategorię — podłoża historycznego.
Podłoże owo powstawało w ciągu wieków: jak w archiwum, każda epoka pozostawia tam coś w spadku. Nawet czasy bardzo odległe istnieją wciąż jeszcze jako przeżytki w sferze zwyczajów naszych i przesądów. Dzień wczorajszy występuje w całej rozciągłości, pęta nasze ruchy, powstrzymuje nasze dążenia podyktowane przez dzisiejszy układ stosunków społecznych. Żyjemy otoczeni wiekami ubiegłymi i skrępowani. W naszym własnym jestestwie, w naszej jaźni wewnętrznej, plączą się nici zadzierzgnięte w duszy nieznanych praojców. Gdybyśmy zechcieli zanalizować głębiej czyny swoje codzienne i pociągi, gdybyśmy poddali rozbiorowi uprzedzenia, myśli i uczucia lub rozejrzeli się we własnym otoczeniu i zapytali o początek zwyczajów i norm postępowania, to zrozumielibyśmy, jak dalece rządzimy się nie własnym rozumem, lecz rozumem przodków. Cokolwiek twierdzono by o naszej niezależności, jesteśmy niewolnikami dziadów i pradziadów. Ci spoczęli od dawna w grobie, czas przetrawił i rozwiał ich szczątki, lecz dzieło ich żyje jeszcze: jako powijaki krępujące ręce i nogi nasze w niemowlęctwie, obezwładnia mózg ciężarem wiedzy niepotrzebnej, jak nauka łaciny i greki, każe, jako owemu szyldwachowi na pustym placu, stać na jakimś zbytecznym posterunku. Więź zwyczajów i poglądów, stosunków i urządzeń, nawyknień i pociągów ogarnia nas i trzyma w posłuszeństwie.

LUDWIK KRZYWICKI

(1859 — 1941 — socjolog, publicysta, działacz społeczny, popularyzator socjalizmu w Polsce).

Kolizje pomiędzy historykiem-naukowcem, a historykiem-kapłanem są oczywiste. Kolizje te wynikają nie tylko z moralizatorskich (a nie poznawczych) obowiązków kapłana, lecz także, a nawet przede wszystkim, z zasadniczej odmienności historycznego problemu naukowca. Kapłan wychodzi z zapotrzebowania, jakie ma współczesny ruch społeczny, do jakiego sam należy. On zapytuje, czym jest przeszłość dla jego współczesności. W przeszłości szuka on moralnych wzorów dla teraźniejszości, a czasem, gdy chodzi o kapłanów nowych religii społecznych, w przeszłości, w wielkich postaciach historycznych szukają oni moralnego uzasadnienia i uświęcenia dla tych ruchów. Szukają czcigodnych przodków, którzy by świadczyli o starożytności ruchu. Historyk-kapłan kształtuje wielką postać historyczną taką, jaką ona powinna być z punktu widzenia teraźniejszego zapotrzebowania, podczas gdy zadaniem historyka-naukowca jest przedstawienie wielkiej postaci historycznej z punktu widzenia tego, czym ona była dla jej współczesności.
Duszpasterstwo historyczne zmienia charakter zainteresowania historyka dla wielkich indywidualności. W przeszłości szuka on sankcji moralnej i uwznioślenia dla dążeń i aspiracji teraźniejszości. Duszpasterze-historycy interesują się także buntownikami, ale przeważnie jako wzorami do uległego i biernego naśladowania, a nie jako przykładami na to, że bunt indywidualności ludzkiej przeciw krępującym ją więzom — to drożdże historii. Każdy kapłan jest przedstawicielem swojego Kościoła i ma tendencję do tego, aby wielkiego człowieka zrobić świętym swojego Kościoła. Z natury kapłaństwa wynika, że kapłani zazwyczaj nie widzą różnicy pomiędzy buntem przeciw sekciarstwu a tworzeniem nowej sekty. Ścieśnić wielkość indywidualności, a podnieść wielkość swojego Kościoła, anektując wielkość dla Kościoła — to metoda, za pomocą której wielkie postacie historyczne oddaje się w służbę teraźniejszości. W ten sposób przekreśla się prawdziwy historyczny sens wielkości człowieka.
Wielkość historyczna człowieka polega na przezwyciężeniu tendencji do zamykania się grup w sobie, do kastowości, do sekciarstwa. A tymczasem jakże często duszpasterstwo historyczne szuka w wielkości sankcji dla sekciarstwa, dla izolacji, dla sztucznych granic dzielących człowieka od człowieka.

JÓZEF CHAŁASIŃSKI

(1904—1979 — socjolog, profesor Uniwersytetu Łódzkiego i Warszawskiego, członek Polskiej Akademii Nauk).

Sądzę, że pseudokrytyczne szyderstwa, niby — intelektualne drwinki z naszej historii, będące zresztą w istocie rzeczy czystą kpiną z prawdy historycznej, czystą brednią — powinny zniknąć na zawsze z naszego repertuaru. Komu leży na sercu sprawa kształtowania postaw życiowych ludzi w tym kraju, ten nie powinien nigdy — pod groźbą uzyskania efektów przeciwnych do zamierzonych — pozwalać sobie na pewne rzeczy.
Nie wolno idiotyzować przeszłości narodu, przedstawiać jej jako ciągu czynów pozbawionych sensu i świadczących o naiwności i braku rozsądku naszych przodków. Nie wolno wykoślawiać w ten sposób obrazu dziejów, opinii o narodzie. Prowadzi to mniej czy bardziej skutecznie do zaszczepienia ludziom pogardy i wstrętu do własnego narodu, prowadzi do rozwijania nihilizmu narodowego.
Nie wolno ogłupiać ludzi wykrętną interpretacją historii. Nie wolno łgać w żywe oczy wbrew temu, co ludzie wiedzą lub czego łatwo dowiedzieć się mogą. Człowiek, częstowany co chwila dość dowolną interpretacją faktów, postaw, wartości niegdyś utrwalonych, dochodzi w końcu do mniejszego czy większego kryzysu duchowego, do „trzęsienia ziemi” i rychło czuć się zaczyna nabitym w butelkę, oszukanym i oszukiwanym. Nie bacząc na to, gdzie w końcu racja, traci wszelką orientację moralną i pozostaje twardo jedynie przy tym, co dla niego jest bezpośrednio sprawdzalne i najłatwiej zrozumiałe, a więc najbliższe i zarazem najprymitywniejsze. Własną doraźną korzyść, własny prymitywny interes najłatwiej odróżnić, zidentyfikować, a najtrudniej przeinaczyć i „zinterpretować”. Na gruncie osobistego tylko interesu szuka więc wówczas człowiek niezbędnego mu dla równowagi poczucia trwałości, stałości poglądów, szuka kryteriów moralnych — „najpewniejszych” i jakże zarazem ubogich, przyziemnych, społecznie bezużytecznych.
Nie wolno wydrwiwać bojowych czynów przeszłości, czynów i faktów, w których znalazły wyraz wartościowe postawy psychiczne, niezbędne człowiekowi dnia dzisiejszego, a także człowiekowi przyszłości, niezbędne społeczeństwu przez tego człowieka tworzonemu — socjalizmowi. Nie można kpić z ofiarnej ideowości — umiejętności przełożenia interesu ogólniejszego, społecznego, narodowego nad doraźny, osobisty. Nie można kpić z gotowości działania, z aktywności społecznej, z dążności do rozstrzygania problemów życia społeczeństwa i narodu własnym wysiłkiem, bez oglądania się na to, czy ktoś to zamiast mnie (czy nas) zrobi.
Nie można kpić z odwagi i męstwa w działaniu w słusznej sprawie, z gotowości ponoszenia ryzyka — nawet ryzyka pomyłki w metodach działania — i z umiejętności mężnego wystawienia siebie na niebezpieczeństwo utraty zdrowia i życia — gdy potrzeby podjętej walki o ideał tego wymagają.
Nie należy więc wybrzydzać się na kosynierów i powstańców, szwoleżerów i ułanów, Ordonów i westerplatczyków, a także na księcia Pepi, na tysiąc mniej czy bardziej jaskrawych wzorów patriotycznej ofiarności i mężnej aktywności, jakich dostarcza nasze tysiąclecie. Nie należy — jeśli się nie chce obrzydzić i ośmieszyć w ludzkich oczach wszelkich ideowych postaw i wszelkiego aktywnego działania w szerszym niż osobisty, społecznym interesie. Nie wolno tego robić — jeśli się chce kształtować ludzi zdolnych wziąć udział w zmianie kierunku rozwoju świata, zdolnych przebudować swój kraj i kulę ziemską, ludzi — świadomych twórców swego losu i losu społeczeństwa, ludzi socjalizmu.
Szyderstwem z wysiłków wszystkich pokoleń przeszłości — wysiłków nawet nieudanych czy źle ulokowanych, ale ożywionych szczerą wiarą w celowość walki i ofiary dla przyszłości — nie wychowa się ludzi socjalizmu, ludzi, którzy mają być źródłem i podmiotem historycznego działania. Wychowa się bierny przedmiot procesów historycznych, ciasnych egoistów, porażonych obojętnością, tchórzliwych i uległych.

ZBIGNIEW ZAŁUSKI

(1926 — 1978 — pułkownik LWP, pisarz, publicysta, działacz polityczny).

Historia

— co to jest? do czego służy? co wielcy Polacy myśleli o nauce zajmującej się naszą przeszłością.

Historia znów stała się popularna, wzbudza zainteresowanie powszechne, a i bywa wykorzystywana do nie najlepszych celów. Mieliśmy w ubiegłym roku aż nadto dowodów na takie manipulacyjne, służące określonym celom politycznym, bardziej do dzielenia społeczeństwa niż budowania jego świadomości historycznej, poczucia wartości narodowej, dumy z tej przeszłości. Warto więc dziś zacząć trudny proces przywracania historii jej właściwej wartości, roli i znaczenia w życiu społecznym i politycznym. Będziemy w piśmie wiele miejsca poświęcać omawianiu różnych dziedzin naszej przeszłości, różnych jej minionych bohaterów. Dziś prezentujemy poglądy Polaków z różnych okresów naszych dziejów na historię i sądzimy, że zainteresują one Czytelnika i pobudzą refleksję na temat nauki zajmującej się naszą przeszłością i jej znaczenia w życiu każdego narodu.

REDAKCJA

Pow— szedniość i święto teatru

JERZY PANASEWICZ

Pauza w życiu teatralnym wywołana wprowadzeniem stanu wojennego trwała w istocie w Łodzi, jaki w całym kraju zresztą, doprawdy bardzo krótko Najwcześniej wznowiły działalność sceny lalkowe, potem zaczęła koncertować filharmonia, w ślad za nią otworzyły podwoje dla publiczności teatry dramatyczne i muzyczne.

Pierwsze premiery mieliśmy już w styczniu i na początku lutego. Serię rozpoczął Teatr im. Tuwima widowiskiem jasełkowym „Bóg się rodzi, moc truchleje" w reżyserii Aleksandra Strokowskiego, Teatr im. Jaracza — iżby nie być gorszym — na swojej filialnej Scenie 7.15 wystawił tedy przygotowane przez Jana Skotnickiego widowisko „Hej kolęda, kolęda". Doliczając wcześniejsze „Betlejem polskie" Lucjana Rydla w Teatrze Powszechnym ni stąd ni zowąd zaczął się nam tedy kroić mały festiwal jasełkowy, zwłaszcza że i PTL „Arlekin" miał na afiszu „Herody" w reżyserii Jana Dormana.

Repertuarową monotonię złamał dopiero Teatr Nowy wystawiając musical Wojciecha Młynarskiego „Wesołego powszedniego dnia" z muzyką Jerzego Derfla, w reżyserii i choreografii Tadeusza Wiśniewskiego. Spektakl jak spektakl, nie bez wdzięku, pełen uroczych piosenek, ale dramaturgicznie — mimo zabawnego wyjściowego pomysłu — okrutnie rozłażący się w szwach, co zdaje się być jednym z grzechów głównych współczesnej polskiej dramaturgii. Autorzy, nawet ci mający coś do powiedzenia, nader rzadko potrafią dziś skroić sztukę wedle dobrych, starych wzorów, z ekspozycją, perypetiami i finałem, co ongiś należało do abecadła rzemiosła, a i współcześnie — przypomnijmy oszałamiające powodzenie przyprawianych na musicalową modłę sędziwych fars Feydeau — podoba się publiczności. A z publicznością trzeba się jednak liczyć, im bardziej bowiem rosną ceny, im szybciej znika ze statystycznych kieszeni osławiony „nawis inflacyjny" tym większe niestety pustki panują na widowni, choć może nie na każdej jeszcze...

I to będzie chyba jedna ze spraw, które w najbliższym czasie musimy podjąć, obawiam się natomiast, że poczciwy obyczaj recenzowania wszystkich premier „jak leci", bez wychylania nosa poza łódzkie podwórko, bez jakiejkolwiek próby wyznaczania hierarchii problemów niesionych przez daną sztukę czy daną inscenizację — radzi nie radzi odłożymy do lamusa. Oczywiście wiem, że każdy się starał, każdy czeka na dobre — a w ostateczności choćby i złe — słowo recenzenta, prawdziwie demokratyczny może być wszelako jedynie dostęp do teatru, natomiast sama instytucja teatru jest w pewnym sensie zaprzeczeniem demokracji.

Ktoś gra Hamleta, ktoś grabarza, ktoś snuje się jedynie w tłumie dwóraków, komuś biją brawa, komuś nie, jakiś zespół cieszy się wypełnioną po brzegi widownią, inny duka kwestię po kwestii do pustych krzeseł i ziewających bileterek. Tak było, tak jest, tak będzie, są spektakle ważne i mniej ważne, są przedstawienia pozostające w pamięci choćby przez to, że budzą sprzeciw, są inne, letnie jak kaloryfery w pełni zimy. Przeto i my — co zapowiadam nie bez lęku, czując jak gwałtowne narodzić się mogą sprzeciwy — niektórym z premier poświęcać będziemy bardzo wiele, ale za to innym niepomiernie mniej uwagi. Nasza sympatia do teatru niezgłębiona jest jak ocean, iżby jednak spróbować kiedykolwiek go przepłynąć nie możemy niestety zawijać do absolutnie wszystkich portów.

Dziś — po trosze na zasadzie wyjątku, a także dla zapełnienia dokumentacyjnej luki — spróbujmy kontynuować wszelako przegląd minionych premier.

Teatr Muzyczny wystąpił z operetką Abrahama „Wiktoria i jej huzar" w reżyserii Antoniego Majaka, ze scenografią Jerzego Michalaka, choreografią Włodzimierza Traczewskiego. Kierownictwo muzyczne sprawował Mieczysław Wojciechowski.

Teatr Wielki w języku włoskim zrealizował operę komiczną Gaetano Donizettiego „Don Pasquale". Reżyseria — Lech Komarnicki, kierownictwo muzyczne — Wojciech Michniewski, scenografia — Taimaraz Murwanidze.

I znów wracamy do Teatru im. Tuwima, który w reżyserii Karola Obidniaka, ze scenografią Jerzego Groszanga, kostiumami Jolanty Oźminy-Iwaniuk wystawił „Gości Hotelu du Parc" Karola Obidniaka i Józefa Wędrychowskiego, kolejną — po musicalu Młynarskiego — premierę współczesną.

Trzecią taką premierą, ba, prapremierą nawet, był „Szeryf Brandy" Feriduna Erola i Romana Gorzelskiego z muzyką Bogdana Pawłowskiego i Jacka Skubińskiego, utwór nawiązujący do pamiętnego „Łezternu", niestety niepomiernie słabszy, pozbawiony nawet cienia dramaturgicznej konstrukcji.

Panowie i panie — pytał co prawda Karol Irzykowski w recenzji z „Południcy" Staffa — *czymże jest tak zwana całość? Nie ma dramatu, który by przy analizie nie okazał się źle zbudowany, naciągnięty lub niedociągnięty, nieprawdopodobny. Dobrze zbudowane są tylko panie uczęszczające na premiery oraz sztuki Bernsteina i innych Francuzów. Co może dać poeta? Błyskawice."*

Błyskawic jednak także nie było, jedynie efekty pirotechniczne oraz — bądźmy sprawiedliwi — sporo doskonałych, acz nie w pełni wykorzystanych, inscenizatorskich, scenograficznych i muzycznych pomysłów. Inscenizacja — Feridun Erol, reżyseria — Feridun Erol i Barbara Fijewska, scenografia — Jerzy Michalak, kierownictwo muzyczne — Bogdan Pawłowski.

Interesującą premierę „Jednorożca z gwiazd" Willama Butlera Yeats'a na Małej Scenie Teatru im. Jaracza będziemy recenzować oddzielnie. W najbliższych dniach — premiery „Męża i żony" Fredry w Teatrze im. Tuwima i „Wielkanocy" Strindberga na Dużej Scenie Teatru im. Jaracza.

Wreszcie przypomnijmy na koniec, iż 27 marca obchodzony był jak co roku Międzynarodowy Dzień Teatru. „Srebrne Łódki" — nagrody za najwybitniejsze przedstawienia — w kategorii teatrów muzycznych otrzymała zrealizowana w Teatrze Wielkim przez Marię Fołtyn „Maria Stuart" Romualda Twardowskiego, zaś w kategorii teatrów dramatycznych — „Trans-Atlantyk" Witolda Gombrowicza w adaptacji i reżyserii Mikołaja Grabowskiego przygotowany przez Teatr im. Jaracza. Nagrody aktorskie — „Srebrne Pierścienie" — przypadły Teresie May-Czyżowskiej za rolę tytułową w „Marii Stuart" i Janowi Peszkowi za rolę Gonzala w „Trans-Atlantyku".

Centralne obchody Międzynarodowego Dnia Teatru odbyły się tym razem w Łodzi. Hanna Małkowska i Kazimierz Dejmek w obecności członka Biura Politycznego, I sekretarza KŁ PZPR T. Czechowicza, ministra kultury i sztuki J. Tejchmy, oraz licznie przybyłych przedstawicieli środowisk naukowych i twórczych dokonali odsłonięcia pomnika Leona Schillera autorstwa A. Biłasa, który stanął w pasażu imienia wielkiego artysty teatru.

Pamięci Schillera poświęcona też była sesja popularno-naukowa prowadzona przez prof. dr S. Kaszyńskiego.

Ludziom sceny przekazujemy spóźnione życzenia, laureatom — gorące gratulacje. I niechaj łaskawy duch Schillera patronuje łódzkim, a także i wszystkim polskim scenom.

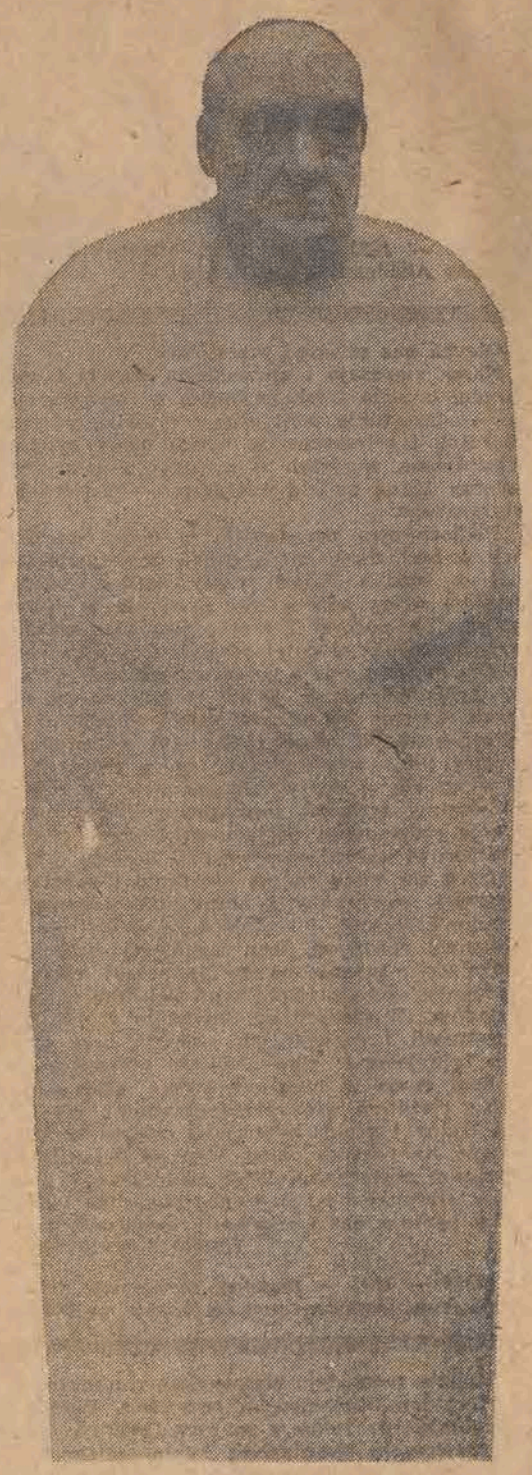

EWA PANKIEWICZ

Siódme podejście

Trzy z polskich teatrów operowych noszą dumne miano Teatru Wielkiego. Łódzki od początku swego istnienia otoczony był atmosferą sensacji.

Pierwsze przedstawienia łódzkiego Teatru Wielkiego wzbudzały, podobnie jak on sam, powszechny zachwyt. Pochwałom i komplementom nie było końca. Spływały one spod najtęższych, najostrzejszych i najbardziej krytycznych zwykle piór. Scena przy Placu Dąbrowskiego stała się ulubionym dzieckiem publiczności, krytyki i władz. W mieście wybuchł snobizm bywania na zawsze uroczystych premierach. Wytworne, urzekające szlachetną prostotą wnętrza teatru przyciągały swą urodą nie tylko wtajemniczonych w arkana operowej i baletowej sztuki jej koneserów i znawców, ale także zwykłych „zjadaczy chleba", którzy powoli acz z dobrym skutkiem poczęli rozsmakowywać się w daniach dla ducha serwowanych ze sceny.

Błyszczące kreacjami pań foyer Teatru Wielkiego stało się najelegantszym salonem miasta, do którego niczym do Mekki ciągnęły prawdziwe pielgrzymki miłośników opery z całego kraju. Były też „operowe pociągi", „operowe autokary"... Pełna gala, elegancja i szyk. Wielki operowy świat! W archiwum Teatru Wielkiego znaleźć można skrzętnie przechowywane recenzje. Te z pierwszych lat działalności łódzkiego giganta operowego pełne są „wielkości" odmienianej przez wszystkie możliwe przypadki. A ileż w nich dodatkowych, dowodzących wielkiego zachwytu i usatysfakcjonowania określeń! Że „naprawdę" Wielki, że „nareszcie" Wielki, że „wielki nie tylko z nazwy"...

Mijały lata... Na teatralny afisz wchodziły wciąż nowe tytuły, na dyrektorskim fotelu zasiadać zaś poczęli coraz to nowi ludzie... Wielkość łódzkiego Wielkiego zaczęła jednak maleć z roku na rok, a później z miesiąca na miesiąc i bladła tak niepokojąco (a rumieńców pozbawiały ją także rozstania z teatrem jego najwybitniejszych solistów), że możliwość pracy na jego scenie środowisko operowe przestało określać mianem zaszczytu i największej z zawodowych szans. Palącą natomiast okazała się potrzeba znalezienia szansy dla podupadającego teatru. Ja sama widząc ją w czwartym z kolei dyrektorze, którym był Bohdan Wodiczko, artykuł prezentujący na łamach „Odgłosów" jego osobę i plany artystyczne opatrzyłam tytułem „Szansa wielkości".

Łódzki Teatr Wielki „złapał drugi oddech" i otrzymał nową porcję pochlebnych recenzji. Ten drugi oddech okazał się krótki, bo krótko zabawił w naszym mieście ów wybitny artysta. Miast słów o wielkości znowu pojawiać się zaczęły już nie zwątpienia, ale wręcz werdykty skazujące Teatr Wielki, diagnozy pozbawiające go szans. „Operą na pół etatu" nazwał tę scenę publicysta „Polityki". Wypełniająca się w pierwszych latach do ostatniego miejsca widownia Teatru Wielkiego poczęła świecić pustkami. Z szeregu obiektywnych przyczyn przestały przyjeżdżać do Łodzi „operowe" pociągi i autokary. Uroczyste premiery straciły blask ogólnopolskich wydarzeń artystycznych rzucając jedynie nikłe już światło mniej interesujących imprez lokalnych. Zespół Teatru Wielkiego przestał jeździć na zagraniczne wojaże, a łódzcy melomani mieli coraz mniej okazji słuchać gościnnie występujących artystów. Na długo zawieszono związane już wcześniej z miastem i teatrem Łódzkie Spotkania Baletowe, umarła śmiercią naturalną świetnie zainaugurowana działalność sceny kameralnej, popękały w ciasnych szwach magazyny Teatru Wielkiego, co spowodowało konieczność zdejmowania z afisza spektakli, które pozostawać powinny w tzw. żelaznym repertuarze sceny „prawdziwie wielkiej".

Dwa jednak elementy pozostały niezmienne: pierwszy to ambicja władz kulturalnych Łodzi oraz jej środowiska teatralnego i muzycznego, by Teatrowi Wielkiemu przywrócić wielkość i świetność jego najwcześniejszej młodości, drugi — częste zmiany dyrektorów tej sceny Kto wie zresztą, czy ten drugi element nie jest logiczną konsekwencją pierwszego. Dodatkową „stałą" w tej grze o wielkość Wielkiego jest życzliwość jego najwierniejszej publiczności. O mojej „stałej", o mojej głębokiej wierze w szczerość intencji wszystkich zainteresowanych stron, w talent i umiejętności organizacyjne kolejnych dyrektorów tej sceny, w cud wreszcie, mówić nie będę. Nie przyznam się, że moja wiara, wiara osoby, która w głębokim przekonaniu, że to „właśnie ten" przedstawiała czytelnikom „Odgłosów" kolejnych szefów Teatru Wielkiego, chwiała się już nieco. Teatr ten czyni właśnie siódme podejście. Czy siódma pozycja, którą na liście dyrektorów Teatru Wielkiego w Łodzi zajął właśnie Sławomir Pietras okaże się szczęśliwą siódemką? Nie zapeszajmy...

* * *

By nie zapeszyć — bo już i ta obawa zaczęła dręczyć mnie po kilku kolejnych z Łodzi odejściach kolejnych szefów tej sceny, z których każdy w pierwszej dla „Odgłosów" rozmowie deklarował, że „tylko w Łodzi", że „... zaszczyt", że „marzy i pragnie, aby tutaj, w robotniczym mieście..." — postanowiłam... nie robić wywiadu ze Sławomirem Pietrasem, a rozmowę z nim potraktować jedynie jako element dokumentacji nieustannie aktualnego tematu, który brzmi „Teatr Wielki dzisiaj".

Szczupły, młody człowiek przywitał mnie w drzwiach „historycznego i przechodniego" gabinetu dyrektora. Jak długo tu pozostanie? Ostatnio owocnie współpracował z Robertem Satanowskim we Wrocławiu, czy za kilka lub kilkanaście miesięcy nie odejdzie do niego do stołecznego Wielkiego? Gdyby miał to zrobić — zrobiłby to od razu, prawda? Prawda! Więc jeśli tego nie zrobił, to może... Zaraz, zaraz, co ja o nim wiem? Niewiele i bardzo dużo. Niewiele: prawnik, energiczny, *przez całe zawodowe* życie związany jako dyrektor administracyjny z poważnymi instytucjami artystycznymi, mówią o nim: „pistolet", operatywny, szybki, błyskotliwy, „urodzony organizator", „talent menadżerski". Dużo: tytan pracy, wieloletni współpracownik Conrada Drzewieckiego (wraz z nim tworzył Polski Teatr Tańca), pracował z Satanowskim (ostatnio, a więc w najlepszym jego okresie, w okresie jego największych sukcesów), ten rodowód zawodowy podsuwa myśl o doświadczeniach i specjalnych — biorąc pod uwagę wielkość tych artystów — umiejętnościach. Świetne referencje, jeśli dodać do nich te, które wystawił konsultant prezydenta miasta do spraw Teatru Wielkiego, ojciec jego największych sukcesów, pierwszy i najświetniejszy jego dyrektor Stanisław Piotrowski, mówią też, że nic co teatralne nie jest mu obce, że po prostu się na tym zna.

Czemu tu przyszedł, dlaczego przyjął tę propozycję? Dyrygować, śpiewać, grać, tańczyć ani reżyserować nie będzie, chęć zrobienia własnej kariery i odniesienia osobistego sukcesu artysty należy więc wykluczyć, a przecież jest w nim coś z tego pragnienia, widać to na pierwszy rzut oka, podobnie jak i to, że świetnie się tu czuje, że jest w jakimś swoim, sobie tylko wiadomym żywiole. Co może być sukcesem dla człowieka, którego publiczność nigdy nie obdarzy oklaskami? Możliwość sprawowania władzy jeśli łączy się ona z tak wielką odpowiedzialnością? Mało prawdopodobne. Chyba tylko sukces innych, tylko sukces kierowanej przez niego placówki... Jeśli aż tak go pragnie, jak na to wygląda... Oby więc... Nie zapeszajmy!

Sukcesem tej sceny mogą być świetne przedstawienia, wypełniona po brzegi sala, największym osiągnięciem artystów — ich wspaniałe kreacje, sumą tych elementów — wysoka pozycja teatru, jego poczesne miejsce na mapie teatralnej kraju.

To nie ma być wywiad. Wzajemne i zwyczajowo przyjęte grzeczności i powitania („w imieniu czytelników" itd.) odkładamy na inną okazję i szybko ustalamy „współrzędne". Cytuję klasyka: „powróćmy do tradycji, a będzie to postęp". Tak, zgadzamy się, w przypadku łódzkiego Wielkiego to konieczność, jedyna szansa. Czy kolejny dyrektor powinien zaczynać wszystko od początku? Gwałtowny protest nowego dyrektora mówi, że nie będzie tu żadnego burzenia, żadnych rozwiązań siłowych. Trzeba działać sposobami! Jakimi — to zależy od okoliczności, od sytuacji, ale na pewno uczciwymi i przemyślanymi, tyle, że jeśli przedyskutowana, przeanalizowana myśl przybierze kształt decyzji, to decyzja będzie realizowana konsekwentnie, podobnie jak plan repertuarowy. O szczegóły planu repertuarowego zgadzam się nie pytać. O planie moglibyśmy już mówić, bo jest, ale teraz, dzisiaj, ważniejszy jest problem wewnętrznego ładu, uspokojenia.

Plan to materiał, tworzywo ale najpierw musi być warsztat i ludzie. Jest wspaniała orkiestra, a w zespole solistów — głosy, których można nam zazdrościć, ale trzeba uzupełnić zespół baletowy, jak dobrze, że jest tu szkoła baletowa, musi być co najmniej sześciu dyrygentów, dla których ten teatr będzie pierwszym miejscem pracy. Trzeba działać rozważnie, a na stojące zadania patrzeć przez pryzmat własnych możliwości, a nie dokonań. Możliwości mamy duże. Nie możemy pozwolić sobie ani na eksperymenty artystyczne, ani na artystyczną łatwiznę. Łódź w *porównaniu z Warszawą czy Poznaniem ma niewielkie tradycje operowe*, ale ile w jej krótkim operowym życiu zdarzeń artystycznych o dużej intensywności, którymi musimy czuć się zobowiązani.

Teatrowi groził upadek? Można go uniknąć tylko sposobem! Jakim! Jedynym — wysoką jakością własnej sztuki. Innego sposobu nie ma. Ta rozmowa może nie mieć końca. Jeszcze nie tknęliśmy problemu „teatr a reforma gospodarcza" a to ważne. Podwyżka cen która stanowi element reformy może mocno zaważyć na losach tej i nie tylko tej sceny W przeciętnym domowym budżecie będzie znacznie mniej pieniędzy „na kulturę". Co robić jeśli odejdzie publiczność? Na cały tydzień nam jej nie starcza, ale od czwartku do niedzieli włącznie mamy komplety. Nie wpadajmy w panikę bo o nią najłatwiej. Nie bagatelizując problemu stwierdzić przecież można, że ludziom teatr jest po prostu potrzebny. Przez tyle wieków przychodziło mu brać rozmaite zakręty i zawsze wychodził na prostą. Ten ostatni — może nim wstrząsnąć, ale go nie złamie. Przetrwał przez tysiąclecia jako jeden z komponentów normalnego życia. Jest rodzajem powietrza, tym czymś niezbędnym dla ducha, igrzyskiem obok chleba. By przetrwać musi zachować godność własnej sztuki.

O godność Teatru Wielkiego w Łodzi postanowił walczyć Sławomir Pietras. Nie wygląda na to by bał się tej walki. Czy da sobie radę? Kiedy mówi, że p o s t a n o w i ł dać sobie radę jest w sposobie artykułowania tego słowa przekonanie, które przyjdzie mi pewnie podzielić. Nie zapeszajmy...

* * *

Gdy późnym poniedziałkowym wieczorem, po rozmowie, nie będącej wywiadem, wychodziliśmy z pustego teatru, dyżurująca portierka głosem nie znoszącym sprzeciwu wołała za młodym, szczupłym człowiekiem, który jest „siódmym podejściem": Halo, proszę pana! Niech pan się wpisze do książki wyjść! Bo powiem dyrektorowi!". Przyjdzie mu przyjąć tę skargę. Nie chce wpisywać się do książki wyjść z Teatru Wielkiego w Łodzi.

Nie zapeszajmy!

ANTONI KASPROWICZ
(z teki pośmiertnej)

Ręce matki

Błogosławione
Twoje święte ręce
Wyłuskujące prędko
Spod stanika
Pierś swą nabrzmiałą
Buzującym mlekiem
Dla niemowlęcia
Gdy kwilić zaczyna

Omdlewająca
I zamykająca
Wygasłe oczy
Jedynego syna

Miłość ziemi

(Fragment)

Nocą
Błyszczące gwiazdy postrącam
By się kwiatami tliły na łące
I wszystkie chwasty
Spalę nad strugą
By mgieł kadzielną
Wzbiły się smugą
A sam zaś śpiewny
Znów się pochylę
Chwastem płonącym dymnym badylem

Oto gdy w blasku gasnących godzin

Oto gdy w blasku gasnących godzin
Jasnego dnia
Czerwonym kręgiem księżyc wychodzi
Pod nieba dach

Powstają cienie drzew pochylonych
U polnych dróg
I pielgrzymowi biegną pokłonem
Do srebrnych nóg

A u skrzypiącej wrótni wieczoru
Gdzie wonny chwast
Noc służebnica
Czeka z pokorą
W dzwoneczkach gwiazd

Cytowane wyżej wiersze pochodzą z przygotowanego przez Autora do druku tomu wierszy pt. „Cykanie świerszcza" (1981). Traktując rzecz szerzej, tom ten stanowi cząstkę spuścizny Pisarza, która znalazła swoje ostatnie schronienie w zbiorach rękopiśmiennych Biblioteki Uniwersyteckiej w Łodzi. Antoni Kasprowicz był człowiekiem skromnym i życie poskąpiło mu dostatku i wygód. Obcy mu był gabinet pisarza i regały pełne książek, ale z widocznym umiłowaniem przechowywał autografy i maszynopisy swoich utworów. Troskliwe ręce żony zabezpieczyły spłowiałe od słońca kajety i luźne kartki zgromadzone w tekturowych teczkach. Wstępnie uporządkowane „papiery" układają się w całość pisarskiego dorobku. A. Kasprowicz formował sam tomy poetyckie, nadawał im tytuły, a wydawano je inaczej, stosując często zbyt ostre kryteria selekcji. Na własny tom poezji czekał do roku 1961 („Wiersze wybrane"), nie licząc „Poematu łódzkiego" (1957), wydanego w czernikowskiej szkatułce poetyckiej.

A co mówią rękopisy? W 1938 roku był gotowy tom „Źródło świetliste" i pełen fascynacji góralszczyzną poemat „O gęślickowym Harnasiu". Z wojennej tułaczki przywiózł do łódzkiego domu, którego nie było, obszerny tom wierszy „Księga czartowska". „Czytelnik" był wówczas w Łodzi i wiele wydawał wielu poetom. Garść wierszy A. Kasprowicza przygarnęła socjalistyczna „Pobudka", wychodząca w naszym mieście w latach 1945—1947. Interesujący tom wierszy dla dzieci starszych pt. „Słoneczna kapela" został uformowany w roku 1949, a nowy tom wierszy „Gałązka oliwna" w roku 1950. Z obszernego „Poematu o Marianie Buczku" (tytuł pierwotny „Ballada o dzielnym żołnierzu"), niewielki jedynie fragment drukowała lubelska „Kamena". Z ostatnich lat zachował się fragment tomu „Wierszem pisane" i wspomniane liryki „Cykanie świerszcza".

Wydawnictwo Łódzkie wydało w latach 1961—1969 trzy tomy poezji i cztery tomiki opowiadań. Były to dla Poety lepsze lata, choć trzeba pamiętać, że jedynym źródłem stałych dochodów była skromna posada inspektora w łódzkim Oddziale ZAIKS-u.

Pochylam się nad wiązkami manuskryptów A. Kasprowicza i zdaję sobie sprawę, iż przedłużam Mu życie, gdyż tyle po pisarzu zostaje, ile zdoła przechować na swych kruchych kartkach książka i na jeszcze kruchszym papierze skreślony długopisem wiersz. Z autografu cieszącego się świeżością bieli papieru przepisuję jeszcze kilka wersów A. Kasprowicza i z pretensjonalnym może patosem zadaję sobie pytanie: Czy lepiej żyć wśród ludzi, czy tylko w pamięci ludzi?

Coś uczyniła ze mną
Mnemozyne
Że z napotkanym
Na drodze kretynem
Dzielę się słowem
Jak Bożym opłatkiem
By po rozstaniu
Zapłakać ukradkiem

Łódź, 26 III 1982

Podał do druku: MICHAŁ KUNA

DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA

ANTONI KASPROWICZ

Odszedł od nas na zawsze 16 XII ubiegłego roku. Od początku związany był z Łodzią, i, jak mało kto, pozostał jej wierny do końca. Owe Złe Miasto, niepiękny Widzew, przytłaczające Chojny stanowią najistotniejszą tkankę jego wierszy, jego opowiadań.

Robotnik, syn robotnika, debiutował w 1935 r. tomem poetyckim *Słońce za murem*. Tu należy pamiętać, że dwudziestolecie międzywojenne, co było nowinką ze Wschodu, fascynowało się klasą pracującą. O zainteresowaniu lewicy intelektualnej robotnikiem i jego problemami niech zaświadczą chociażby tytuły komunizującej pracy literackiej lat 1922—1924: „Kultura Robotnicza" „Nowa Kultura". Redaktor obu pism, Jan Hempel, był gorącym zwolennikiem modnych wówczas w ZSRR „proletkultowców" — grupy artystyczno-literackiej w sposób zdecydowanie uproszczony traktującej powinności sztuki i kultury. „Proletkultowcy" bowiem, wychodząc z założenia, że każda kultura ma charakter klasowy, odcinali się zdecydowanie od artystycznych dokonań epok minionych. Sądzili, że nowa, socjalistyczna kultura może być wytworzona jedynie przez robotnika. Wśród członków grupy brak było wybitnych indywidualności, jednak tak zdecydowanie jak i duża siła przebicia, jaką dysponowali, sprawiły, że przez pewien czas czołowy poeta grupy, Aleksy Gastiew, dorównywał rozgłosem „inżynierowi dusz", Majakowskiemu.

Nihilistyczny stosunek do tradycji sprawił, że w ZSRR szybko zdano sobie sprawę ze szkodliwości głoszonego przez „proletkultowców" programu. Ci jednak, jak się już rzekło, pozyskali sobie sympatię i uznanie Polaków.

W myśl założeń teoretyków „nowej sztuki, mogła być ona tworzona jedynie z myślą o robotniczym odbiorcy i tylko przez robotników.

Tu ma więc swój rodowód swoisty kompleks inteligencki Broniewskiego, Wandurskiego i Standego, autorów *Trzech salw* (1925) i dołączonej do biuletynu deklaracji: „jesteśmy robotnikami słowa".

Antoni Kasprowicz tego rodzaju wyznań składać nie musiał. Robotnikiem bowiem i to nie tylko z wyboru, po prostu był. Pisał o sprawach dla klasy, jaką reprezentował, najistotniejszych, ale technikę wypowiedzi podporządkował kanonom wypracowanym przez Broniewskiego i jego przyjaciół. Są więc w pierwszych wierszach poety charakterystyczne dla ówczesnej „poezji proletariackiej" rekwizyty i słowa klucze: „masówka, pociągnięcia, masakra", są i typowe dla tego typu wypowiedzi obrazy chorych z wycieńczenia, „wypluwających resztki płuc", nędzarzy. Jest wreszcie stylizacja robotnika na trybuna ludowego, tytana pracy, mocarza, niemalże antycznego herosa.

W wierszu zatytułowanym *Ja* (stanowiącym część interesującego tryptyku: *Ja, Matka, Ojciec*) pisał:

Nigdy nie zaznam spokoju,
By głębiej odetchnąć móc,
Może przy świeczce z łoju
wypluję resztki płuc?

Może przytułku barłóg
lub stal więziennych krat?
Umarło we mnie, umarło
moich dwadzieścia lat. [1]

Motyw zmarnowanej, przegranej młodości jest tak stary, jak piśmiennictwo. W dziejach nowożytnych odnajdujemy go u Kochanowskiego i u Villona, u wielkich romantyków i „poetów przeklętych". W tym wypadku jest on o tyle istotny, że świadczy, iż już w swoich pierwszych wierszach Kasprowicz odnalazł wąziutką furtkę przez którą się uciekał od ciasnych rygorów i zasad (traktowanych jako tabu) ówczesnej liryki robotniczej. Organizator wyobraźni kolektywnej przemykał się przez ową furtkę w inne światy, te zarezerwowane już tylko dla pojedynczego, skupionego i wyczulonego na nastrój przekazu odbiorcy.

O ile w utworach odwołujących się do tradycji robotniczych świat poetyki Kasprowicza był stosunkowo bliski ogólnemu wyobrażeniu o tym, jak powinna wyglądać poezja proletariacka, o tyle w wierszach pisanych dla pojedynczego człowieka był Kasprowicz oryginalny. Pisał je bowiem tak, jak się już pisać lękano i tak (co jest „modne" ostatnio), jak się jeszcze pisać nie zaczęło; jego poezja bliska była bowiem wzorcowi stworzonemu przez modernę. W nastrojowych, pejzażowych lirykach okazał się poetą, jak rzadko który twórca wielkomiejski, wrażliwym na uroki przyrody. Oto fragment *Miłości ziemi* (1937 r.):

Chwastem zielonym, żółtym
badylem,
pieśnią się czarnej ziemi
pochylę.
Dębem szaszumię, wichrem
zadzwonię
w miedź grusz słoneczną,
w czerwień jabłoni.
Nad łan pszeniczny wzlecę,
nad łąkę,
żukiem pożukać, bąkać jej
bąkiem. [2]

Uważny czytelnik dostrzeże tu w twórczości artysty — samouka ślady potyki Leśmianowskiej. Inne pejzażowe teksty świadczą, że Kasprowiczowi bliskie były dokonania tych poetów młodopolskich, którzy serio traktowali Verlainowskie przesłanie, że „muzyka przede wszystkim" (*Zmierzchy, Sosna, Burza*).

Na ową swoistą dwutorowość zainteresowań artystycznych Kasprowicza zwrócił uwagę autor przedmowy do jego *Wierszy wybranych* (1961), Władysław Broniewski, podkreślając jednocześnie, że jego opublikowany w 1957 *„Poemat łódzki"* stanowi istotną próbę odtworzenia w liryce specyfiki naszego miasta.

Łódź jako motyw literacki pojawia się w wierszach stosunkowo często, ale rzadko niestety, udaje się twórcom wyjść tu poza stereotyp: nędza, wyzysk, tłusty burżuj — nędzny rewolucjonista, głód, gniew. Spośród twórców czynnych w międzywojniu, a zmagających się z tym tematem i jednocześnie z mitem Łodzi w sposób udany artystycznie, pamiętać należy o Broniewskim, Tuwimie, Mieczysławie Braunie, Piechalu i właśnie o Kasprowiczu.

Nasze miasto najpełniej realizujące ideę trzech M (Miasta, Masy, Maszyny) będącą bzikiem międzywojnia, zdaje się miastem bardzo trudnym do odkrycia i opisania na nowo. O stopniu trudności niech tutaj zaświadczy fakt, iż poświęcone Łodzi strofy zupełnie nie udały się na przykład wybitnemu poecie i doskonałemu rzemieślnikowi, Lucjanowi Szenwaldowi.

Po wojnie Antoni Kasprowicz objawił się także jako prozaik. W 1964 r. zadebiutował tomem opowiadań *Złodzieje owoców*. Na kartach prozy pojawia się Łódź, jaką zapamiętał z lat trudnego dzieciństwa i nienajłatwiejszej młodości, ziemia obiecana dla tych, którym się udało, macocha dla bezrobotnych.

Oto fragmenty opowiadania *Pieski żywot Florka Kalety:*

„Pamiętam. Była draka. Od Felka Zimnego wypożyczył smoking. A że świadkowie się spóźnili z obrączkami i minął termin, więc rozebrali go zaraz po ślubie przed kościołem i w kalesonach przyjechał karetą do domu".

„(...) jakże można pochować nieboszczyka bez konsolacji? Słyszał kto? Złożono się więc na litrzaka, ale przyniesiono dwa. Zaraz też, gdy tylko kobiety skończyły „Kto się w opiekę..." ktoś w korytarzu zanucił od niechcenia „Bajaderę". Młodzież pochwyciła melodię skwapliwie, znalazły się też zaraz organki i tańce na dole zaczęły się na całego. Dziwili się poniektórzy, że wódkę i zagrychę, z braku miejsca na stołach, ustawiono w trumnie. Przecież nie na nieboszczyku, tylko obok, w gazecie" [3].

Proszę sobie wyobrazić, z jakim humorem i jak barwnie te wypadki opisaliby Hłasko, Głowacki, Nowakowski, Hiroilsbach, czy choćby autorka *Córki tego, co tramwaje jego*. Kasprowicz zaś wspomina o nich mimochodem, niejako wstydliwie, nie one stanowią w tej prozie główną oś akcji.

Po prostu pisarza nie interesowała egzotyka życia biedoty miejskiej i wszystko to, co stanowiło o robotniczym folklorze. W centrum zainteresowania artysty pozostawały bowiem nie wyróżniki lecz powszedniość.

Te dwa zabawne momenty są w całokształcie prozatorskiego dorobku czymś wyjątkowym: Kasprowicz ukazywał egzystencję swych bohaterów nie w tonacji jarmarczno-kolorowej, lecz szarej. Taka jest bowiem barwa robotniczej codzienności: głodnej, chłodnej i zawsze trudnej.

Na kartach jego opowiadań pojawiają się Chojny przed i powojenne. Opisując Łódź dzisiejszą, Kasprowicz szczególny nacisk kładł na awans społeczny swych bohaterów wyrażający się tak w godziwych warunkach pracy jak i w warunkach życia.

To pisarstwo nigdy nie było efekciarskim. Kasprowicz pozostał głuchym na wszelkiego rodzaju artystyczne nowinki tyleż głośne co krótkotrwałe. Pozostawił przed sobą zadanie opisania klasy, z której się wywodził i miasta, które go wychowało, ukształtowało i które uczyniło zeń poetę.

Ci wszyscy, którym niecobce są robotnicze tradycje Łodzi, czytają i, w co głęboko wierzę, będą czytali jego utwory z prawdziwą przyjemnością. Zainteresowania Kasprowicza, zgodność z prawdą historyczną, wyczulenie na codzienność sprawiły, że jego twórczość pełni równocześnie funkcję dokumentu. Owe archiwum opatrzyć by można tytułem *Życie codzienne Łodzi lat 1935—1981.*

Wraz z tą śmiercią, literatura polska straciła interesującego artystę, Złe Miasto zaś swego wiernego barda.

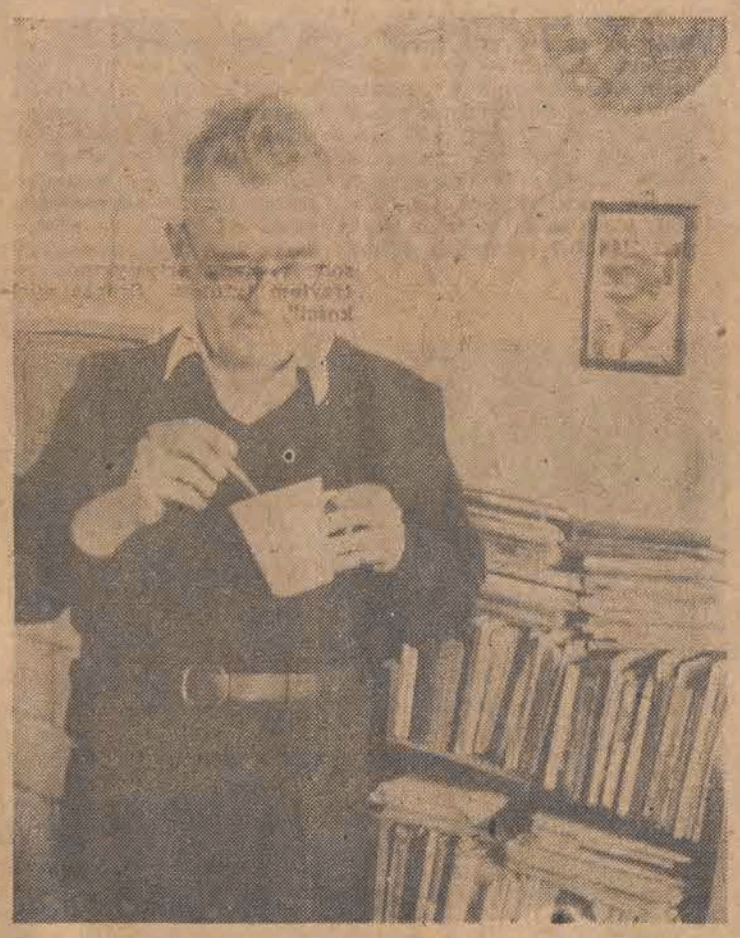

Foto: E. Kudaj

1. Antoni Kasprowicz, Wiersze Wybrane. Łódź 1961, s. 11.
2. Tamże, s. 55.
3. Antoni Kasprowicz, Złodzieje owoców. Łódź 1964, s. 11,13.

Dokąd zmierza urbanizacja

HENRYK SROCZYŃSKI

Astronauci obserwujący największe aglomeracje na planecie, twierdzą że spowite są one w brązowe miazmaty z których wiatr ciągnie długie, rozrzedzone smugi mgielne. Niekiedy nie trzeba nawet odbywać kosmicznego lotu, aby móc dostrzec nad gigantycznie wielkimi aglomeracjami ciemne chmury zacierające granice horyzontu. Wystarczy w dzień bezwietrzny spojrzeć na Nowy York z balkonu widokowego World Trade Center (412 metrów wysokości); gdyby nie dwie przecinające tę aglomerację rzeki — Hudson i East River — można by powiedzieć, że narósł tu olbrzymi polip z żelaza, asfaltu i betonu, nad którym jak w uroczysku, unosi się mgła.

Natura przegrała już pojedynek ze spontanicznie rozwijającą się urbanizacją. I coraz ostrzej w środowisku człowieka będzie się zaznaczać nie nasycone przestrzenią, obojętne na udręki ludności i goniące za bezmiarem miasto. Zupełny bezwład w rozwoju aglomeracji doprowadzi też pod koniec tego wieku, jak przewidują urbaniści, do powstania ośrodków miejskich, a właściwie ciągów urbanizacyjnyuh, posiadających 30, 40 lub nawet 50 milionów mieszkańców. Takie mamucie aglomeracje stanowić będą zwłaszcza Kalkuta, Mexico City, Sao Paulo i Szanghaj.

Miasto już właściwie od czasów starożytnego Babilonu było postrachem cywilizacji. Uznawano je za niebezpieczne dla zdrowia, porządku publicznego i moralności, za ognisko zła, epidemii i rewolucji. Faktycznie jednak dopiero od okresu rewolucji przemysłowej stało się ono „winowajcą" różnych plag; wówczas to miasta patrialchalne zaczęły przekształcać się w miasta ekonomiczne, pozbawione piękna i związku z naturą.

WIELKI EXODUS

Wędrówki ze wsi do zurbanizowanych centrów są zjawiskiem od wieków towarzyszącym rozwojowi społeczeństw, nigdy jednak nie miały takich rozmiarów jak w ostatnich dziesięcioleciach. Wiąże się to przede wszystkim z szybko rosnącym w XX wieku przyrostem liczby ludności.

Demografowie są zdania, że na dobrą sprawę dopiero w bieżącym wieku rozpoczął się podbój planety przez człowieka. Pierwszy bowiem miliard zanotowano na ziemi dopiero w 1830 r., a trzy kolejne miliardy osiągnęła planeta za życia obecnej generacji (drugi miliard — po 100 latach, trzeci — po 30 latach i czwarty — po 15 latach). Do roku 2000 będzie nas, według szacunków, co najmniej 6 miliardów.

Jeszcze sto lat temu nie było na świecie ani jednego miasta milionera — planeta z dzisiejszego punktu widzenia była wielką wsią. Obecnie mamy ponad 300 milionowych miast, a na początku trzeciego tysiąclecia takich ośrodków będzie około 3,5 tysiąca. Powstanie więc drugi zurbanizowany świat. Największy jednak niepokój wywołuje sytuacja w miastach-molochach, liczących ponad 5 milionów ludności. Aglomeracja taka wymyka się w swym rozwoju spod kontroli człowieka i praktycznie nie daje się racjonalnie zarządzać. Niestety nasze czasy przypominają erę dinozaurów — znamienną cechą jest gigantyzm właściwy gatunkom skazanym na zagładę.

Oto przykłady szczególnego rozdęcia niektórych miast:

NOWY YORK. Ta największa aglomeracja, której liczba mieszkańców przewyższa liczbę ludności w 80 proc. państw na świecie, od kilkunastu lat przeżywa olbrzymie problemy natury społecznej, gospodarczej, finansowej i komunalnej. W miejsce odpływającej z centrum ludności zamożnej przybywa ludność uboga. Brak funduszy na zabezpieczenie porządku publicznego, na remonty domów i na zapewnienie sprawnego funkcjonowania gospodarki komunalnej, wciąż pogarsza warunki bytowania tamtejszej ludności.

TOKIO. Od zakończenia II wojny światowej do 1970 r. stolica Japonii wchłonęła około 8 milionów ludności napływowej. Wielka imigracja do tego centrum spowodowana była szybkim rozwojem przemysłu i sfery usług. Nie nadąża jednak za tempem przyrostu ludności rozwój infrastruktury miejskiej. Zwłaszcza ostro daje się we znaki zanieczyszczenie środowiska naturalnego oraz problem komunikacji.

MEXICO CITY. Jeszcze w 1940 r. miasto to liczyło 1,5 miliona mieszkańców a dziś osiąga 12 milionów. Nowe osiedla — slumsy, powstają tam, gdzie nikomu nie przyszłoby do głowy budować domy: na podmokłych gruntach, w wyrobiskach, na obszarach, gdzie wysypuje się śmieci. Gdy uda się odeprzeć atak policji, ludność ta stabilizuje się i czyni starania o budowę dróg, wodociągów itp. Rzadko jednak takie wysiłki dają rezultaty.

KALKUTA. W mieście tym, liczącym ponad 10 milionów mieszkańców, na jeden kilometr kwadratowy przypada 50 tys. osób (w Warszawie 3,2 tys.). W wielu rejonach miasta nędzarze toczą boje o kawałek chodnika czy o skrawek przestrzeni pod mostem, gdzie można by rozłożyć swój tobołek i przespać się. Kalkuta uważana jest za krańcowy przykład degradacji miasta.

LAGOS. Przed niespełna 20 laty stolica Nigerii liczyła 300 tys. mieszkańców, a dziś posiada ich 3,5 miliona. W tym mieście przechodzącym boom rozwojowy dzięki petrodolarom, powstają rozległe dzielnice nędzy; miasto dusi się też wskutek potężnych korków ulicznych.

NUAKSZOTT. Stolica Mauretanii nie należy do wielkich aglomeracji, ale wskutek suszy panującej w kraju i wskutek wojny prowadzonej z Polisario, przerodziła się w bezkresnych rozmiarów skupisko lepianek. Więcej niż połowa ludności, która znalazła tu azyl, nie posiada dostępu do wody zdatnej do picia.

ŚWIATŁA MIAST

Dramat urbanizacji, choć w równym stopniu ogarnia kraje wysoko rozwinięte i kraje rozwijające się, to jednak różne ma przyczyny. Państwa kapitalistyczne, które określa się mianem bogatych, przechodziły szybki proces urbanizacji dzięki rozwojowi przemysłu; można powiedzieć, że zamożność tych miast była warunkowana napływem siły roboczej.

Całkiem inne czynniki wpływają na rozwój urbanizacji w krajach ubogich — tu urbanizacja zdecydowanie wyprzedza procesy uprzemysłowienia miast (niemal wszyscy imigranci mogą liczyć tylko na prace w sferze usług). W większości krajów rozwijających się ludność napływa do miast z ubogich rejonów rolniczych, które nie mogą ich wyżywić. Sprawia to, że produkcja żywności w tych rejonach jest jeszcze mniejsza, a miasta są pełne ludzi dla których nie ma żadnego zajęcia. Rezultatem tego jest ubóstwo oraz działanie sprzeczne niemal z każdym racjonalnym modelem rozwoju ekonomicznego.

Światła wielkich miast mają złudny koloryt. Perspektywa lepszego życia, awansu społecznego i zawodowego zwykle bywa tylko mirażem. Pociechę stanowi niekiedy tylko fakt, że może powieść się w życiu dzieciom — że dostaną się do szkoły, że w przyszłości podejmą jakąś pracę.

Nie ma dziś żadnych szans aby wielkie metropolie w krajach rozwijających się, które tak nieudolnie naśladują miasta amerykańskie i europejskie, mogły wyzbyć się koszmarnej nędzy. Szokuje mnogość przyczyn tego zacofania i niemoc w hamowaniu katastrofalnych w skutkach tendencji.

AMERYKA ŁACIŃSKA. Kontynent latynoski wykazuje się największym przyrostem naturalnym i najbardziej spektakularnym rozwojem wielkich miast. Obecnie w strefach zurbanizowanych żyje 60 proc. mieszkańców, a w roku 2000 odsetek ten wyniesie — 83 proc. Sao Paulo, Buenos Aires, Rio de Janerio, Montevideo i szereg innych aglomeracji posiada od 30 do 60 proc. ludności tzw. marginalnej, zamieszkującej w dzielnicach nędzy. Główną przyczyną nieustannej wędrówki do miast są półfeudalne stosunki na wsi: dominuje wielka własność ziemska, przy jednoczesnym braku gruntów dla biedoty rolnej.

AZJA. Mimo oszałamiającego tempa rozwoju niektórych miast, urbanizacja na tym kontynencie nie osiągnęła jeszcze punktu wybuchowego. Wiele jednak symptomów wskazuje na potencjalne niebezpieczeństwa: w Indonezji, Birmie, na Filipinach i w szeregu innych krajów (z wyjątkiem Chin) obserwuje się niemal mistyczną fascynację uprzemysławianiem dużych aglomeracji. Członkowie nowej azjatyckiej elity, biznesmeni i urzędnicy państwowi pochodzący głównie z miast, pogardzają problemami wsi i w rezultacie budżety państw coraz bardziej faworyzują we wszystkich dziedzinach duże miasta.

AFRYKA. Paradoks tego kontynentu tkwi dziś w tym, że często ludność najuboższa żyje nie w buszu czy w puszczy zwrotnikowej, lecz w samym sercu wielkich metropolii — jak np. w Abidżanie na Wybrzeżu Kości Słoniowej, w Dakarze w Senegalu, Nairobi w Kenii czy w Bamako w Mali. Głód, susza i wojny wyganiają do miast — wybawicieli, które niekiedy stają się winowajcami jeszcze większego ubóstwa. Choć dotychczas Afryka jest najbardziej „wiejskim" kontynentem, to jednak emigracje, które rozpoczęły się w ostatnich latach mogą zapoczątkować takie procesy, jakie przechodzi Ameryka Łacińska.

AMERYKA PŁN. W Stanach Zjednoczonych od lat utrzymuje się tendencja do wyprowadzania się z wielkich miast do ośrodków położonych w bliższej i dalszej prowincji. Powstały — poza granicami aglomeracji — strefy tzw. suburbii: odrębne jednostki administracyjne, w których głównie zamieszkuje ludność z warstw średnich. Ta ucieczka do „spokoju i normalności" stała się przyczyną upadku wielu centrów miejskich: wraz z odpływem ludności zamożnej, przeniosły się do suburbii handel i usługi, placówki oświatowe i zdrowotne, a także przemysł. Ta wędrówka bogatych poważnie umniejszyła dochody miast — niskie wpływy z podatków są też główną zmorą ośrodków miejskich. Problem stał się tak poważny, że dziś konstruuje się szeroko zakrojone programy ożywienia miast amerykańskich. (Chicago, Detroit, Filadelfia i Minneapolis mają obecnie mniej mieszkańców niż w 1920 r., a Buffalo i Newark — mniej niż w 1910 r.).

EUROPA. Na tle światowej sytuacji, stary kontynent jest niejako oazą spokoju i ciszy. Przekroczył on kulminacyjny punkt urbanizacji i w ciągu najbliższych 50 lat ludność miejska wzrośnie tu co najwyżej o 4/5. Miasta europejskie były jednak budowane tak, jak budowano fabryki — podstawą egzystencji stawał się zysk, a przywileje dawano głównie tym którzy dostarczali dochodów. Lata przyszłe będą więc charakteryzować się nadawaniem miastom bardziej ludzkiego oblicza.

CO DALEJ?

Wśród wielu urbanistów nazwa megalopolis, odnosząca się do gigantycznych rozmiarów ośrodka, brzmi jak ostrzeżenie przypominające, że rzeczywistość może być apokaliptyczna. Scenografia dalszych aktów tego pojedynku środowiska z procesami urbanizacyjnymi już bowiem istnieje. Rzecz teraz w tym czy mamy dostatecznie wystarczającą skalę wyobraźni, aby móc już dziś przeciwdziałać marszowi ludzkości ku slumsom.

To nieprawda, jak twierdzą niektórzy ekonomiści, że szansą na przetrwanie jest przeprowadzka ludności do ogromnych ciągów urbanizacyjnych. Na taką koncentrację ludności w mamucich miastach mogły sobie pozwolić tylko państwa bardzo bogate, gdzie jest niezwykle wysoki poziom rolnictwa. Reszta świata nie może, tak jak Stany Zjednoczone, utrzymywać się przy niskim procencie ludności wiejskiej; USA osiągnęły to w oparciu o energochłonną technikę (głównie ropa naftowa) w uprawie urodzajnych ziem. Ucieczka przed naturą do miast jest w sytuacji krajów importujących żywność, zjawiskiem ze wszech miar niekorzystnym.

Stan zamożności państw będzie się pogarszał i im mniej lat będzie nas dzielić od roku 2000, tym więcej będzie się kumulować problemów związanych z egzystencją człowieka. Dziś ludność zamieszkująca w krajach ubogich stanowi 7/9 mieszkańców planety, a za lat dwadzieścia może już stanowić 9/10 ogółu zaludnienia. Tytaniczne aglomeracje w sytuacji niedorozwoju rolnictwa, stałyby się raczej grobem tych nędzarzy niż miejscem ich ocalenia.

Kształt urbanizacji, jak coraz bardziej dowodzi tego praktyka, zależy nie tylko od mechanizmów rządzących rozwojem skupisk miejskich, ale i od możliwości społecznego nimi sterowania. Kraje socjalistyczne dają w tym względzie liczne dowody — sieć miast w Związku Radzieckim, NRD, Polsce i innych państwach naszego obozu, jest przedmiotem studiów planistycznych i w sposób planowy rozwijana. Odmienność jednak warunków ustrojowych, a zatem i możliwości wpływania rządów na przebieg zasadniczych procesów urbanizacyjnych sprawia, że realizacja tych postulatów napotyka w krajach kapitalistycznych i w krajach rozwijających się przeszkody nie do przezwyciężenia. Ale w tym punkcie urbanizacja splata się z polityką: z kwestiami ustrojowymi, z drogą rozwoju społecznego, którą wszystkie kraje same sobie wybierają.

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Alkoholowy kontredans trwa

Do narodów wylewających „za kołnierz" nie należeliśmy nigdy. I nie będziemy raczej. Portret gościnnego, dobroduszne go, choć zawadiackiego Sarmaty poparty efektami przechylania pucharów czyli kurzenia się z łbów, przyświecał nam przez wieki całe, ba, — nobilitował. Nigdy zresztą w tym kraju widok podchmielonego (zwłaszcza „na wesoło") osobnika nie wywoływał u nikogo odruchu niechęci, odrazy czy psychicznego absmaku. Nawet obraz obejmującego czule latarnię pijaczka wielu z nas obliguje do rozgrzeszającego w sumie komentarza w rodzaju: No, ten lekko przesadził...

Do perfekcji też opanowaliśmy wyszukiwanie i wręcz naukowe podpieranie się tzw. okazją, czyli powodem, dla którego właśnie teraz, zaraz, dziś należy napocząć jakiś procentowy napój. A okazją, obok „szablonów" w rodzaju imienin, urodzin czy rocznic jest przecież każde przypadkowe spotkanie, wynik meczu czy słoneczny dzień choćby.

Czy pijemy dużo? Tak, i nie wdając się w zawsze chybione w takich wyliczeniach statystyki wyliczanie tych nieszczęsnych, czystych litrów, poprzestańmy na tym określeniu: DUŻO. I długo jeszcze tym jednym słowem będziemy mogli kwitować nasze alkoholowe możliwości i chęci, bowiem inny wstydliwy wielce zwrot — kultura picia — jest generalnie naszemu słownictwu i obyczajowości zupełnie obcy. Walka z alkoholizmem (cóż, granica między piciem a nałogiem jest bardzo płynna, niestety) ma jednak swoich zatwardziałych orędowników. I słusznie. Tylko o ile zgodzę się, iż podniesienie cen rozmaitej maści trunków jest do pewnego stopnia skutecznym rozwiązaniem, to już ograniczanie, lakonicznie mówiąc, dostępności alkoholu wywołuje często wręcz przeciwne skutki. Bo czyż wprowadzenie dla przykładu, sprzedaży alkoholu w sklepach od godziny 10 oznacza, że budowlani będą mniej pić? Teoretycznie tylko, bowiem wywoła to jedynie konieczność udoskonalenia metod porannego zaopatrywania się w trunki, ewentualnie niewielką zmianę przyzwyczajeń. Świetną reklamą są też wywieszki w rodzaju „Nietrzeźwym alkoholu nie podaje się (w Łodzi żyje podobno jeszcze facet, który był kiedyś świadkiem takiej odmowy...) lub „Alkohol podajemy wyłącznie do konsumpcji". Zawsze się przecież znajduje jakiś taniutki barszczyk, nad którym w zgodzie z przepisami można „wprowadzić do organizmu" kilka lampek czy kieliszków. Sporadycznie co prawda, ale notujemy i sukcesy, choćby w utrudnianiu dostępu do trunków młodym. Zniknęły wszak już bezpowrotnie z handlu tanie wina sprzedawane w zakapslowanych butelkach po lemoniadzie, a charakterystyczną butelkę z doskonałym winem marki „Kordial" o wiele trudniej jest nie budząc podejrzeń „belfrów" opróżniać w czasie dużej przerwy.

Reglamentacyjna, czarna seria dotknęła jednak ponad pół roku temu także wódek, win, koniaków, szampanów etc. i wielu abstynentów odnotowało ten fakt jako osobiste niemal zwycięstwo. Bo rzeczywiście, dla wielu ten jeden, smutny wycinek z kart do zaopatrzeniowego pokera oznaczał konieczność drastycznych cięć choćby tylko zakrapianych kolacji. A jak tu przeżyć mecz w telewizji bez „połówki"? A imieniny ze smutnym, kartkowym przydziałem? Były i pewne niewielkie „furtki", jak choćby możliwość extra dostaw w związku z chrzcinami czy weseliskami. Roztropni, którym wiek i stan cywilny na to pozwalał, natychmiast zgłosili chęć zawarcia związków w urzędach stanu cywilnego, choć później wiele narzeczeńskich par jakoś szybko zmieniało zamiar. Sprawiała to nie tyle niezgodność charakterów co fakt otrzymania wcześniej papierka upoważniającego do zakupu kilku kontenerów wódeczki...

Generalnie naród posmutniał, by nie powiedzieć — wytrzeźwiał, a gdy jeszcze ceny trunków zdecydowanie „skoczyły" w górę — sukces komitetów przeciwalkoholowych wydawał się już bliski. I dziś, po wielu miesiącach zapewne ktoś skwapliwie wyliczy, o ile to spadło spożycie alkoholu na głowę statystycznego Polonusa. Śmiem jednak twierdzić (z tolerancją do dwóch ćwiartek), że nie spadło i postaram się to twierdzenie podeprzeć nie liczbowymi a życiowymi przykładami. Bo możliwości zdobycia wysokoprocentowych napojów wcale nam nie ubyło ostatnio, a wręcz przeciwnie...

Najprostszą metodą otrzymania kapslowanego skarbu jest ów drogocenny wycinek, czyli

WARIANT I — KARTKA

Ciachnięcie nożycami w sklepie i otrzymujemy to swoje przydziałowe pół litra (na święta nawet dwie butelki), ewentualnie koniak, szampan, winka importowane etc. Te ostatnie można jeszcze zakupić rezygnując z papierosków. Ale przecież to nie koniec naszych możliwości. Jeśli mamy szczęście, tzw. nosa lub w odpowiedniej chwili stosowny sygnał to mamy szansę otrzymać minimum dwa winka produkcji krajowej! Te wspaniałe „Saskie", „Bałuckie", „Kordiale" i wiele innych wytwornych gatunków w cenie przeciętnie od 95 zł do 135 zł. Jeszcze parę miesięcy temu zalegały sklepowe półki, dziś awansowały do miana wytwornych poszukiwanych trunków. Ech, łza się w oku kręci. Jeszcze rok temu można było w słodkich i półsłodkich „parabolcach" przebierać, wybierać, a dziś ileż to trzeba wykazać przedsiębiorczości, cierpliwości i samozaparcia by zdobyć choć dwie butelczyny. Każdy sklep mięsny pozazdrościć może tych kolejek gigantycznych, błyskawicznie się formujących, gdy przed spożywczym wyhamuje ciężarówka ze skrzynkami wymarzonego trunku. Jak ogary krążą też ulicami miast specjalne ekipy, które uzbrojone w puste butelki, korzystając z usług taxi, śledzą każdy krok ciężarowych wozów, gotowe natychmiast tworzyć spragniony „rządek" przed wejściem do handlowych placówek.

Z alkoholową kartką, czyli takim małym drukiem ścisłego zarachowania — żartów nie ma. Mają być wycięte, policzone, zapakowane, czyli wszystko można precyzyjnie sprawdzić, czyli nie ma możliwości żadnych nadużyć. Teoretycznie, bo odnalezione, bywało, na zapleczach sklepów butelki z wódką czy spirytusem świadczą nieśmiało, że jednak jakieś tam możliwości istnieją. Natomiast z krajowym winem, czyli „jabcokiem" sprawa przedstawia się zgoła inaczej. Tu możliwości jest wiele. Oto klasyczny przykład. Do jednego z dużych domów towarowych w Łodzi, prowadzących również sprzedaż tychże trunków, trafia dostawa ponad 2 tys. butelek. Faktycznie jednak uszczuplona o ponad 800, za które do kasy kierowane są pieniądze, a butelki wędrują do... składu opakowań szklanych, z której to zbiornicy przekazywane są dalej — do „detalicznych" melin. A tam już, w zależności od kategorii lokalu i gości kosztuje owo wspaniałe „Saskie" 400—450 zł. Cóż, za transport się płaci; przed sklepem lub w bramie obok winko kosztuje „tylko" 250—300 zł, a wódeczka trochę drożej, bo 800—900 zł. Tylko trzeba mieć szczęście.

Całkiem legalnie możemy też wejść w posiadanie trunku dysponując walutą obcą lub też bonami PeKaO, czyli odnotowujemy

WARIANT II — „PEWEX"

Przywieźliśmy jakieś oszczędności z zagranicznych wojaży? Mamy jakieś dolary na koncie? Wujek z Kanady o nas pamięta? No to jaki problem — w każdym wojewódzkim mieście zaprasza nas co najmniej kilka doskonale wyposażonych [illegible] również w butelki sklepów spod szyldu „Pewexu". Ceny przystępne: „Żytnia" — 1,80 dol. USA, spirytus — 3,75, „Baltic" — 1,90. Nie brakuje też zwykle atrakcyjnych trunków dla smakoszy — ginu, whisky, koniaków różnej maści. Nie mamy bonów? Żaden kłopot — dyskretny szept da nam do zrozumienia, że już za chwilę będziemy mogli spokojnie uiścić opłatę w walutowej kasie. Tylko najpierw drobna, szybka operacja finansowa na boczku. I jeśli dysponujemy odpowiednią ilością prawnych biletów NBP za chwilę możemy sobie zafundować choćby karton „Napoleona". No tak, zdarza się jakaś „łapanka", w wyniku milicyjnej akcji zgarniętych zostanie kilku czy kilkunastu handlarzy, ale to nie powód do zmartwień: jak grzyby po deszczu wyrosną następcy, którzy z tym samym usłużnym uśmiechem zaoferują ci dowolną ilość tych „lepszych" walorów. Każda wpadka wkalkulowana jest w ryzyko — kary w sumie niewielkie, zwykle grzywna i coś w zawieszeniu.

Czasem i od nich można kupić wódeczkę w pobliskiej bramie, ale zwykle wolą nie ryzykować. Przecież prościej wykupić alkohol w „Pewexie" i wstawić do zaprzyjaźnionego meliniarza, gdzie pół litra „Żytniej" kosztuje już do 1500 zł, a spirytusu — jeszcze tysiąc drożej. Gdy dolar „stał" niżej i wódka w „Pewexie" była tańsza zdarzały się przypadki wstawiania całych transportów alkoholu do zaprzyjaźnionych sklepów monopolowych, ale to stare dzieje, już się nie kalkuluje.

Jako się rzekło, właśnie z dolarowych sklepów zaopatrywane są w dużej części wszystkie doskonale prosperujące, choć bez oficjalnych szyldów, punkty z wyszynkiem, czyli zaprezentujmy

WARIANT III — MELINY

Nie figurują w rocznikach statystycznych; wiadomo, że były, są i nic nie wskazuje, by prędko zniknęły z miejskiego pejzażu. Funkcjonują doskonale, niezależnie od oficjalnych zmian cen czy reglamentacji. Każde miasto ma takie swoje słynne ulice jak łódzka Wschodnia czy Włókiennicza, gdzie przez całą dobę funkcjonują ciche „Delikatesy", gdzie zaopatrzyć się można w dowolną ilość alkoholu nie wysiadając nawet z samochodu. Milicyjne akcje, wszelkie kontrole i „naloty" przypominają nieco walkę z przysłowiowymi wiatrakami. „Lokale" prowadzą zwykle osoby starsze wiekiem, owe klasyczne „babcie", renciści, emeryci, nad którymi każdy skład sędziowski się zlituje. Mała grzywna, zwykle rozkładana na raty, takie raczej symboliczne grożenie palcem — ot, cała dolegliwość. A przede wszystkim: przepisy wymagają, by znalazł się świadek, który w melinie pił wódeczkę, kupował ją po paskarskiej cenie etc. W interesie którego klienta jest wygłaszać takie „niedorzeczności"? Jeśli już jakiś pechowiec się znajdzie, to zwykle był tu pierwszy raz, nikogo nie zna nawet z imienia, a w ogóle to „ta pani odstąpiła mi pół litra po cenie". Babci zapas trunku się rekwiruje, ona sama staje przed „wysokim kolegium", a wkrótce potem gościnny lokal — może nieco bardziej dyskretnie na początek — znów otwiera swe podwoje.

W kraju, w którym wszyscy wiedzą, jak wyleczyć bliźniego i rodzimą gospodarkę, trudno, by co czwarty rodak nie potrafił zająć się tak prozaiczną rzeczą jak produkcja alkoholu. A mówiąc o konkurentach państwowego monopolu mamy już

WARIANT IV — BIMBROWNIE

Przeżywają one okres dużej prosperity. Kartki są kroplą w morzu potrzeb, „na melinę" — to jednak ryzyko — ale od czego głowa. Trochę rad kolegów, parę prób i doświadczeń i uruchamiamy własną fabryczkę. Jakiś garnek, czajnik, rurka, gumowy wężyk, cukier, drożdże i już smakowicie bulgocze, kapią te procenty do podstawionego naczynia. Chemicy święcą swe „zawodowe" triumfy, obok metod wyrafinowanych desperaci próbują wyczarować alkohol w zamrażalnikach lodówek, surowcem może być ponoć i ryż, lizaki a nawet... „Mandarynka". Już ktoś sprawdził, że z 3 ohydnych win otrzymać można około 400 gram spirytusu, ktoś tam ponoć „pędzi" z ziemniaków i buraków, a więc nie potrzebuje cukru.

No, czujemy czasem te dziwne zapachy dobiegające od sąsiadów, ale siedzimy cicho, przecież to nie nasz interes. A jak się uda, „firma" się rozkręci, to i nam będzie się łatwiej zaopatrzyć. A okazja zawsze się znajdzie...

Czasem gdzieś coś wybuchnie, napiszą w gazetach o jakimś wypadku przy produkcji, ale co tam. Nikogo to nie zraża. „Bimber z rana — jak śmietana". A kroniki milicyjne notują coraz większą ilość wykrytych domowych fabryczek samogonu; zbliżyliśmy się do 50 miesięcznie (w łódzkiem). Zdarzają się przypadki ciężkich zatruć, zdarzają przypadki śmiertelne. Ilu to odstraszy? Na jak długo? Metylowego wszyscy się boją jak ognia więc po co kupować z niewiadomego źródła, lepiej samemu spróbować. — Panie władzo, ja tylko na własne potrzeby, dla rodziny... A w balonie 50, 70 litrów zacieru, parę litrów już gotowego płynu w butelkach — to klasyczne przypadki. A kogo przestraszą wyroki w zawieszeniu i grzywny, gdy zasady produkcji już się opanowało, sąsiadom i znajomym można trochę „wyrobu" odstąpić, zarobić jeszcze, a przede wszystkim — w gardle suszy...

By mi jednak Czytelnik nie zarzucił, że bimbrownie i meliny to jednak margines i porządny obywatel z takich źródeł nie będzie kupował alkoholu, więc wróćmy do tych legalnych lub prawie legalnych możliwości zaopatrywania się w alkohol. A stanowi go m. in.

WARIANT V — GASTRONOMIA

Kto lubi światowe życie, towarzystwo i dania na zamówienie ten oczywiście może skorzystać z możliwości spożycia alkoholu w lokalu. Zaznaczmy jednak wyraźnie — musi dysponować dużą gotówką. Po prostu DUŻĄ — nie wdając się w kategorie, porę doby i zmieniające się jak w kalejdoskopie marże. Picie przy stoliku — to jednak dopiero jedna strona medalu, bowiem nadal doskonale funkcjonuje system sprzedaży alkoholu na wynos. Nie chciałbym tu urazić kierownictwa wielu renomowanych lokali, ale myślę, że proceder ten, na mniejszą lub większą skalę uprawiany jest zapewne we wszystkich barach, restauracjach i kawiarniach, a właśnie skala zależy li tylko od stopnia zażyłości z personelem i żądanej ceny.

Nie o mnożenie przykładów tu chodzi, ale by poprawić samopoczucie oponentów warto podać, że w ostatnich tygodniach pod kątem sprzedaży właśnie alkoholu na wynos skontrolowano na chybił — trafił 12 z 36 łódzkich prywatnych lokali gastronomicznych. Wszczęto w sumie 11 postępowań, z tego cztery sprawy już trafiły do sądu. M. in. konto właścicielki kawiarni „Caro" obciąża ponad 500 butelek sprzedanych w domu przyjaciołom (od 13 grudnia do pierwszych dni lutego), w popularnej „Fraszce" sprzedano blisko 1300 butelek, w „Piwnicy" — 525, a z baru-bistro przy Estradzie Łódzkiej (mimo oficjalnej likwidacji zakładu) wywędrowało 1200 butelek sprzedawanych po cenach spekulacyjnych.

Podobne przypadki stwierdzono w kilku restauracjach ajencyjnych WSS. Wstępnie szacuje się, że łącznie, tylko w tych lokalach, które odwiedzili kontrolerzy, sprzedano „na lewo" w niecałe dwa miesiące alkohol wartości około 5 milionów złotych (po cenach detalicznych licząc).

Czy to już wszystko, na co nas, „spragnionych" stać? Wydawałoby się, że wyczerpaliśmy możliwości. Okazuje się jednak, że w pięknym „stylu" można zaopatrzyć się w alkohol u źródła, czyli w grę wchodzi

WARIANT VI — „POLMOS"

W łódzkich Zakładach Przemysłu Spirytusowego z równie dobrym skutkiem zaopatrywały się przedsiębiorstwa państwowe co i odbiorcy prywatni. Inspektorzy Okręgowego Zarządu Dochodów Państwa i Kontroli Finansowej oraz KW MO w Łodzi dysponują bardzo ciekawymi danymi na ten temat z ostatnich miesięcy. Oto dla przykładu okazuje się, że już w okresie reglamentacji alkoholu, w okresie od lipca 1981 do stycznia 1982, w zakładach zaopatrzyło się w alkohol (nie do celów produkcyjnych bynajmniej) około 150 przedsiębiorstw i instytucji. Na różne uroczystości, które — jak motywowano — miały się odbyć w tych firmach, a więc pożegnania emerytów, rencistów, różne rocznice, akcja wykopków w PGR itp., państwowi nabywcy potrzebowali trunków za łączną kwotę ok. 17,5 mln. złotych. Wydawałoby się — straszna ilość. Ale jeśli zderzyć to z inną kwotą: ponad 12 milionami złotych, za które kupili wódeczkę w okresie lipiec — listopad 1981... pracownicy łódzkiego zakładu monopolowego — nie taki znów diabeł straszny.

Prywatni nabywcy, jako się rzekło — nie mieli kłopotów także z zaopatrzeniem się w całe skrzynki przy ul. Armii Czerwonej 26. Na dokładnej liście, którą dysponują kontrolerzy figuruje 69 nazwisk osób, które od lipca do grudnia 1981 r. nabyły alkohol wartości ok. 1,5 mln złotych — od kilku do 450 butelek. Wódeczkę kupowano prywatnie, ale pozory się liczą, więc w fakturach znalazły się nazwy firm, w jakich pracowali odbiorcy trunków. Powody były zbliżone: wesela, uroczystości rodzinne, spotkania towarzyskie. W każdym przypadku zakup musieli akceptować przedstawiciele dyrekcji zakładu spirytusowego. I akceptowali...

• • •

Alkoholowy kontredans trwa. Każdy radzi sobie jak może, by zwiększyć skromny, kartkowy przydział. Co więcej — wciąż nie wyczerpaliśmy tematu, bo znane są reguły otrzymania w drodze legalnej talonów na wódeczkę za dostarczane do punktów skupu butelki (pewien przedsiębiorczy łodzianin odstawił w sieradzkie, gdzie takie zasady jeszcze obowiązują w sumie kilkanaście tysięcy egzemplarzy...) Społeczny margines, jak to się zwykło określać, raczy się także z powodzeniem denaturatem, różnymi płynami do mycia szyb czy „Autowidolem". Ale to już patologia, więc nie zaprzątajmy sobie takimi przypadkami głowy przy świątecznym stole. I tylko wariantów zdobycia upragnionego napoju wciąż przybywa...

Przesądy, rytuały, zwyczaje na boisku i w szatni

Brytyjski psycholog — behawiorysta, a zarazem zoolog, Desmond Morris — autor wydanej u nas w 1974 roku „Nagiej małpy" — opublikował na łamach „DIE WELT" artykuł o psychologicznej stronie futbolu, typach zachowań na boisku i poza nim, rytuałach piłkarskich, motywacjach i postawach emocjonalnych w czasie gry i w życiu prywatnym zawodników, a także o oddziaływaniu psychologicznym gry na publiczność i samych piłkarzy.

Piłka nożna jest dyscypliną sportu, która chyba najbardziej rozpowszechniła się na całym świecie — uprawia się ją aż w 146 krajach zrzeszonych w międzynarodowej federacji, a nowych jej zwolenników ciągle przybywa. Jest to nie tylko sport, ale i fascynujące zajęcie dla etologa, który w nowoczesnym futbolu odnajduje wzory pierwotnych ludzkich zachowań. Weźmy na przykład takie oto drobne przesądy: w Anglii jest bramkarz, który przed meczem umieszcza zawiniątko ze swoimi rzeczami w ściśle określonym miejscu po prawej stronie bramki i tylko wtedy czuje się całkowicie spokojny i duchowo uzbrojony na wypadek ataków przeciwnika. Wielu graczy umyślnie nie goli się w dniu meczu, a jest i taki, który błaga żonę, aby w czasie meczu... myła okna, ponieważ kiedyś, właśnie podczas wykonywania tych przyziemnych domowych czynności przez małżonkę, jego drużyna odniosła błyskotliwe zwycięstwo. „Dobrowróżbne" stroje oficjeli, maskotki zostawiane przez graczy za linią autów, wspólne irracjonalne rytuały — oto próby wywarcia wpływu na te elementy widowiska na boisku, na które nie można oddziałać ani techniką gry, ani ustaleniami taktycznymi.

Przypomina to ceremonie i rytuały odprawiane przez myśliwych w początkowych okresach społeczności plemiennych i jest typowe dla sytuacji niosących ze sobą ryzyko. Od zdobycia łupu zależało to, czy plemię będzie ucztować, czy głodować, to, czy w ogóle będzie mogło przetrwać. Istotną rolę odgrywało przy tym szczęście i członkowie plemienia wymyślali w tym celu wszelkie możliwe ceremonie, aby ubłagać bóstwo i zapewnić sobie pomyślne łowy.

Prawdą jest to, że piłkarze co tydzień podejmują ogromne ryzyko psychiczne, które można porównać z tym, jakie podejmowali myśliwi w społeczeństwach pierwotnych. Statystyka dowodzi, że w co trzynastym meczu dochodzi do poważnych kontuzji. Piłkarz ryzykuje również tym, że jego błędy i nieudane zagrania zostaną wyśmiane przez widzów, na czym ucierpi jego godność osobista. Jeśli piłka podskoczy na choćby najmniejszej nierówności darniny przed bramką i napastnik tuż przed bramką nie zdoła tej piłki wepchnąć do siatki, to wszystkie treningi i wysiłek włożony w opanowanie techniki na nic się nie zdadzą. Aby uniknąć takich nieprzyjemnych sytuacji, piłkarze stosują więc środki zapobiegawcze z dziedziny magii, mając nadzieję na to, że amulet odwróci zły los i przyniesie szczęście.

Gracze z mojego klubu wrzucili mnie pewnego razu do basenu podczas jakiejś klubowej uroczystości — wiadomo było, że zaakceptowali człowieka, który co prawda sam nie gra, ale został prezesem Oxford United, bądź co bądź klubu zawodowego. Piłkarze mają swoje specyficzne zwyczaje i własny styl życia. Trzeba było wypić z nimi morze piwa, godzinami grać w karty, aby zyskać ich przychylność. Trzeba było chadzać z nimi do dyskoteki i nie stronić od ich często grubiańskiego humoru.

Ludzie ci żyją bowiem w zamkniętym świecie — dla nich istnieje tylko futbol. Jeden z graczy powiedział mi kiedyś:

— Jeśli świat zawali się, to ja dowiem się o tym tylko wtedy, gdy doniosą o tym gazety w rubrykach sportowych.

Jest to przesada, ale ujmująca istotę rzeczy. „Typowy" piłkarz nie interesuje się nawet w najmniejszym stopniu polityką, religią czy sztuką. W wolnych chwilach namiętnie czytuje dreszczowce, ogląda westerny w kinie lub telewizji i szczególnie — co wykazały ankiety — podziwia Clinta Eastwooda. Piłkarze uważają go za małomównego, doskonale opanowanego, chłodnego, silnego człowieka, który nigdy nie traci fasonu, jest mocny, męski, gotowy sprostać każdej sytuacji. Odpowiada to wizerunkowi, jaki chce stworzyć futbol europejski.

Z drugiej strony wobec rodziny i w domu „statystyczny" piłkarz zachowuje się łagodnie. Mężczyźni, którzy na boisku walczą jak rozwścieczeni wojownicy, po meczu natychmiast stają się istotami przyjaznymi wobec świata. Wyzwanie mają już za sobą, walczyli i zmagali się, ale po boju, tak jak myśliwi w czasach zamierzchłych, szukają w domu rodzinnym ciepła, jakie daje kobieta. Nie wchodzą przy tym w ogóle w rachubę feministki — kobiety wyemancypowane piłkarzom wyraźnie nie odpowiadają, co potwierdzają badania ich życia prywatnego. Nie chcą oni w domu spotykać się ponownie z wyzwaniem, ponieważ mają tego aż nadto na boisku.

Trzeba jednak powiedzieć otwarcie, że powyższe obserwacje dotyczą przede wszystkim Wysp Brytyjskich, gdzie do futbolu przychodzili głównie młodzi ludzie wywodzący się z klasy robotniczej. Na kontynencie (europejskim) może się to przedstawiać inaczej, co oczywiście powoduje inne skutki socjologiczne i psychologiczne. Na curiosum zakrawa to, że w Anglii zaistniała więź łącząca klasę robotniczą z futbolem, chociaż ta dyscyplina sportu ze wszystkimi swymi regułami, powszechnie przyjętymi na świecie, wywodzi się z elitarnych prywatnych szkół, gdzie była jednym z obowiązkowych przedmiotów w programie nauczania. W drugiej połowie minionego stulecia nikt nie potrafił sobie wyobrazić ani przewidzieć, że po rewolucji przemysłowej masy ludowe, które uzyskały więcej czasu wolnego, tak bardzo zapalą się do tego sportu.

Niemiecki politolog, Gerhard Vinnai, podejrzewa w tym nawet podstęp ze strony pracodawców: stosunki produkcji w społeczeństwie późnokapitalistycznym spowodowały nierówności społeczne, które wyrażały się w otwartym niezadowoleniu pracowników. Trzeba było w jakiś sposób to niezadowolenie rozładować i pokierować przy tym tak owym przeciwdziałaniem, aby nie rozsadziło ono istniejących struktur społecznych, lecz się w nich zmieściło. Okazją do tego chyba najlepszą stała się rosnąca popularność piłki nożnej. Pseudoaktywność w grze skórzaną piłką ukierunkowała energię, która mogła przecież zostać obrócona przeciwko istniejącemu porządkowi.

Jest to rodzaj politycznej paplaniny, ale jednak tkwi w niej ziarnko prawdy. Gdyby piłka nożna miała być owym „opium dla ludu", to przecież trzeba sobie uzmysłowić, że niewiele ma ona do czynienia z polityką, a jeszcze mniej z potrzebami natury ludzkiej. Dzisiaj w szkołach nie ma futbolu w programie zajęć, naucza się natomiast zasad gry w rugby. Ta dyscyplina sportu stała się elitarna; uczniowie i studenci nie zajmują się więc zwykłym futbolem. Sensacją stało się to, że niedawno jeden z wychowanków szkolnego internatu zadebiutował w pierwszoligowej, zawodowej drużynie i z miejsca wyrobił sobie pozycję wśród profesjonałów. W Niemczech przychodzi w takiej chwili na myśl Paul Breitner.

Świat piłkarski jest nastawiony antyintelektualnie. Broni się on przed wszelką pomocą ze strony naukowców, a zwłaszcza psychologów. Istnieją oczywiście wyjątki, ale ogólna tendencja jest wyraźna. Uzasadniają to trzy przyczyny. Po pierwsze, każdy trener klubowy uważa się za kogoś w rodzaju dowódcy i jako taki musi nie tylko trzymać wszystko mocno w garści, ale także demonstrować to przed podwładnymi-piłkarzami. Jeśli ktoś usiłuje dawać dobre rady, to autorytet trenera podupada. Taką samą prawidłowość można prześledzić w postępowaniu reżyserów kręcących epopeje filmowe: nie mogą oni pozwolić sobie na dyskusje z aktorami o tym na przykład, czy scena szturmu lepiej będzie wyglądała od prawej czy od lewej strony. Reżyser musi mieć cały plan w głowie i wydawać polecenia w sposób dyktatorski. Inaczej ma się rzecz w przypadku sztuk scenicznych z niewielką obsadą aktorską, gdzie reżyser może pozwolić sobie na luksus dyskusji z aktorami. Po drugie, zawodowy trener stosuje wiele elementów psychologii w sposób intuicyjny; nawet jeśli nie ukończył odpowiedniej szkoły ani kursów trenerskich, to potrafi wczuć się w sposób myślenia i psychikę innego człowieka, a wstrętem napawa go myśl o zakłócaniu intuicyjnego rozumienia spraw jakimiś naukowymi analizami. Po trzecie wreszcie, wielu trenerów kiedyś było zawodowymi graczami. Bardzo niechętnie dopuszczają oni myśl o tym, że ktoś mógłby ich pouczać, ponieważ uważają oni, iż własne doświadczenie znaczy dużo więcej i daje pełnię wiedzy o futbolu. Mają oni ustalone normy postępowania, według których oceniają wszystko, co wiąże się z futbolem; nadrzędną wartością jest dla nich doświadczenie, a wszelkie innowacje nie liczą się.

Omawiam te przyczyny tak dokładnie z tego względu, że naukowe badania typów zachowań człowieka poważnie mogą przyczynić się do wyjaśnienia wielu elementów postępowania piłkarzy. Na przykład zaufanie i więzy przyjaźni odgrywają wielką rolę w grze. Dobrzy zawodnicy są w stanie doskonale rozumieć się bez słów, jeśli utrzymują ze sobą bliskie kontakty w życiu prywatnym. Porozumienie ze sfery personalnej przenosi się do gry sportowej. Jeden instynktownie wie, gdzie znajduje się drugi i w takich przypadkach taktyczne wskazówki trenera na nic się już nie zdają. Ze zgodności charakterów wynika więź między zawodnikami, opierająca się na instynkcie i intuicji. Dlatego tak wielkie znaczenie ma to, aby zawodnicy jednej drużyny jak najwięcej przebywali ze sobą, zapoznali się z charakterami kolegów i nauczyli się podświadomie ich rozumieć. Szczególnie ważne jest to w przypadku reprezentacji narodowych, składających się z graczy kilku lub nawet kilkunastu klubów. Jestem przekonany, że mierne rezultaty drużyny angielskiej po 1966 roku są właśnie skutkiem nieuwzględnienia tego czynnika psychologicznego. Gdyby w charakterze reprezentacji narodowej wypuszczać do boju jedenastkę Liverpoolu w okresie jego największej świetności, to wyniki byłyby z pewnością dużo lepsze.

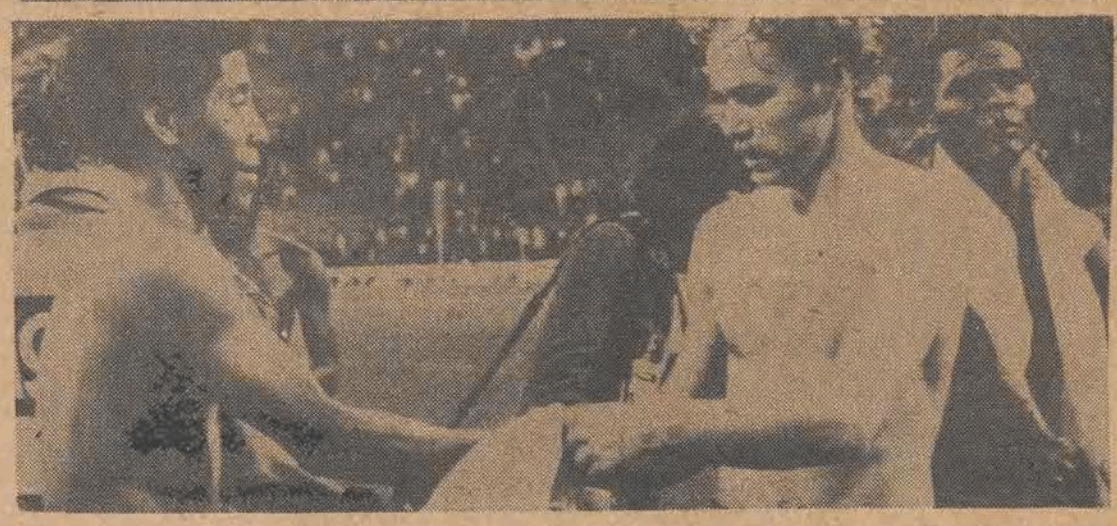

Breitner i Rummenigge są bez wątpienia przykładem takiej pary zawodników, którzy wspaniale rozumieją się na boisku. Psycholog dostrzega jednak w tym ślepym zaufaniu pewne niebezpieczeństwo: grozi mianowicie to, że zbyt wielkie zaufanie do kolegi powoduje niekiedy takie postępowanie na boisku, jakiego nie uzasadnia sytuacja w danym momencie gry. Dwaj przyjaciele mają na boisku tendencje do zagrywania na siebie, choćby nawet inny zawodnik znajdował się na pozycji dużo korzystniejszej. Jak więc powinien należycie postępować w takich przypadkach trener, jak powinien on przypominać piłkarzom o ich rolach, kierować grą i łagodzić konflikty, jeśli nie rozumie tła psychologicznego?

W swoim klubie zaobserwowałem, że jeden z graczy zawsze podawał piłkę swojemu najlepszemu przyjacielowi. Często sędzia zwracał mu uwagę, mając za złe granie na czas, ale w istocie wcale nie chodziło o grę na czas, lecz podświadome oczekiwanie momentu, gdy przyjaciel znajdzie się na dogodnej pozycji do oddania strzału lub dośrodkowania na pole przedbramkowe. Mamy w klubie fantastycznego trenera, który pokazuje jak można motywować młodym ludziom chęć do gry. Musiał on w momencie obejmowania swojej funkcji zaczynać prawie od zera, ponieważ nie można było podnieść poziomu gry poprzez kupno jakiegoś dobrego zawodnika — nie było na to pieniędzy. Trener upatrzył sobie jednego z młodych graczy — napastnika, który świetnie grał technicznie, ale na boisku jakoś nie mógł się sprawdzić. Trener zaczął pobudzać jego ambicję i w końcu doprowadził go do furii, zapytując, czy nie zapomniał on przynieść na trening dyplomatki, skoro udaje wielką figurę i nie przemęcza się. Po kilku tygodniach chłopak był we wspaniałej formie, a teraz otwiera się przed nim wielka kariera.

Międzynarodowy festiwal piłkarski, który odbywa się co cztery lata — mistrzostwa świata, organizowane w 1982 roku przez Hiszpanię, już na długo przed faktem motywują pracę piłkarzy i trenerów. Pytano mnie, jaki typuję finał — odpowiadam krótko: RFN przeciwko Brazylii. Będzie to konfrontacja dwóch stylów gry, jak nazwaliby to piłkarscy puryści, ale na pewno nie w takim stopniu, jak jeszcze byłoby to przed kilkoma laty. Futbol europejski, zwłaszcza niemiecki, stał się doskonalszy pod względem technicznym i różnice między południowoamerykańską maestrią a europejskim futbolem siłowym bardzo się zatarły. Europejczycy nie opanowali jeszcze w takim stopniu techniki gry, jak udało się to Latynosom, elegancko tańczącym z piłką i omijającym podstawione nogi, nie znają tylu sztuczek i zwodów, nie są tak ruchliwi, szybcy i zwinni i skoczni, ponieważ ich warunki gry — śnieg, lód i deszcz — często utrudniają nawet stosunkowo łatwe zagrania. *W Hiszpanii zmierzą się zwolennicy obu stylów, ale pytanie brzmi:* czy baletowe umiejętności Latynosów wystarczą, aby stawić czoło atletycznemu futbolowi europejskiemu?

W Stanach Zjednoczonych zastosowano na boisku piłkarskim sztuczną trawę. Wydaje się, że gdy wprowadzi się to również w Europie, to nasz futbol stanie się też szybszy, ponieważ taka nawierzchnia sprzyja eleganckiemu stylowi. Jeśli chodzi o inne elementy piłki nożnej w USA, to raczej trzeba by się im sprzeciwić; nie chodzi tu oczywiście o takie sprawy, jak uroczyste wkraczanie na boisko, przypominające wejście gladiatorów na arenę, ani o towarzyszące ceremonii rozpoczęcia meczu tańce w wykonaniu skąpo odzianych dziewcząt, czy też muzyczne przerywniki podczas przerwy. Ale demonstrowanie zgrabnych nóżek podczas meczu czy „upiększanie" trybun i płotu malowidłami przedstawiającymi bohaterów rysunkowych filmów Disneya, to już jest przesada. Nie pasuje to do charakteru tej dyscypliny sportu, która w europejskim pojęciu zawiera w sobie także pewne elementy godności. Ta zupełnie odmienna od atmosfery stadionów europejskich atmosfera boisk amerykańskich wnika nawet do szatni, gdzie po meczu kręci się na ogół często 100—200 reporterów, a goli piłkarze nie mają nic przeciwko udzielaniu odpowiedzi na pytania pań z redakcji sportowych. Zdarza się, że widząc człowieka o wyglądzie dziennikarza sportowego piłkarze sami podchodzą, oczekując na pytania. Tak było w szatni słynnego nowojorskiego klubu Cosmos, gdzie nagrywałem na taśmę swoje prywatne wrażenia — podszedł do mnie jeden z zawodników, aby udzielić wywiadu. I tak doszło do rozmowy z Franzem Beckenbauerem.

Należy on do pokolenia wielkich postaci światowego futbolu. Niedawno rozmawiałem z Helmutem Schönem, który podobnie jak ja jest zdania, że indywidualnościom piłkarskim grozi wymarcie. Takich zawodników, jak np. Jackie Charlton (podpora mistrzowskiej drużyny z 1966 roku — Anglii — przyp. red.) lub Sepp Maier (długoletni, niemal etatowy bramkarz reprezentacji RFN — przyp. red.) spotyka się coraz rzadziej. Metody treningu i ogólne traktowanie futbolu sprawiają, że piłkarze coraz częściej stają się robotami, a mało jest już, niestety, takich zawodników, którzy sami wystarczali w czasie gry za całą drużynę, przyciągając uwagę wszystkich widzów.

Irytuje to, że FIFA czyni wszystko, aby wprowadzać przepisy kontrolujące grę w sposób jeszcze bardziej mechaniczny. Zawodnikom nie wolno będzie np. ściskać się przy składaniu gratulacji zdobywcy gola, a przecież jest to całkowicie naturalna reakcja i wyrażenie radości z sukcesu, przeciw czemu publiczność nie ma żadnych zastrzeżeń. W Anglii zakazano wymiany koszulek po meczu, co jest skrajnym absurdem, ponieważ ten mały gest, niewielki rytuał, oznacza przecież wyrażenie szacunku przeciwnikowi za jego grę. Ten gest znamionuje także nastanie pokoju po walce. Starcy stojący na czele władz związków i federacji futbolowych utracili zdolność dostrzegania ludzkich potrzeb i motywacji kierujących grą w piłkę nożną.

Piłka i ja

Wbrew pozorom, nie zamierzamy zastępować tygodnika „Piłka nożna". Po prostu, zgodnie z tradycją numerów świątecznych, dostarczamy Czytelnikom większą porcję materiałów sportowych. Dlaczego wybraliśmy tematykę piłkarską, szerzej uzasadniać chyba nie trzeba. Wszak zbliżają się Mistrzostwa Świata w Hiszpanii.

W piłkarskim bloku prezentujemy artykuł naukowca i działacza sportowego, Desmonda Morrisa, słynnego zawodnika francuskiego polskiego pochodzenia, Raymonda Kopy-Kopaszewskiego, zwanego ongiś „Napoleonem futbolu" oraz rozmowę z Włodzimierzem Smolarkiem, bohaterem meczu z NRD w Lipsku.

Nawet teraz, gdy przekroczyłem już czterdziestkę, dokładnie pamiętam ten zapach. Cierpki zapach świeżo palonej kawy, która rozgrzewa człowieka jeszcze przed pierwszym łykiem. Kawy podawanej przez matkę o czwartej rano, kiedy z bratem zwlekaliśmy się z łóżka przed pójściem do kopalni.

Oczy miałem zaropiałe, włosy rozczochrane, byłem wściekły i zbuntowany. Miałem wszystkiego dość. Ale przecież byłem górnikiem. Nie umiałem robić nic innego, ani nikt tego ode mnie nie żądał. Więc szedłem do kopalni, kiedy budził mnie zapach kawy.

Codziennie rano, gdy otwieram oczy, niezależnie od tego czy jestem u siebie w Angers z moją żoną Christiane i córkami Nadine i Sophie, czy w podróży za interesami, czy z drużyną Reims — widzę kopalnię. Czuję zapach kawy. I zawsze trochę się boję. Ta obawa, ten strach uczyniły z Raymonda Kopaszewskiego — Raymonda Kopę. Piłkarza, co chyba mogę powiedzieć bez przechwałek, o pewnej renomie.

Gdybym urodził się w rodzinie zamożnej, gdybym nie odczuwał nieodwołalnej życiowej potrzeby wyrwania się z mego środowiska, nie byłoby prawdopodobnie ani Raymonda Kopy, ani wielkiej przygody piłkarskiej, ani stadionów Reims i Realu Madryt ani reprezentowania barw Francji. Byłbym zapewne dobrym graczem, bo albo ma się do czegoś dryg, albo nie, a jeżeli posiada się większy lub mniejszy talent, zawsze jest szansa. Można mieć wiele zalet, można być sprawnym, zręcznym, inteligentnym, rozważnym — wszystko to nie zda się na nic, jeżeli zabraknie najważniejszego — silnej woli. To znaczy wytrwałości, zawziętości, zimnego i twardego dążenia do zwycięstwa.

Nie miałem wyboru. Człowiek przyparty do muru chwyta się ostatniej deski ratunku i walczy do ostatka. Zwyciężysz lub zginiesz... Tak właśnie zrobiłem. Bez kopalni, byłbym — powtarzam to raz jeszcze — d o b r y m g r a c z e m. Niczym więcej. Ale istniała kopalnia, a ja nazywałem się Kopaszewski. Aby z tego wyjść miałem tylko piłkę nożną. To właśnie tłumaczy, dlaczego w czasie mojej kariery byłem tak aktywny na boisku i nigdy nie godziłem się z przegraną. Zawsze dawałem z siebie wszystko, zarówno podczas wygrywanego czy przegrywanego meczu. Inaczej czułbym dla siebie pogardę.

Jest wielu dobrych piłkarzy. *Znam takich i teraz, choć mamy* w futbolu lata chude. Znałem wielu dobrych piłkarzy; spośród nich najlepsi — gwiazdy — to ci, którzy posiadali coś jeszcze *oprócz* talentu: umiejętność prześcignięcia samego siebie oraz więcej woli i więcej zawziętości.

Mój przykład potwierdza, że kto chce zwyciężać, musi wiedzieć, co to głód i nigdy o tym nie zapominać. Nie ma cudów: w piłce nożnej, jak i gdzie indziej, o sukcesie decyduje praca, silna wola, charakter.

Gdy jestem na boisku, zawsze cieszę się jak chłopiec. Mówiąc prawdę, to w czasie całej mojej kariery nigdy nie miałem poważniejszych zmartwień. Nawet wtedy, gdy miałem kłopoty z kostkami, nawet podczas najbardziej twardych, zażartych meczów, gdy schodziłem z boiska całkowicie wyczerpany. W porównaniu z kopalnią — to była pestka. Szyb przeraził mnie do tego stopnia, że poczułem się skazany na życie galernika. Kiedy zjechałem na dół po raz pierwszy, byłem tak zrozpaczony, przygnębiony i załamany, że odkąd porzuciłem kopalnię, żyję stale jak we śnie i mam wrażenie, że stąpam po różach.

Kiedy słucham narzekań młodych zawodników i widzę ich, jak na boisku, skrzywieni i zrezygnowani, opuszczają ręce przy najmniejszym niepowodzeniu, jestem trochę zaskoczony. Dzisiaj młodzi mają mniejsze zamiłowanie do walki, nie potrafią się bić tak, jak trzeba.

Życie nie jest już tak ciężkie, to prawda, Ale nie jestem pewien, czy przez to ludzie są szczęśliwsi i czy potrafią to docenić.

Czy początkujący piłkarz potrafi dziś cieszyć się — tak jak my — ze swej pierwszej pary butów? Z pierwszej koszulki? Pierwszego wyjazdu na mecz? Ze swego pierwszego gola?

Chciałbym w to wierzyć...

Powtarzam raz jeszcze — to lepiej, że życie jest już nie tak twarde, bardziej ludzkie. Ale nie dziwmy się, że nie ma wśród sportowców wybitnych indywidualności.

Dosyć filozofowania. Nie zamierzałem prawić nikomu kazań. Próbowałem tylko wytłumaczyć w jaki sposób — oczywiście przy pewnej dozie wrodzonego talentu i dzięki sile charakteru, z kopalnianego popychadła potrafiłem przekształcić się w gracza, którego dziennikarze ochrzcili „Napoleonem futbolu" lub „najlepszym francuskim piłkarzem wszechczasów". Chociaż jest w nich trochę przesady, przyznam, że te określenia sprawiają mi dużą przyjemność.

Słowa, że piłka nożna dała mi wszystko, brzmią jak banał. To utarty frazes, ale w moim przypadku mogę udowodnić, że to absolutnie prawdziwe.

I nigdy nie wyrównam moich rachunków: cokolwiek bym zrobił dla francuskiego piłkarstwa, zawsze pozostanę dłużnikiem. Wiem, że nie zdołam się wywdzięczyć nawet w jednej setnej (choć nie jestem niewdzięcznikiem) piłce nożnej za te wszystkie radości, jakie mi dała.

Bez futbolu Kopa pozostałby Kopaszewskim. A bez Kopy futbol istniałby przecież równie dobrze. Wszystko zawdzięczam sportowi a sport nie zawdzięcza mi nic. Mówię to sobie zawsze i zawsze to głośno powtarzałem. Dlatego woda sodowa nigdy mi nie uderzyła do głowy. I nigdy nie brałem siebie zbyt pważnie, choć nie mam o sobie najgorszej opinii, wiem co jestem wart, zdaję sobie sprawę z moich zalet i wad. Nigdy też nie ceniłem się zbyt nisko. Ta równowaga pozwalała mi zawsze, nawet podczas najbardziej zawziętych targów z kierownictwem, żądać tyle, ile uważałem, że jestem naprawdę wart.

Piłka towarzyszy mi od kolebki. Kiedy szperam w pamięci, wspominam, oglądam zdjęcia rodzinne — z wyjątkiem tych, gdy jestem w pieluszkach — zawsze widzę w kącie jakąś puszkę od konserw, szmaciankę, później prawdziwą piłkę. Piłka przesłania mi wszystko. I muszę przyznać, że o sprawach nie związanych z piłką nożną mam wspomnienia mgliste. Bardzo mgliste...

Fragment z książki Raymonda Kopy.

Nie rozczulam się nad sukcesami

— Został Pan uznany za najlepszego polskiego piłkarza ubiegłego roku. Czytelnicy „Dziennika Łódzkiego" wybrali Pana jako najlepszego sportowca Łodzi. Ale na uroczystość ogłoszenia wyników plebiscytu spóźnił się Pan i najpierw zaszczytnego tytułu gratulowano Zbigniewowi Bońkowi, którego szybko awansowano z drugiego miejsca. Jak Pan przyjął fakt, że o mało co pozbawiono by Pana tytułu najlepszego sportowca Łodzi?

— Spóźniłem się nie z własnej winy. Było to niedopatrzenie organizatorów, i mojego klubu. Ale przeszło, minęło. Zresztą Zbyszek Boniek zachował się tak, jak trzeba i nie przyjął tytułu, który mu chciano pod moją nieobecność zafundować. Gdyby była odwrotna sytuacja, zrobiłbym tak samo. Nie wolno zmieniać decyzji, która wcześniej była podjęta, i to tylko dlatego, że akurat mnie w tym momencie nie było. Nie jest dla mnie takie ważne samo miejsce, które zająłbym w plebiscycie „Dziennika Łódzkiego", ale było mi bardzo przykro, że nie było mnie na uroczystości.

— Znaliśmy wielu piłkarzy, którym rokowano znakomitą karierę, mieli tytuły piłkarzy roku, odkrycia roku, a potem różnie z tą karierą bywało. Nie zaszkodzi Panu popularność?

— Jestem takim człowiekiem, który nie rozczula się nad minionymi sukcesami. To, co było, już nie jest najważniejsze. Zacząłem żyć jakby od początku. Trenuję normalnie, to znaczy tak, jakbym po raz pierwszy miał grać w I lidze. W moim postępowaniu nie kieruję się tym, że akurat jestem dobry, że ludzie mnie chwalą. Normalnie solidnie trenuję i żyję tak — jak wszyscy.

— Nic nie jest w stanie przewrócić Panu w głowie?

— Piję dużo pepsi, a wody sodowej mało.

— Czy to prawda, że w piłkarskiej karierze pomogły Panu konie, przy których służył Pan w wojsku?

— Liczyłem się z tym pytaniem. Raz powiedziałem w telewizji o koniach, było to po meczu w Lipsku, ale redaktor, który prowadził program, nie pozwolił mi dokończyć tego, co chciałem powiedzieć. I przyrzekłem sobie, że na ten temat nie będę więcej mówić. A przy koniach rzeczywiście byłem i pobiegałem sobie przy nich. Można powiedzieć — przydało się dla zdrowia. Ale nie chcę robić krzywdy Legii i nic więcej nie powiem.

— Ale konie Pan lubi?

— Nie lubię.

— Jak w ogóle trafił Pan do piłki nożnej?

— Można powiedzieć bez przesady, że z piłką stykałem się niemal od kołyski. Ojciec grał we Włókniarzu — Aleksandrów i tam zacząłem się bawić w piłkę. Zabierał mnie na wszystkie mecze, w jakich grał, ja mu kibicowałem, a teraz ojciec jeździ ze mną i kibicuje mnie. Od 10 roku życia zacząłem grać we Włókniarzu — Aleksandrów, w drużynie trampkarzy. Kiedy miałem 17 lat, w 1973 r., trener Mirosław Westfal ściągnął mnie do juniorów w Widzewie. Tu przez rok grałem w juniorach. Potem wyjechałem z seniorami na obóz, a Widzew był już wtedy w I lidze. Ale widać byłem jeszcze za młody, za mało doświadczony. Nie załapałem się. To mnie nie załamało, przeciwnie jeszcze bardziej się zmobilizowałem. Postanowiłem pokazać, że w piłkę umiem grać i może być ze mnie pożytek. Trafiłem do Legii, do wojska. To był przypadek, że akurat ze stu kandydatów z okręgu łódzkiego wybrali mnie, bo chciałem grać w Orle, w Łodzi. W Legii trener Strejlau dał mi szansę. Wyszedłem na cały mecz z Odrą — Opole. Przegraliśmy 0:3. No i znów musiałem pokazać na co mnie stać, żeby grać w I lidze. Wszystkie siły, jakie miałem, dałem z siebie. No i tak to jakoś trwa do dziś.

— Lubi Pan sobie podwyższać poprzeczkę.

— Lubię. Ale zdaję sobie sprawę, że w którymś miejscu jest pułap możliwości. Wtedy albo schodzi się w dół, albo idzie się równo. Będę starał się nie schodzić w dół.

— Jak teraz ocenia pańską karierę ojciec?

— Ojciec daje mi dużo wskazówek. Jeździ ze mną na wszystkie mecze, nawet na te wyjazdowe. Jeśli coś jest nie tak, ojciec mi od razu mówi. Korzystam z jego wskazówek, bo przecież grał wiele lat. Myślę, że gdyby grał dzisiaj, to grałby lepiej ode mnie. I dlatego wiele się od niego mogę jeszcze nauczyć.

— Jak się czuje bardzo dobry zawodnik, który gra w zespole obok gwiazdy?

— Normalnie. Respektu nie czuję. Zresztą jest to dobry doping. A jeśli Zbyszek Boniek nie gra, to człowiek czuje się jeszcze bardziej zmobilizowany, niż wtedy, kiedy on gra.

— A nie czuje Pan odrobiny zawiści?

— Nie. Zresztą, jak gramy dobrze, to wszyscy gramy dobrze. Jak jest źle, to wszyscy gramy źle.

— Jak to właściwie jest z Widzewem? Często macie różne kłopoty, a to trenerzy się zmieniają, a to dyskwalifikacje piłkarzy są bardzo surowe, nie omijają was kontuzje, a Widzew stale gra na równym, dobrym poziomie. Czy to Widzew jest takim nadzwyczajnym klubem, czy liga polska jest przeciętna, a wy jesteście powyżej tej przeciętnej?

— Widzew jest drużyną, gdzie zawsze są kłopoty. A jak się w klubie coś dzieje, to od razu pół Polski ma do nas pretensje. I dlatego Widzew się mobilizuje, żeby pokazać, iż nie jest taką wstrętną, brutalną drużyną, jakby to z dyskwalifikacji wyglądało, tylko normalnym zespołem. Dlatego, kiedy wychodzi ta podstawowa jedenastka na boisko, to stara się wszystko z siebie dać.

— Taka postawa zależy chyba od samych piłkarzy? Bo przecież trenerzy się zmieniali.

— To rzeczywiście zależy od samych zawodników. Trener może pogonić nas na treningu, ale to my wychodzimy na boisko i na meczu wynik zależy już tylko od nas.

— Pilnujecie się wzajemnie?

— Jeśli ktoś się obija na boisku, to pytamy, czy się źle czuje, czy ma słaby dzień. Jak nie, to mówimy: bierz się, chłopak, do roboty. I jedziemy. Piłka to nie szachy, i trzeba po męsku załatwiać sprawy.

— Po mistrzostwach świata grozi Widzewowi osłabienie. Ubędzie gwiazd i znów będziecie mieć kłopoty.

— Nie powinno być tak źle. Pani pewnie myśli, że będzie nam trudno utrzymać się w I lidze. Odchodzili przecież najlepsi zawodnicy: Lubański, Lato, Szarmach, a Górnik dobrze gra i Stal gra dobrze. Jedynie Legia jakoś nie może się pozbierać po stracie Deyny. Ale gdyby ci chłopcy mieli takie charaktery, jak nasi w Widzewie, to by też grali jak Widzew. Bo zawodnicy w Legii grać potrafią.

— Czy już się przygotowujecie, że trzeba będzie zastąpić na przykład Bońka?

— Na pewno trzeba będzie zastąpić. Więcej trzeba będzie z siebie dawać. Trzeba będzie poszukać zawodników, żeby ich godnie zastąpili. Ale nie powinno być tak źle. Marzy mi się, żeby w przyszłym roku, pod nieobecność naszych najlepszych, zrobić trzeci raz „majstra".

— Jak to — trzeci?

— No, bo teraz to chyba zrobimy, no i, daj Boże, żeby był trzeci.

— To już jesteście tacy pewni mistrzostwa w tym roku?

— A kto tu inny może zdobyć mistrzostwo w tym roku, jak nie Widzew? Nie widzę takiej drużyny.

— Oby miał Pan rację. Pomówmy w takim razie o mistrzostwach świata, nie sądzę bowiem, żeby nie znalazł się Pan w kadrze.

— Wszystko jest możliwe. Jeśli będę miał słabe występy, trener może mnie nie powołać.

— Trudno uwierzyć, żeby miał Pan akurat przed mistrzostwami słabe występy.

— Prawdę mówiąc, ja też w to nie wierzę.

— No, widzi Pan. Jak w takim razie ocenia pan szanse polskiej reprezentacji?

— Jestem takim zawodnikiem, że nie lubię przegrywać. Chcę, żeby Polska zajęła wysokie miejsce. To będą moje pierwsze mistrzowstwa, ale mierzę wysoko. Sądzę, że powinniśmy zająć czwarte miejsce. Ale wolałbym, żeby było jeszcze lepiej. Ja na pewno dam z siebie wszystko, jeśli będę grał. Takim, po prostu, jestem zawodnikiem.

— Sukcesy zależą jednak od wielu spraw. Nie tylko od przygotowania, nie tylko od kondycji, ale i od atmosfery w drużynie, od dobrego zgrania wszystkich piłkarzy. To już nie będzie Widzew.

— Do tej pory jest dobra atmosfera w reprezentacji i wydaje mi się, że zaczyna się w niej dziać podobnie, jak w naszym klubie. Oby tak było dalej.

— Czy przyjaźń, kontakty towarzyskie piłkarzy poza boiskiem pomagają potem w grze?

— Na pewno. Tak jest u nas w klubie. Często spotykamy się w rodzinach, przyjaźnimy się. A na boisku staramy się jak najlepiej podać piłkę koledze. Kontakty towarzyskie wpływają na dobrą atmosferę w drużynie. Sam trening nie wystarczy.

— Podobno piłkarze bywają przesądni. Czy to też pomaga w grze?

— Coś w tym jest. Na przykład, jeśli jedziemy na mecz, to nigdy nie zabieramy do autokaru kobiety. Ja też, kiedy jadę na mecz, to jadę zawsze tą samą trasą. Póki meczu nie przegramy. Jeśli przegramy, to szukam nowej drogi, żeby ta nowa była szczęśliwa. Robimy tak chyba dlatego, że jeśli ma się jakiś cel, a dla nas to wygrany mecz, wtedy wszystkie środki są dobre, jeśli cel zostanie osiągnięty.

— Przytaczę Panu zdanie jednego z piłkarzy brytyjskich: „Jeśli świat zawali się, to jedowiem się o tym tylko wtedy, gdy doniosą o tym gazety w rubrykach sportowych". Co Pan na to?

— Bzdura. Nie żyjemy przecież w klasztorze. Nie wyobrażam sobie, żeby polski piłkarz mógł żyć i nie wiedzieć, co się dzieje wokół niego. Czytamy prasę, staramy się śledzić wydarzenia na bieżąco. Po prostu żyjemy tym, czym żyją Polacy. Dla mnie świat nie kończy się na piłce. Mam takie same kłopoty i problemy jak każdy.

— Podobno „statystyczny" piłkarz zachowuje się w domu łagodnie. A jaki Pan jest?

— Zwyczajny. Po meczu długo rozmyślam, ale jeśli żona coś każe zrobić w domu, to robię, chociaż dalej rozmyślam o tym, co zdarzyło się na boisku. W domu zajmuję się wszystkim, co trzeba. Pomagam w porządkach...

— Czy myje Pan okna?

— Myć nie myję, ale pomagam żonie przy tej czynności. Skoro jesteśmy rodziną, to trzeba brać na siebie różne obowiązki.

— Ma pan dzieci?

— Dwóch chłopaków. Jeden ma dwa i pół roku, drugi 13 miesięcy.

— Czy swoich chłopców też wychowa Pan na piłkarzy?

— Będą robić to, na co sami się zdecydują. Ale tak, jak mój ojciec zabierał mnie na mecze, tak i ja zabieram starszego.

— Już?

— A co, za wcześnie? Dwa i pół roku chłopak? Jak zrobi się trochę cieplej, to go podczas treningu puszczę na boisko. On będzie biegał, a ja będę wykonywać swoją pracę.

— Helmut Schön twierdzi, że piłkarskim indywidualnościom grozi wymarcie. Czy Pan się z tym zgadza?

— Czy ja wiem? Byli dawniej wielcy piłkarze, są i teraz. Ot, choćby Zbyszek Boniek. Jeśli my skończymy grać, będą nowi, świetni piłkarze.

— Czy dużo widzi Pan takich kandydatów?

— Myślę, że się znajdą. Chociaż, kiedy patrzę na młodych, to wydaje mi się, że wolą iść na dyskotekę, niż grać w piłkę. Ja to odczuwam i na meczu, i podczas treningu. Moi młodsi koledzy często zachowują się tak, jakby im było wszystko jedno, czy wygrają, czy przegrają. Chyba należę jeszcze do tych, u których widać było autentyczne zacięcie do piłki. Teraz to wygląda jakoś inaczej.

— Czyżby się Pan starzał? Takie stwierdzenia słyszy się od ludzi o wiele starszych od Pana.

— Nie, nie starzeją się. To wynika z mojego charakteru. Jeśli coś robię, jeśli gram, to staram się to robić, jak umiem najlepiej. Młodsi czasem robią wrażenie, jakby grali za karę. Niech Pani się rozejrzy po naszej kawiarni. Jesteśmy po treningu. Zostali wszyscy starsi. A młodzież poszła. Oni zawsze mają coś do załatwienia.

— FIFA ma zamiar wprowadzić przepisy, które zabronią piłkarzom ściskać się po zdobyciu gola, wymieniać koszulki po meczu. Jak Pan to ocenia?

— Bardzo mi się te pomysły nie podobają. Przecież, jeśli strzelimy bramkę, to cieszymy się, że jeden drugiemu pomógł, że się udało. To jest nasza wspólna radość. Zimą i latem harujemy po to, żeby w sezonie wypaść jak najlepiej. Wychodzimy na mecz i to jest nasza praca. Chcemy mieć z tej pracy zadowolenie. Myślę, że nie uda się wprowadzić tych zakazów. Tylko człowiek, który nie zna się na piłce, nie zna jej smaku, mógł coś podobnego wymyśleć. Dziwne, że tacy ludzie znaleźli się w najwyższych władzach piłkarskich. No bo jak można zabronić człowiekowi radości?

Foto: M. Zajdel

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

P.S. Z Włodzimierzem Smolarkiem rozmawiałam jeszcze przed przegranym meczem Widzewa z warszawską Legią.

Świąteczny przegląd prasy

Uśmiech i życzliwość

Przegląd prasy spełnia różne role. Przede wszystkim powinien wyrażać stosunek redakcji do spraw poruszanych przez inne pisma, a więc jest okazją do polemik i sporów. Powinien również informować Czytelników jednego pisma o tym, co piszą inni, zwracając im uwagę na te publikacje, które nie mogą ujść ich uwadze. Powinien też czasami podpierać racje pisma racjami wyrażanymi przez innych, na zasadzie: „a widzicie, nie tylko my tak myślimy, oni również". To informowanie Czytelników o tym, co piszą inni ma szczególne znaczenie wówczas, kiedy pisma szybko znikają z kiosków, ale również i wówczas kiedy pisma leżą w kioskach, bo są drogie i nie każdego stać na niedzielną lekturę większości ukazujących się tygodników. A każdy przecież chciałby wiedzieć też i o tym, co piszą inni. Tak więc nasz przegląd prasy będzie spełniał i taką funkcję. Póki co jednak — i to z racji tego, że dopiero wracamy do kiosków, jak i z racji tego, że wydajemy numer świąteczny — przegląd nasz ma charakter świąteczny, a więc i jest inny niż powinien być, bo trudno powiedzieć „niż bywa zawsze", gdyż do tej pory nie bywał jeszcze. Zwróćmy w tym przeglądzie uwagę na sprawy dziwne, śmieszne, błędne, złe, albo tylko dowcipne.

Coraz trudniej jest nie tylko żyć, ale i organizować różne imprezy, w tym też i sportowe. Przekonał się o tym Janusz Oczachowski, który w Polskim Związku Podnoszenia Ciężarów odpowiedzialny jest właśnie za organizowanie imprez. A do tego potrzebny jest zegar i monitor. Janusz Oczachowski — jak doniósł o tym „Przegląd Sportowy" z 24 marca 1982 r. — nie może wypożyczyć owego zegara i monitora w COS — co to jest COS „Przegląd Sportowy" nie wyjaśnia — bowiem zgodnie z nowymi cenami za godzinę musiałby płacić 900 zł, a ponieważ zawody w podnoszeniu ciężarów trwają i po 40 godzin, więc suma za to wypożyczenie wychodzi ogromna.

— *„Dwa lata temu* — cytuje „Przegląd Sportowy" wypowiedź Jana Oczachowskiego — *za połowę tej sumy organizowałem mistrzostwa Polski łącznie z atrakcyjnymi nagrodami. Fundusz, jakim dysponuję starczy mi na pół roku."*

Trudności mają nie tylko ciężarowcy, mają je i inni organizatorzy sportu. Ceny rosną, a fundatorów, którzy chcieliby utrzymywać kluby sportowe coraz mniej. Fabryki już nawet gazet zakładowych nie chcą wydawać. W Łodzi na 7 gazet być może będzie się ukazywała tylko jedna, w ŁZPB im. Obrońców Pokoju, a to przecież wydatek znacznie mniejszy niż finansowanie, czy tylko dofinansowywanie klubu sportowego. Oto tenże sam „Przegląd Sportowy", ale z 23 marca 1982 r., zadaje dramatyczne pytanie:

„Na boiska! Boso?". Pytaniem tym opatrzył rozmowę Krzysztofa Żorskiego z zastępcą dyrektora krośnieńskiej Fabryki Obuwia Sportowego „Polsport" — Adolfem Ćwiąkałą. Ów dyrektor podaje aktualne ceny butów sportowych:

Buty treningowe kosztowały dotychczas 450 zł, teraz — 750; buty piłkarskie 700, teraz — 1150; piłki siatkowe klejone 665, obecnie — 1100."

Ceny niby mało poszły w górę, ale poszły. Szkopuł tylko w tym, skąd wziąć pieniądze. I biedzi się nad tym niejeden prezes sportowego klubu. Bo przecież piłkarze nie wybiegną boso na boisko, a siatkarki nie będą grały szmacianką. No i młodzież nam rośnie i warto, aby dla zdrowia zajmowała się sportem.

Ceny są tematem stałym wszelkiej prasy, w tym sportowej również. Tygodniki jednak nie zajmują się wyłącznie cenami. Czasem Jerzym Urbanem. Do niedawna felietonista i publicysta, dziś również wiceminister, rzecznik prasowy rządu, nadal budzi kontrowersje, spory, niechęci i uwielbienia. W „Życiu Literackim" z 28 marca 1982 r. Janusz Roszko tak pisze o Jerzym Urbanie z okazji Urbanowej polemiki z artykułem Daniela Passenta z 1 numeru „Polityki":

„Dzięki licznym cytatom udało mu się (to znaczy J. Urbanowi — przyp. L. B.) *jednak stworzyć dzieło godne wiceministra, czyli dość nudne i trudne do przeczytania. Ostatecznie nie tylko Urban przewidział, że harce ekstremy, wsparte anarchistycznym zgiełkiem muszą się smutno skończyć... Oczywiście, Urban krakał, wykrakał i nie jest lubiany spontanicznie przez społeczeństwo, które przez 25 lat uwielbiało go za rozliczne felietony, chichrając się dzięki niemu co tydzień czytając „Szpilki" czy „Politykę" i cieszyło się w stylu „ale im przyłożył...". Ale jeżeli tylko Urban wykazał odwagę przyłożenia w odwrotnym kierunku — od razu został potępiony przez ogół."*

Taki już jest los felietonistów, że zawsze komuś muszą się narażać. Zresztą pisanie w gazecie ma to do siebie, że nie może być adresowane jednocześnie do wszystkich, bo nikogo nie zadowoli, będzie bezbarwne, nijakie, bez poglądów i idei. A jeśli autor odważy się mieć poglądy, to natychmiast narazi się tym, którzy myślą inaczej i nie dopuszczają takiej sytuacji, w której inni mogliby myśleć inaczej niż oni. My nad wszystko kochamy nietolerancję, deklarując uznanie dla bogatych tradycji naszej tolerancji.

Co innego jednak jeśli autor swoje odmienne zdanie buduje na nieporozumieniu. Andrzej Bajorek w „Życiu Warszawy" z 30 marca 1982 r. opublikował „Wiosnę po widzewsku", zaczynając ją zdaniem, że Widzew *„tak jak cała Łódź, jest krzyżówką starego z nowym"*. Tak to widzi i ma do tego prawo. Aliści trudno mi się zgodzić z oceną ulicy Przędzalnianej, choć nie należy ona do najpiękniejszych w mieście, to widziałem w kraju ulice jeszcze bardziej monotonne i nie trzeba tak daleko ich szukać, jak to sugeruje autor „Wiosny po widzewsku". Przędzalniana nikomu nie musi się podobać, i nie przemawia przeze mnie „lokalny patriotyzm" srodze urażony, a tylko zdziwienie, że autor publikacji w „Życiu Warszawy" nie rozumie, że może Przędzalniana nie jest najpiękniejsza, to jest... zabytkiem.

W „Wiadomościach Skierniewickich" wypowiadają się mali Polacy:

„Co byście chcieli w Polsce zmienić?

— Ja bym chciał, żeby stanu wojennego nie było, tylko żeby było dużo cukierków.

— Żeby nie było kartek, żeby wszystko można było kupić. Nawet 30 kg cukierków."

„Przekrój" z 28 marca 1982 r. prosi, aby nie powtarzać za nim, że *„Niedługo zestarzeją się nam te dzieci, które jeszcze pamiętają pastę do zębów"*. Jeśli my ich przedtem nie nauczymy robić tę pastę. W końcu nie jest to taki wielki wynalazek. Nim się jednak te dzieci zestarzeją, urodzą się nowe. „Tygodnik Kulturalny" (nr 1 też z 28 marca) rozpoczyna cykl artykułów *„dotyczących spraw miłości, rodziny, życia w społeczeństwie"*. Pierwszy nosi tytuł: „Kto z kim i dlaczego?" Autorką jest Zuzanna Celmer, a dedykują go wszystkim, którzy w święta postanowili zmienić stan cywilny, a wśród nich i naszej koleżance red. Grażynie Szypowskiej, która taką decyzję podejmie 11 kwietnia 1982 r. Dużo szczęścia!

LUCJAN BOGUSZ

Nowe ceny periodyków, w tym i „Odgłosów", od chwili gdy zostały arbitralnie ustalone, ciężkim kamieniem legły nam na sercu. Chcieliśmy się nawet bronić i wołać „ratunku". Daniel Passent w ostatnim, datowanym 3.IV. numerze „Polityki" wyręczył nas jednak w stylu tak świetnym, że postanowiliśmy w obszernych fragmentach przedrukować jego

Felieton za 20 złotych

Nowa cena — stare metody, czyli „wraca nowe" — tak powinien brzmieć tytuł tego felietonu. Kiedy POLITYKA zdrożała do 20 zł za sztukę, nie pisałem o tym, gdyż nie chciałem być podejrzany o partykularyzm, a zwłaszcza o to, żeby moje wypociny sprzedawane były jak najtaniej i docierały pod strzechy. Ale kiedym zobaczył miesięcznik „Literatura na świecie" za złotych 120, postanowiłem odrzucić skrupuły, gdyż ludzie, którzy ustalili takie mordercze ceny również skrupułów nie mają. Kiedy poznamy ich nazwiska (w co wątpię), wówczas okaże się, że żaden z nich prasy nie kupuje, tylko dostaje ją za darmo, czyli na koszt ojczyzny. Tę zaś, jak wiadomo, stać na wszystko.

Swoją starą i wypróbowaną metodą (gwarancja była na 20 lat, a ciągle jeszcze różni majsterkowicze naprawiają darmowo usterki w moich felietonach) przedstawię się najpierw jako lojalista: prasa zdrożeć musiała, choć niekoniecznie zdrożeć musiały wszystkie gazety. Niektóre przynosiły tak wiele zysku, że obroniłyby się nawet przy nowych kosztach papieru, druku, kolportażu etc. Ale załóżmy nawet, że zdrożeć powinno wszystko — od „Świerszczyka" do „Żyjmy dłużej" (co do mnie, to nie wiem, czy warto). Sposób w jaki dokonana została ta podwyżka oraz jej wysokość wołają jednak o pomstę do nieba.

Sposób jest dokładnie taki, jak przy podniesieniu opłat pocztowych w ruchu zagranicznym: bez udziału opinii publicznej, bez powołania dwóch — trzech niezależnych zespołów, złożonych z ekonomistów oraz zainteresowanych, które przedstawiłyby kilka wersji cenowych, a z nich wybrano by najlepszą. Wręcz odwrotnie: cichaczem, bez konsultacji (niech odżyje raz ten dziwoląg naszego słownictwa), raz, dwa, trzy, ktoś powiedział, ktoś kazał, ktoś wykonał i dziś nie wiadomo skąd i dlaczego „Literatura na świecie" kosztuje 120 zł za sztukę, a „Polityka" 20. Dlaczego miesięcznik nie kosztuje np. 80 zł, a tygodnik 14 — tego wam nikt nie powie, bo i powiedzieć nie może, ponieważ są to ceny wyssane z palca księżycowej ekonomii. Czy Księżyc może mieć palec? — U nas tak, może i jeszcze nim pogrozi.

(...) Pozostają jeszcze trzy kwestie, wcale niebagatelne: jakość, popyt oraz propaganda. Wszystkie one przemawiają za obniżką zbyt wygórowanych cen prasy. Co do jakości, to nie łudźmy się — przynajmniej w początkowym okresie JAKOŚĆ czasopism musi być niższa. Czasy nie są takie ciekawe, część środowiska z własnej woli lub z konieczności musiała wycofać się z publikowania, gazety nie są dziś tak pasjonujące jak były.

POBYT również musiał spaść. Jest to wynik hibernacji politycznej, trudności finansowych społeczeństwa, niechęci, nieufności i pewnej apatii, przez które przebiją się tylko nieliczne tytuły, zwłaszcza po tak prohibicyjnych cenach. Wreszcie PROPAGANDA. Jeżeli ma być prowadzony dialog, dyskusja, jeżeli prasa ma pełnić choć w części rolę telefonu pomiędzy władzą i społeczeństwem, a także różnych kręgów społeczeństwa między sobą, to nie może to być automat telefoniczny, do którego trzeba wrzucać dwudziestozłotówki. Już obecnie prasa stała się prasą dla najbogatszych, co jest jedną z przyczyn, że jej spożycie — podobnie jak książek i papieru w ogóle — należy w Polsce do najniższych w Europie. Nowe ceny umocnią nas jeszcze na tym miejscu, gdyż są ustalone zdecydowanie za wysoko, powyżej mojego rozumienia racji ekonomicznych i politycznych. (...)

Rys. Raymond Peynet

Święcone u Jaśnie Oświeconego Księcia Radziwiłła Sierotki

„W zamku dopiero czekał na aspekt niespodziany. Skoro bowiem otworzono drzwi do pierwszej sali, zaleciało nas powietrze i aura przesiękła zapachem święconego, które urządził kucharz pierwszy JO księcia, Włoch Loga, ku krotochwili i zabawie; w pierwszej bowiem sali stały trzy pasztety olbrzymiego kształtu, które ujrzawszy książę zawołał: „W. Panowie, do attaku!" — co wymówiwszy zdjął z pierwszego pasztetu czapkę — i wzleciało z niego wielkie mnóstwo żywych kuropatw, jemiełuch, gołębi, jarząbków, ortolanów, które potłukłszy okna powylatywały na dziedziniec — gdzie jeszcze był długi ogon szlachty cisnącej się za księciem panem, a ci, że wielu było uzbrojonych w fuzje, zaczęli owe ptastwo strzelać w lot, tak że czasami wlatywał szrot do sali i spadał gradem od pułapu, odbity na nasze łysiny, lecz że okna były wysokie, żadnemu to z nas nie szkodziło.

Tu książę przyzwał kucharza do sali i zaczął go mocno strofować za to, że nie dopiekł zwierzyny — kucharz się tłumaczył po włosku, a że mi ten język nie był obcy zrozumiałem, co mówił i byłem wielce ciekawy, co się w drugich pasztetach okaże. Albowiem zapytany kucharz, co się znajdowało w wielkiej piramidzie stojącej na prawo, odrzekł księciu panu, iż upiekł w niej całego Laokonta z wężami — a gdy wytłumaczyłem szlachcie, a znajdowało się wielu, którzy znali historią Eneasza przez Wergiliusza rymem uwiecznioną, wszyscy wyglądali owego Laokonta w zadziwieniu. Wtem JO książę, wziąwszy ze ściany buławę żelazną nabitą gwoździami, dał tak po piramidzie, że aż się rozleciała — i ujrzeliśmy siedzącego na ruinach pasztetu karła, w cielistym ubiorze, który był cały skrępowany kiełbasami, jakby ów Laokont właśnie, pasujący się z gady Minerwy.

„A i ten żyje!" — krzyknął z gniewem książę. Na to kucharz Loga niby zawstydzony odezwał się: „Decoctus erat sed resurrexit.*) — Może to być — rzekł pan Sierotka — a w trzecim pasztecie co?" Na to kucharz odpowiedział po włosku, iż była tam Andromeda przykuta do skały łańcuchami, a smokowi oddana na pożarcie — jakoż i po rozbiciu trzeciego pasztetu znaleźliśmy karlicę księcia, tak nazwaną Dyjannę, która święconem salcessony przywiązana była za ręce do pasztetu, a przed nią leżał ogromny szczupak mający zamiast własnej głowę dzika, z paszczęką otworzoną, która bez wątpienia karlicy owej mogła być grobem.

JO książę udawał gniew — a my wszyscy dziwiliśmy się tym pięknym inwencjom Włocha, które niby oszukując nas, w zawieszeniu trzymały ranny apetyt. Tu wystąpił ksiądz Ryłło jezuita, już nie udając giewu, ale prawdziwie rozsierdzony, i rzekł: „Nie godzi się, książę panie, z tworów boskich czynić takie igraszki — oto ja, nie wiedząc, co było w tych pasztetach, poświęciłem je, więc i te stworzenia poświęcone zostały, jako rzeczy na jadło przeznaczone, a teraz mam skrupuł i grzech na sumnieniu".

„Ja to sam wymyślił — rzekł książę — więc będą pokutował w Jeruzalem, a te karły wczoraj spowiadały się i jadły komunikanta, więc woda święta nie spadła na diabła; a żałuję teraz, że zamiast tych trzech pasztetów nie kazałem zrobić jednego i wsadzić weń Drzymałę — bo nie bywa na nabożeństwie, toby choć raz napił się święconej wody — może by schudł — ale to rzecz niestracona, bo go znajdziemy w holenderskim serze w drugim pokoju. Wlazł sam na prośbę panny Anny marszałkówny, w której się kocha". Pan Drzymała, który stał przy mnie sczerwieniał od gniewu, ale nic powiedzieć nie śmiał, aby uczty nie stracił, więc tylko mruczał pod nosem (...).

Obróciliśmy (wtenczas) oczy na święcone, a było na co patrzeć, albowiem i tu pod prezydencją księcia kucharz wszystko tak urządził, że nie tylko apetytowi, ale i myśli było przyjemnem. W sali tej albowiem śród mnóstwa drzew, z miodu lipcowego była sadzawka, z wyspą zielonym owsem pokrytą, na której pasł się święty baranek z chorągwią, mający oczy ze dwóch karbunkułów ze skarbca JO księcia wyjętych, które błyszczały niezmiernie. Na tego baranka godziło czterech dzików okropnej wielkości, upieczonych całkowicie, a dwanaście jeleni ze złoconemi rogami w różnych pozyturach wyskakiwało z lasu, który był z drzew pomarańczowych, różnemi konfektami obrodzony.

Gdy tu same mięsiwa, to w przyległej komnacie były ciasta i napoje niemniej misternie ułożone. Nie lasy tam, ale baby podobne skałom nosiły na głowach z migdałowych murów grody i fortece, coś nawet podobnego Jerozolimie widać było, albowiem śród cukrowych domów ukryte ananasy koronami szaremi naśladowały palmowe drzewa, a w bramach zaś figurki cukrowe w szmalcowanych pancerzach i z krzyżami czerwonemi na piersiach, jako jerozolimscy rycerze za czasów Godfreda, stali na straży. A jam pożałował, że nie miałem przy sobie małego Michasia, abym mu te wszystkie jasełka pokazał i wytłumaczył, boby w pamięci dziecka przynajmniej zostały, nim ruinie ulegną (...).

Książę pan, który swoim konceptom nigdy nie ucinał ogona, przystąpiwszy z nożem do ogromnego sera holenderskiego, rozciął go na poły i zapytał: „A gdzie pan Drzymała?... Panno Anno — dodał, obracając się do w. panny marszałkównej — myślałem, że twój więzień tu — chciałem uwolnić." — „Pan Drzymała jest w serze — zawołał pan Dunin — ale ja mu włożyłem kamień do kieszeni, co sprawia, że jest niewidzialny — więc teraz może już z otworzonego sera wyszedł i stoi pomiędzy nami, a my go nie widziemy". Książę pan mrugnął na nas, a myśmy zrozumieli, o co rzecz idzie, ile że pan Dunin pierwej już szepnął niektórym na ucho, co mają czynić. Więc ci nawet, co najbliżej stali pana Drzymały, udawali, że go nie widzą, pytając jedni drugich: „Gdzie jest wielmożny Drzymała? Gdzie pan regent Drzymała? Gdzie poważny pan szlachcic Drzymała, nasz wielki przyjaciel?"

— „Ja tu jestem! — odezwał się jak z beczki pan Drzymała, a panom wolne żarty." — „Panie! — odezwał się pan Sierotka, słyszemy twój głos, ale waćpana ani śladu — wyjm kamień z kieszeni, panie, bo strzelę na wiatr z fuzji w stronę, gdzie słychać ciebie po zapachu sera holenderskiego. Zamknąć podwoje, bo gotów nam figla spłatać i wynieść się niepostrzeżony. Panie Drzymała, prosiemy na miłość Boga, nie rób z siebie fantazma. W imię Ojca, Syna i Ducha, panie Drzymała — pokaż się".

— „Panie Drzymała, pokaż się!" — krzyknęła szlachta, patrząc na pana Drzymałę, który stał wtenczas wszystkim na widoku, gdyby rak ugotowany na farfurce, albowiem i twarz, i żupan miał z karmazynu.

„Mości podczaszy — rzekł JO książę do Dunina, więc przepraszam waści, żem ci wczoraj uchybił mówiąc: łżesz kiedyś mi waść o tym kamieniu bajdurzył, a teraz widzę, że to prawda. Lecz mam do ciebie, panie kochanku, ansją, żeś twego kamienia na panu Drzymale spróbował, bo ja na niego lubił patrzeć — on piękny człowiek — i panna Anna będzie się smucić, że go nie widzi. Już to się ja nie lękam, aby nas pan Drzymała okradł, bo to człowiek uczciwy. Ale panna Anna dla niewidzialności jego teraźniejszej może szwankować..."

*) „Był ugotowany, lecz zmartwychwstał".

Juliusz Słowacki: „Preliminaria Peregrynacji do Ziemi Świętej J. O. Księcia Radziwiłła Sierotki".

— Gdybym wiedziała, że nie masz mieszkania, nigdy bym za ciebie nie wyszła...

Rys. Raymond Peynet

— Zwariowana pogoda; jednego dnia chłodno, drugiego ciepło. Doprawdy nie wiadomo już jak się ubrać...

Rys. Raymond Peynet

1 Lewym okiem

O wylatywaniu nad poziomy

Narzekanie na młodzież jest stare jak świat. Podobno najstarszy rozszyfrowany napis wyryty krzemieniem w granicie głosił, że czasy są coraz gorsze, a młodzi coraz mniej warci. Równie starym i przez wieki niezmiennym zjawiskiem jest wykpiwanie tego pierwszego, czyli: zawsze mówiło się o młodych ludziach z przekąsem i zawsze się własne sądy na ten temat podważało.

Kto wie jednak, czy ta niezmienność i powszechność przekonań nie świadczy właśnie o ich prawdziwości. Nie w tym sensie, że co pokolenie to gorsi ludzie, tylko raczej w tym, że każdy młody człowiek musi jednak coś ze swojej młodzieńczej niefrasobliwości utracić, musi dorosnąć a nawet trochę się podstarzeć, żeby stać się naprawdę pełnowartościowym, akceptowalnym, godnym zaufania członkiem społeczności.

Taki malutki, a znamienny objaw: mieliśmy bardzo ciężki, kilka tygodni trwający okres pomiędzy ogłoszeniem stanu wojennego, a generalną podwyżką cen Sprawę podwyżki dyskutowano wówczas na wszystkie możliwe sposoby, czego nieuniknionym a zrozumiałym skutkiem było wykupywanie masowe, niepamiętne, zachłanne wszystkiego, co nadawało się do... czasem do niczego, do wzięcia w rękę. Ani za mojej dość długiej już pamięci, ani nigdy chyba w historii naszego kraju, nie było takich kolejek wzdłuż całych ulic, nie kończących się, przerażających kolejek.

Jednocześnie był to okres, kiedy nieczynne były uczelnie, szkoły średnie, podstawowe — żadne. Nie było ślizgawek, kin, wycieczek, dyskotek, basenów i klubów z ping-pongiem. Trzecia część ludności naszego kraju — ta poniżej dwudziestu pięciu lat — nie miała absolutnie nic do roboty ani do zabawy. No i powiedzcie — czy w tych bezkresnych kolejkach dostrzegł kto kiedykolwiek takiego młodego człowieka? Nie! Oni są wyżsi ponad takie bzdurne marnowanie czasu! Za nich stoją mamy i babcie, ojcowie (starzy) i dziadkowie (bardzo starzy). Bardzo staremu człowiekowi nikt w kolejce miejsca nie ustąpi, bo ci przed nim są tacy sami. Nie usiądzie w aptece na jedynej ławeczce staruszka, bo tam już siedzą trzy inne staruszki. Młodego i młodej do takiej roboty się nie wygna Minęły czasy, kiedy w każdym rzemiośle pierwsze dwa lata terminowania to było latanie po zakupy, po wodę i po węgiel dla majstrowej. Teraz majstrowa po ciężkiej pracy w fabryce lub urzędzie staje w kolejce i stoi w niej do następnego rana, żeby swojemu synalkowi kupić gatki i pasztetową, a pociecha — zwolniony od nauki i od wszystkiego — siedzi przed telewizorem, kinie na marny program i kontestuje.

Młodość ma swoje prawa. Oczywiście, że ma. Ale nie powinno być prawdą, że młodość ma tylko prawa. To jest zasada nie tylko nie pedagogiczna, ale wręcz antypedagogiczna Nie wolno dzielić świata na dwa: ten dla dorosłych, tamten dla młodzieży. Kiedy się do takiego podziału dopuści, kiedy szczelina pomiędzy rzeczywistością a marzeniem o Arkadii zanadto się rozszerzy — może się zdarzyć, że młodzieńcza fantazja nie tylko niczego w rzeczywistości nie naprawi ale — nie skrępowana poczuciem odpowiedzialności — tę naszą rzeczywistość ludzi dorosłych na długo popsuje.

Co podaję jako skromny temat do rozmyślań na ostatnie dni Wielkiego Postu, zapowiadającego się na ładnych parę latek.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI (ĆWIEK)

2

I ty zostaniesz realistą

Kiedy pierwszego lutego, nie bez determinacji w oku i patosu w geście, znalazłem wreszcie odpowiednio gruby zeszyt w kratkę, a potem rozsiadłem się, aby powpisywać cyferki z paragonów i bonów kasowych, mój czteroletni Tomek, zainteresowany widocznie drżeniem ręki, w której trzymałem długopis, zapytał: — Tato, co robisz? — Księgowość synku — odrzekłem, czekając na dalsze pytania. — Acha, księgowość — on na to i odszedł do swoich klocków. Czym mnie zaskoczył, bo w jego wieku każde pytanie wywołuje następne aż do pełnego zaspokojenia poznawczej pasji. No tak, myślę sobie, wpisując kolejną trzycyfrową liczbę, profesor Krasiński był równie częstym gościem w telewizji jak bohaterowie Dobranocek — nawet dzieci zostały ujęte jego darem perswazji.

Następnego dnia miało się okazać, iż moje rozumowanie zasadzało się na przesłankach dość powierzchownych. Oto na tablicy ogłoszeń i komunikatów w przedszkolu, które edukuje tymczasem Tomka, znalazłem informację zatytułowaną „Założenia wychowawcze w miesiącu marcu". I wyczytałem tam między innymi:

„1. Nabywanie odporności na niepowodzenia oraz wiary we własne siły przy pokonywaniu trudności; 2. Opanowanie zbyt gwałtownych reakcji wywołanych uporem, lękiem".

Czy mogę zatem dziwić się dalej powadze i zrozumieniu z jakim moje dziecko przyjęło przecież enigmatyczną odpowiedź? Co najwyżej, nie bez ciekawości, mogę domniemywać jakież to teraz — biorąc pod uwagę powyższe „założenia wychowawcze" — bajki będzie się opowiadać w przedszkolach. Chyba nie o „księżniczce na ziarnku grochu" ale raczej o „madejowym łożu" lub o „dziewczynce z zapałkami" (zima wprawdzie minęła, parabola zostaje).

I my dorośli, naczytawszy się w latach siedemdziesiątych rozmaitych klechd sezamowych, wciąż myślimy kategoriami Ali Baby (po dziś dzień przed łódzkim „Sezamem" na Piotrkowskiej roją się tasiemcowe kolejki), a „nawis inflacyjny" wciąż jeszcze zwycięsko atakuje handlowe półki i kontuary. Można się spodziewać, że obecne święta, kiedy to przejemy otrzymane właśnie „trzynastki" (dla wielu są to „ćwierćtrzynastki"), osadzą nas na bardziej realnym gruncie.

Nawis może się cofnie, ale idzie oto fala — co ja mówię — toż to potop! — nowych cen, którą trudno w tej chwili ogarnąć. Na nic kołonotatniki w kratkę. Co z tego, że wiem ile wydaję. Ważniejsze, iż dowiaduję się nagle ile mi brakuje. Słucham i czytam więc z nadzieją o pracach przeróżnych komisji, klubów i federacji konsumentów (tu też grozi inflacja!), które biorą nas w obronę przed apetytami cenowymi samorządnych przedsiębiorstw. I czasem dowiaduję się o jakichś obniżkach. Ale przypomina to sytuację piechura, który wlokąc się przez Saharę ze świadomością, że do najbliższej oazy ma sto kilometrów, zostanie poinformowany przez przypadkowego Beduina, iż ta oaza oddalona jest zaledwie o 98 kilometrów.

Gdy tak obserwuję nowe ceny i dyskusje wokół nich, zastanawia mnie fakt milczenia wspomnianych federacji na temat książek. Wiem, wiem — nie czas żałować róż itd. Przecież nie zrezygnowaliśmy, ni stąd ni zowąd, z ambitnych założeń „książki dla każdego", zwiększenia jej nakładów o 25 proc., edukacji kulturalnej socjalistycznego społeczeństwa i czegóż tam jeszcze. Czytam w „Polityce" reportaże o budżetach rodzinnych po podwyżkach, z których wynika, że w rubryce „wydatki kulturalne" widnieje zero. I się nie dziwię. Wydawnictwa poszły na całość — rozpowszechniając książki na fatalnym papierze, książki, które poświadczają, niemal całkowicie, upadek rzemiosła edytorskiego — podwyższyły ich ceny bez umiaru i zastanowienia. A — o ile pamiętam — mówiło się o preferencjach — a to o ochronie książek dla dzieci i młodzieży, książek o charakterze podręczników etc. Panowie, cofamy się w średniowiecze, kiedy żeby kupić książkę trzeba było sprzedać wieś! A kto dzisiaj ma wieś?

Ukazała się właśnie broszurka z dwoma traktatami Czesława Miłosza. Co podejrzliwsi upatrują w mało zachęcającej szacie edytorskiej jakichś podtekstów. Ale proszę spojrzeć na „Grażynę" Adama Mickiewicza. Ten przecież nie udziela wywiadów dla rozgłośni, która większość swojego czasu antenowego poświęca na informacje o pasmach słyszalności!

Może jestem nazbyt niecierpliwy, dlatego też — przypatrując się cenom książek (wiele z nich wydrukowano jeszcze przed grudniem, ale zapobiegliwie bez cen — te są wpisywane teraz długopisem przez księgarzy, że trzycyfrowe nie muszę dodawać) — nie będę takim weredykiem, jak pewien dyrektor wydawnictwa, który w łódzkich „Wiadomościach Tv" — nazwał takie praktyki „bandyckimi numerami" (to cytat, w razie czego można sprawdzić). A antykwariusze? Ci popadli w jakieś szaleństwo. Jak bowiem można ocenić fakt, że książka, która jeszcze parę dni temu była w księgarniach, w antykwariacie kosztuje dziesięć razy więcej?

Jeśli mamy być realistami (pozytywistyczne hasła zaczynają przyświecać naszym aktualiom społecznym) bądźmy realistami kytycznymi.

GRZEGORZ GAZDA

3 Spojrzenie znad szachownicy

Gambit Von Gooma

Przez lat bez mała dwadzieścia, ukryty skromnie pod imieniem JERZY, co pozwalało mi zagubić się w tłumie innych Jerzych szczycących się posiadaniem nazwiska, pisywałem na łamach „Expressu" takie ot małe felietoniki. Zmieniały się czasy, zmieniały się nadtytuły, a ja pisałem i pisałem, nic by mi z tej pisaniny nie zostało, gdyby Zbyszek Nienacki na łamach „Odgłosów" — tak, „Odgłosów" właśnie — nie był wywalił całej kolumny pod tytułem „Jerzy, czyli przyjaciel ludu", czy jakoś podobnie, szargając mnie okrutnie za propagowanie życia ułatwionego, poezji dla maluczkich i inne takie bezeceństwa. Dobrze już nie pamiętam, a nie chce mi się włazić na antresolę, gdzie przechowuję tekst starannie wycięty na użytek prawnuków.

Oczywiście my dziennikarze besztanie mamy niejako wpisane w pensję — skromną żresztą — beształ nas czytelnicy, koledzy po piórze, władze czasem. nie każdemu jednak poświęca się zaraz całą stronę, byłem więc poniekąd dumny, że autor Panów Samochodzików dla kraju i na eksport zechciał poświęcić mi tyle uwagi i miejsca. Po jakimś czasie z felietonów jednak zrezygnowałem, a jeszcze później — zacząłem nieśmiało wracać do szachów, wielkiej pasji lat szczenięcych. Tłumaczę się tak, ponieważ ani się spostrzegłem, kiedy ponownie zacząłem patrzeć na świat okiem szachisty, nie wolnego wprawdzie od emocji, poddającego się nastrojom, ale mimo wszystko usiłującego logicznie oceniać dynamikę wytwarzających się pozycji i przewidywać ruchy, które może wykonać nasz wielki, zawsze wygrywający partner — życie.

W szachach będących — jak chciał Dufrensen — egzemplifikacją nie zgłębionej jeszcze wiedzy o czasie i przestrzeni — ukrywa się wszystko, no, prawie wszystko. von Daeniken chyba dlatego tylko nie obwołał tej prastarej gry tajemniczym darem kosmitów, ponieważ wiemy dosyć dokładnie iż ewoluowała się ona na przestrzeni stuleci, a „wielka reforma" szachów trwała od XIII aż po wiek XVI, kiedy to ostatecznie zaakceptowano roszadę, dopuszczalne raz tylko w ciągu partii jednoczesne przemieszczenie się wieży i króla. Jeszcze może kiedyś o tym opowiem, może też uda mi się oszołomić czytelnika astronomicznymi wielkościami możliwych do wytworzenia na szachownicy pozycji, które wedle polskiego matematyka Edwarda Koflera w partii nie przekraczającej 150 posunięć wyrażałyby się liczbą złożoną z 601 cyfr...

Dziś chciałbym jedynie — znów korzystając z prawa felietonisty, pracującego, jak wiadomo, po trosze na wariackich papierach — wydać wątły głos protestu, złożyć votum separatum od nowej szaty graficznej pisma, może i uładzonej, z pewnością frapującej plastycznie, a nawet urodziwej w sferze projektu, ale mimo wszystko dziwnie mi obcej przez te poziome i pionowe paski biegnące z góry w dół od pierwszej do ostatniej kolumny.

Victor Contoska, autor nowelki S-F opublikowanej kiedyś na łamach „Problemów", opowiada o niejakim Von Goomie, zamożnym dziwaku i zapalonym szachiście, który latami własnym samolotem podróżował z turnieju na turniej, aby bezlitośnie przegrywać wszystkie partie.

„I wtedy właśnie odkrył swój gambit. Samo odkrycie musiało być dziełem przypadku, ale zasługę — czy też raczej hańbę — rozpracowania wariantów przypisać należy Von Goomowi. W toku swoich bluźnierczych eksperymentów przekonał się, iż gambit można rozgrywać zarówno białymi, jak i czarnymi. Nie było przeciwko niemu obrony. Musiał spędzić wiele przerażających nocy nad szachownicą, analizując sprawy, których człowiek nie powinien analizować. Odkrycie gambitu i wniosków z niego płynących okryło jego głowę siwizną, chociaż jego półwąs pozostał rudy aż do śmierci."

Zastosowanie gambitu przynosi Von Goomowi sukcesy, o dziwnym jednak charakterze: jeden z przeciwników umiera na atak serca, drugi dostaje rozstroju żołądka, trzeci z obrzydzeniem opuszcza salę, aby nigdy już nie zasiąść do szachów. Ktoś inny dostaje ataku epilepsji, kolejny z partnerów kończy jako szaleniec, aż wreszcie najwybitniejsi arcymistrzowie świata zbierają się na tajną naradę i znajdują odpowiedź na straszliwy gambit: wyprowadzają Von Gooma do lasu, aby tam go zastrzelić, a zwłoki przemyślnie ukryć.

„A co można powiedzieć o gambicie Von Gooma? Szachy są grą logiczną. Trzydzieści dwie figury poruszają się po szachownicy złożonej z sześćdziesięciu czterech pól, ciemnych i jasnych na przemian. Poruszając się tworzą pewne układy. Jedne z tych układów są przyjemne dla logicznego umysłu, inne nie. (...) Na podstawie takich układów — miłych albo niemiłych dla oka — można bardzo wiele powiedzieć nie tylko o grze i grających, lecz także o człowieku w ogóle, a może nawet o porządku Wszechświata.

Przypuśćmy teraz, że ktoś przypadkiem albo rozmyślnie odkrywa układ figur na szachownicy, który jest bardziej niż niemiły, układ nieludzki, który mówi straszliwe rzeczy o umyśle gracza, o człowieku w ogóle i porządku Wszechświata. Przypuśćmy, że każdy normalny człowiek, który raz ujrzał taki układ, nigdy już nie będzie normalny. Niewątpliwie taki właśnie układ musiał tworzyć gambit Von Gooma".

• • •

Nie twierdzę przynajmniej, że rozegraliśmy graficzny gambit Von Gooma, takie posądzenie byłoby w złym guście, zaprowadziłoby nas nadto nazbyt daleko. Jeżeli jednak nie mylę się w przypuszczeniu, że szachy antycypują niejako wszystko co możliwe, być może możliwy jest i taki układ pisma, który rzuci czytelnika na kolana, bądź wprawi go w stan osłupienia, stupor, każąc mu stać przed kioskiem tak długo, aż ukaże się następny numer, po który jednak nawet nie zdoła wyciągnąć ręki... Byłoby to pięknym osiągnięciem, zapewne jednak nie zupełnie takim, o jakie chodziło, zdeprawowany długoletnią pracą w gazetach codziennych żyją bowiem w naiwnym przekonaniu, że do podziwiania nadają się najlepiej piękne kobiety, natomiast pisma całkiem po prostu służą przede wszystkim do czytania.

JERZY

4

Poszukujemy sekretarki (metodą Parkinsona)

W klasycznym już dziele poświęconym biurokracji, a mianowicie „Prawie Parkinsona", znajdujemy interesujący rozdzialik „LISTA KANDYDATÓW albo zasady selekcji", z którego — przymuszeni wyższą koniecznością — postanowiliśmy niniejszym skorzystać.

Parkinson — przypomnijmy — podejmuje tu problem możliwie szybkiego, ale zarazem trafnego doboru właściwego człowieka na wakujące stanowisko, krytycznie oceniając metodę brytyjską (wg starego wzoru), która polegała na przepatrywaniu kandydatów wedle pokrewieństw z wysoko postawionymi osobistościami, jak i metodę chińską (również wg starego wzoru) sprowadzającą się do pisemnych konkursowych egzaminów obejmujących również układanie poematów. Grymasząc dalej autor źle wyraża się o tak modnych obecnie testach, wyśmiewa pełne pokus ogłoszenia, powodujące napływanie setek sążnistych podań, proponując w zamian spreparowanie skromnego objętościowo, ale starannie wyważonego inseratu, który winien sprawić, iż zgłosi się jeden tylko, ale za to właściwy człowiek.

Oto jeden z wzorcowych przykładów:

Potrzebny: Archeolog z wysokimi kwalifikacjami akademickimi, który chciałby spędzić piętnaście lat na odkopywaniu grobów Inków w Helsdump nad Rzeką Aligatorów. Przyznanie szlachectwa wzgl. równorzędnych zaszczytów gwarantowane. Emerytura przysługuje, lecz nikt z niej jeszcze nie skorzystał. Pensja 2000 funtów rocznie. Podania w trzech egzmeplarzach należy składać do dyrektora Instytutu Grzebalnego, Sickdale, 111., USA.

Złe i dobre strony — komentuje Parkinson — pięknie się tutaj równoważą. Nie ma potrzeby zaznaczać, że kandydaci muszą być cierpliwi, wytrzymali, odważni i nieżonaci. Sposób zredagowania ogłoszenia wyeliminuje wszystkich, którzy takimi nie są. Nie trzeba też wymagać, żeby kandydaci mieli bzika na punkcie odkopywania grobów. Bzika będą mieli na pewno. Zredukowawszy w ten sposób liczbę kandydatów do trzech, ogłoszenie ustala pensję w sam raz za niską, żeby pokusiło się o nią dwóch z nich, a obiecane zaszczyty w sam raz na tyle wysokie, żeby zachęciły trzeciego.

Koniec cytatu, teraz trzeba samemu ruszyć głową. Jesteśmy wprawdzie w o tyle kiepskiej sytuacji, że w ogóle nie umiemy określić wysokości pensji — pensję ustala wydawca — wiemy jedynie, że będzie ona raczej niska (acz nie najniższa z możliwych) nadto wypłacana w złotówkach, nie w funtach. Mimo braku funtów, a nawet uprawnień do wystąpienia o przyznanie szlachectwą, z całą pewnością potrzebujemy sekretarki, przeto po dogłębnych dyskusjach i wielokrotnych przeredagowaniach tekstu postanowiliśmy zamieścić taki oto anons:

„ODGŁOSY" poszukują piszącej na maszynie, niezbyt rozmownej sekretarki o pogodnym usposobieniu. Godziny pracy: 9 — 16.15. Soboty wolne.

Padały opinie, iż podobne ogłoszenie jest bez sensu, poszukiwany ideał sekretarki powinien bowiem znać co głośniejsze nazwiska ze świata polityki, nauki i kultury, a łącząc się z nimi przez telefon możliwie poprawnie wymawiać nawet obcojęzyczne słowa. Ideał byłby w miarę energiczny, umiał w razie potrzeby zaparzyć herbatę, odrobina poczucia humoru też by w niczym nie zaszkodziła, no i tak dalej, i tak dalej.

Zwolennicy metody Parkinsona odpowiadali: tak, to wszystko prawda, jednak ogłoszenie zamieszczamy w „Odgłosach", nie zaś w którejś z wielkonakładowych gazet, kandydatka nie czytająca pisma — a więc nie zainteresowana podejmowaną przez nas tematyką — w ogóle przeto na inserat nie trafi. Rzutkość poznamy po sposobie reakcji, nie precyzujemy przecież, gdzie i w jaki sposób należy się zgłaszać, zaś poczucie humoru po tym, że jakakolwiek reakcja w ogóle nastąpi, osoby nieufne i ponure, żartobliwego tekstu nie potraktują bowiem serio. Zagadką pozostanie wprawdzie umiejętność parzenia herbaty, na szczęście posiadamy w zespole eksperta, który może podjąć się edukacji nowego pracownika.

Spór toczył się wokół użytego zwrotu „niezbyt rozmownej", w istocie chodzi o to jedynie, aby nasza przyszła nieoceniona sekretarka nie szczebiotała godzinami z koleżankami przez telefon, sam fakt, iż zmuszeni jesteśmy do podobnego komentarza, podważa wszakże kwalifikacje zespołu opracowującego tekst. Trudno więc wykluczyć, iż w jednym z najbliższych numerów ukaże się inserat kolejny: *„ODGŁOSY" poszukują dziennikarza potrafiącego redagować ogłoszenia metodą Parkinsona*, co pośrednio obwieszczałyby o klęsce naszej dzisiejszej próby.

„Pogodne usposobienie" — wracamy do motywu sekretarki — przeszło natomiast absolutną większością głosów. Wszyscy mamy takie właśnie, a musimy przecież dbać o harmonię w naszym małym kolektywie.

Z UPOWAŻNIENIA KOLEGIUM
(—)
podpis nieczytelny

Miłość staropolska

ZBIGNIEW KUCHOWICZ

W dzisiejszym i kilku następnych numerach „Odgłosów" znajdzie Czytelnik fragmenty książki Zbigniewa Kuchowicza „Miłość Staropolska" przygotowanej do druku przez Wydawnictwo Łódzkie.

Autor, prof. dr hab. ZBIGNIEW KUCHOWICZ jest znanym historykiem kultury i obyczajów. Wydał m. in. książki: „Z badań nad stanem biologicznym społeczeństwa polskiego od schyłku XVI do końca XVIII w." (ŁTN 1972), „Wizerunki niepospolitych niewiast staropolskich" (XVI—XVIII w.) (1972), „Obyczaje staropolskie — XVII—XVIII" (1975 i wznowienia) i „Barbara Radziwiłłówna" (1976 i wznowienia).

Prace prof. Kuchowicza stanowią szczęśliwe połączenie naukowej dociekliwości i rzetelności z potoczystą narracją, co stawia autora w rzędzie najwybitniejszych popularyzatorów.

W XVIII stuleciu słynnym o licznych przeżyciach, tragediach serc, wielkich miłościach. Do XVII w. włącznie miłość, jak wiemy, była na ogół nieco skrywana, tajona, teraz zaś manifestuje się ją jawnie, jednoznacznie. Szczególnie żywo reagowały niewiasty. Np. rozwiedziona z Radziwiłłem podskarbianka nadworna Teresa Sapieżanka „zakochała się w Mokronowskim, generale wojsk koronnych tak mocno, że aż waryacyja jej przypadła, nie chciała się zwać Sapieżanka, ale Mokronowska; biegała, ludzi biła". Pierwsza lekarka polska, Samuela z Rusieckich Pilsztynowa przyznaje się do wieloletniego romansu z jakimś tajemniczym kawalerem, który ją zresztą najbezczelniej wyzyskiwał i oszukiwał. Zręcznie wmawiał w nią swe uczucia, zapewniał, że ją kocha i... stał się po prostu utrzymankiem zaradnej Salomei. Wszystko wskazuje, że współżycie fizyczne odgrywało w tym związku drugorzędną rolę, mamy tu wręcz klasyczny przykład ślepej miłości kobiety, która toleruje nadużycia — ba, prawie — zbrodnie — wybranego mężczyzny!

Piękna wdowa, kasztelanowa Ludwika Bierzyńska, ok. 1792 r. romansuje ze swym bratankiem Karolem Ponińskim. Zacytujemy jej słowa: „którego kocham, uwielbiam. Miłości mojej zwalczyć nie umiem ani chcę nawet. Ach, on potrafił do serca mego przemówić, opanować je i od wszystkiego oderwać! Czytaliśmy razem („Nową Heloizę") Russa". Efektem tych amorów była ciąża kasztelanowej, Poniński, by uniknąć skandalu, zgodził się na ślub z przystojną, lecz znacznie starszą stryjenką, która rychło powiła nie chciane dziecko. Dalsze losy związku są smutne, nawet tragiczne, ponieważ Karol równocześnie flirtował z pasierbicą — kilkunastoletnią Apolonią. Wreszcie porzucił żonę uciekając z młódką. Matka ze zgryzoty dostała pomieszania zmysłów.

Epilog tego romansu nie zmienia istoty zjawiska: kobiety po prostu kochały, bez względu na to czy miłość trwała miesiące, czy lata, bez względu na stałość czy niewierność mężczyzn. Mieliśmy do czynienia z wielkimi uczuciami, które miały szanse, w sprzyjających warunkach, stać się radością całego życia.

Sentymentalne uczucia opanowywały także mężczyzn, było ich bez wątpienia mniej niż w świecie kobiecym, lecz występowały przez całą omawianą dobę, częściej dając o sobie znać w aurze XVIII stulecia, która sprzyjała nie tylko erotyzmowi. Fiszerowa opowiada, ilu to mężczyzn kochało się w jej urodziwej matce; była ona „parysową Heleną rodziny". „Zapamiętale" zakochał się w niej m.in. Stanisław Bniński. Starosta Dłuski zakochał się znów mocno w Elżbiecie Goltzównie. Nie doszło do mariażu, ponieważ panna odmawiała wszystkim konkurentom, nie chcąc opuszczać kalekiej siostry. Koźmian pisze, że Dłuski „z tą miłością osiwiał, nie ożenił się i ciągle, chociaż i ona się w wiek zapędziła, wzdychał do niej".

Przystojny, zamożny Zborowski odznaczał się nieśmiałością wobec kobiet. W wieku 36 lat, będąc bezżennym, zakochał się szalenie w aktorce Maleckiej i sprawę sfinalizował przed ołtarzem. Cała historia trochę skomplikowana, ponieważ Malecka była w istocie kochanką Ochockiego — autora często tu cytowanego pamiętnika — który nawet patronował romansowi i był kontent ze ślubu, obiecując sobie wygodny romans z mężatką. Zawiódł się wszakże srodze, panna bowiem poślubiwszy Zborowskiego, który „ubóstwiał żonę", zerwała z kochankiem i stała się wierną, lojalną małżonką, co niepomiernie zdumiało przywykłego do sukcesów kawalera.

Franciszek Salezy Krasicki w 1789 r. poślubił Aleksandrę Grabowską, córkę konkubiny królewskiej. Matka, z niejasnych przyczyn, ingerowała w ten związek, nie pozwoliła jej mieszkać z mężem. Podczas jednego z przyjęć, Aleksandra nagle zasłabła i zmarła. Franciszek ciężko przeżył stratę, już się nie ożenił i do śmierci, która nastąpiła w 1821 roku zachował pamięć i uczucia dla wcześniej zgasłej żony. Powiadano, że resztę życia spędził „pogrążony w melancholii".

Uczucia miłosne spotyka się u person, które z pozoru wydają się najdalsze od porywów serca. Np. statysta, gracz polityczny, Ignacy Bohusz zakochał się gorąco w Teofili z Jabłonowskich Sapieżynie. Będąc już w wieku zapłonął do niej iście młodzieńczym ogniem namiętności, „nadspodziewanie tkliwej w tym surowym Sarmacie", jak pisze Władysław Konopczyński. Należy dodać, że była to miłość smutna, nie odwzajemniona. Teofila darzyła go bowiem jedynie zaufaniem i przyjaźnią.

Przeważnie miłosne podłoże posiadały, sławne z obyczajowości szlacheckiej raptus puellae. Zdarzały się sytuacje, że zawzięty amant rzeczywiście siłą brał pannę, terroryzując zarówno ją samą, jak kapelana. Najczęściej ów „rapt", jak słusznie pisał Bystroń, był czymś z góry ułożonym, starannie obmyślonym, przy zgodzie i współdziałaniu panny młodej, a czasem nawet jej matki. Kawaler zajeżdżał zazwyczaj w nocy, panna czekała już odziana i uchodziła z nim w nowe życie, biorąc jednak z miejsca ślub, z którym już czekał umówiony czy trochę przymuszony ksiądz. Niekiedy nie z domu, lecz z klasztoru porywano pannę, najczęściej też za jej zgodą i przy jej współdziałaniu. Nie bardzo zgadzam się jednak z Bystroniem, by władze duchowne patrzyły „przez palce na te figle". Wiemy, iż nieraz karano, wyklinano i piętnowano gwałtowników, nawet jeśli byli nimi magnaci w rodzaju Koniecpolskich. Wywierano też presję moralną, grożono „karą bożą", nieszczęściami. Fakt, iż mimo wszystko porwania z klasztoru nie były wyjątkowe, dowodzi tylko, jak silne bywały uczucia ówczesnych mocno wierzących przecież ludzi.

Porywano czy przymuszano do ślubu nie tylko panny, lecz także urodziwe i zamożne wdowy, które z tajoną radością przystawały na te pozorne gwałty. Pamiętnikarz Maskiewicz informuje, że w 1613 r. prosty wojskowy Ludwik Poniatowski ożenił się z możną wdową Stadnicką. „Wrzekomo ją gwałtem brał, ale z jej to wolą było; to dla przyjaciół i opiekunów czyniła. Potem żyli ze sobą dobrze, z pasierby nie wiem, jako, bo ich trzech zostało i córka". Czasem porywano się w ten sposób na mężatki, spragnione miłości w innym niż dotychczasowy, związku. O takich zdarzeniach informuje m. in. „Liber chamorum". Literacki opis uwiedzenia i uwiezienia z mężowego domu — chodziło o urodziwą i pełną temperamentu Włoszkę — pozostawił Adam Korczyński. Wypadki wykradania panien, rzekome przymuszanie w rzeczywistości właśnie kochających mężatek czy wdów zdarzały się do końca omawianego okresu. Chciała być porwana i namawiała do tego kroku jedna z wybranek Franciszka Karpińskiego. Kursowały wersje, w istocie nieprawdziwe, że usiłował porwać wojewodziankę Ludwikę Sosnowską — późniejszy Naczelnik Tadeusz Kościuszko.

O występowaniu silnych, bezinteresownych uczuć, tak u kobiet, jak u mężczyzn, świadczą popełniane w zamożniejszych środowiskach mezalianse. Nie było ich wiele, nie wyolbrzymiajmy tego zjawiska, niemniej występowały rzucając charakterystyczne światło na tamtych ludzi i stosunki. Jeszcze rzadziej dochodziło do spełniania tych planów, albowiem torpedowała je zazwyczaj zainteresowana rodzina. Wiadomo, że sprzeciw matki Jana Sobieskiego spowodował, iż przyszły monarcha nie zaślubił kochanej przez siebie szlachcianeczki, panny Orchowskiej. Sprzeciw ojców panien dwukrotnie uniemożliwił zawarcie małżeństwa z wybrankami serca Kościuszce. Znamy fakty, że szlachta, hołysze czy plebejusze byli po prostu mordowani przez możne rody, w wypadku, gdy sięgali po sprzyjające im panny. Wypadki fizycznego likwidowania osób z niższego stanu ilustrują np. dzieje Agnieszki Machówny, chłopki udającej szlachciankę, która w XVII w. poślubiła za granicą kasztelanica Stanisława Rupniowskiego, po jego zaś śmierci starostę Kazimierza Domaszewskiego. W walce z rodziną Rupniowskiego przegrała, dała głowę pod topór kata. Dla skazania posłużono się wygodnym pretekstem: wytoczono sprawę o bigamię, jako że miała jeszcze dwóch mężów. Sfinalizowanie mezaliansów należało, jak wspomniałem, do rzadkości, niemniej zdarzały się, szczególnie w XVIII stuleciu. Oto garść przykładów, na przełamywanie przez miłość barier stanowych i konwenansów.

Maskiewicz podaje, że ok. 1613 r. ubogi szlachetka Adam Ratowski pojął Annę z Mieleckich Ocieską, wdowę po kasztelanie sądeckim, panią wielkiej fortuny. Autor, komiliton wojskowy Ratowskiego, wylicza, ile to pieniędzy przypadło szczęśliwcowi. Powiada: wziął ją „z namiętnością wielką. Rzemień, majętność sławna w Polszcze jej, też 30.000 intraty z nią wziął, a chudzieńki pachołeczek; nie był jednak bezpieczen od przyjaciół jej, ale w konfederacyi nic mu czynić nie mogli, a przed zapłatą też trochę jechał do Włoch i tam lat dwie zamieszkał, niż tu piwo to się utarło". Przypuszczam, iż nasz junak przede wszystkim ową intratę miał na względzie, wszystko jednak wskazuje, że gorący afekt rozpalił ku niemu bogatą wdówkę, która we Włoszech szukała miejsca, by móc spokojnie cieszyć się młodym mężem.

Jeśli chodzi o okres saski, to najgłośniejszy mezalians, w którym przekroczono bariery stanowe, stanowiło małżeństwo wojewody krakowskiego Teodora Lubomirskiego z mieszczką krakowską, Elżbietą Summing, I voto Chriestie. Lubomirski żył z nią początkowo bez ślubu, później zaś oficjalnie pojął mieszczkę za żonę, dostarczając tematu do rozlicznych komentarzy. Jeszcze kilkadziesiąt lat później wspominał ten fakt Jędrzej Kitowicz, pisząc, iż wojewoda ją „mężowi Krystowi, odmówił, a potem za pośrednictwem wielkich pieniędzy nabywszy i o rozwód postarawszy się (...) za żonę pojął". Z tego związku pochodziła urodzona na dwa lata przed ślubem, a dopiero potem adoptowana słynna Anusia, która stała się przyczyną tragicznego pojedynku wojewody Adama Tarły z kasztelanicem Kazimierzem Poniatowskim.

W drugiej połowie XVIII w. mezalianse w tych sferach stają się częstsze. Annę Wyleżyńską, „pannę z niskich progów", zaślubił słynny awanturnik Jerzy Marcin Lubomirski. Bez wątpienia prawdziwa miłość stała się przyczyną szeregu mezaliansów w rodzie radziwiłłowskim. Dotyczyło to tak niewiast, jak mężczyzn tego nazwiska. Szczególne miejsce w tym poczcie należy się Teofili Radziwiłłowej, córce hetmana Michała Rybeńko i Urszuli z Wiśniowieckich (żyła w latach 1738—1811). W jej żyłach płynęła krew pierwszych rodów Rzeczypospolitej: zarówno ojciec, jak matka szczycili się pokrewieństwem z domami panującymi. Rodzice kierując się przyjętymi zwyczajami postanowili wydać córkę za któregoś z wielkich magnatów. Gdy skończyła szesnaście lat, wyprawiono zaręczyny Teofili ze starostą chełmskim Rzewuskim. Skończyło się wszakże tylko na zaręczynach: rezolutna panna oświadczyła, iż do narzeczonego nie czuje żadnej inklinacji i za mąż zań nie pójdzie. Rodzice jakoś to znieśli i próbowali z kolei nakłonić ją do zaślubienia Ignacego Paca, którego hetman, jako swego przyszłego zięcia, promował na podkanclerstwo. Księżniczka jednak i tym razem wyraziła sprzeciw i małżeństwo nie doszło do skutku. Z czasem odumarli ją rodzice (ojciec w 1762 r.) i uzyskała formalną niezależność. Jej opiekunem stał się brat, osławiony Radziwiłł Panie Kochanku. Teofila postawiła warunek iż odda swą rękę tylko mężczyźnie, którego pokocha. Narękę tylko mężczyźnie, którego pokocha. Namyślała się dość długo. Jej wybrańcem okazał się wreszcie Ignacy Morawski, przedstawiciel drobnej szlachty, oficer nadwornej husarii. Ignacy miał widać zalety, których nie posiadali dygnitarze. Był przystojny, może reprezentował i inne walory, które doceniała Teofila, dość, że córa przedniego rodu Rzeczypospolitej postanowiła poślubić pięknego oficerka. Miało to miejsce w roku słynnych zaburzeń krajowych związanych z elekcją Stanisława Augusta. W 1764 r. Radziwiłł Panie Kochanku zajęły był właśnie walką polityczną z elektem, gdy dwudziestosześcioletnia siostra padła mu do stóp prosząc go o pozwolenie oddania ręki Morawskiemu. Radziwiłł oniemiał, krążą wersje, że w odpowiedzi zaklął brzydko nie chcąc słyszeć o mezaliansie. Rezolutnej panny to jednak nie załamało, wyjechała z ukochanym do Lwowa i udała się do arcybiskupa Sierakowskiego, któremu oświadczyła iż jest w ciąży i na kolanach prosiła, „aby czym prędzej ślub był dany". Arcybiskup uwzględnił prośbę i złączył młodą parę. Fakt ten wywołał srogi gniew księcia Karola Panie Kochanku, który wystosował do siostry sążnistą epistołę, wskazującą, jak niestosowne jest to małżeństwo, jak bardzo zhańbiła ród Radziwiłłów! Pisał m in.: „Moment nieszczęśliwy, który zaplatał nierozmyślne pasyje W. Pani, oszpecił tak drogie zbiory domu mego, przyniósł wielką hańbę i nigdy nie zatartą zmazę z tak podłego złączenia, którego każde wspomnienie łzy mi z oczu wyciska". Oburzał się, że osobie „tak nikczemnej kondycji oddała honor i życie swoje", prosił też, by porzuciła męża.

Teofila nie przejęła się żalami brata, który, jak widać, demokratą, nawet w pojęciu szlacheckim, nie był. Odpowiedziała na list wcale dowcipnym wierszem, w którym zakomunikowała, iż nie widzi niczego niezwykłego w tym, iż „miłość księżniczkę" wydała za zwykłego szlachcica. Z flegmą też konstatowała:

Były Radziwiłłówny już królów matkami.
A teraz są mizernej szlachty żoneczkami.
Więcej trzeba poddanych niźli panów
w świecie.

Filuternie oświadczyła, że więcej wart jej Morawski, niźli „cap" czyli Pac, którego jej rajono.

Znamienne są dalsze losy naszej heroiny. Przy boku męża brała udział w konfederacji barskiej. Chwalił ją za to Niemcewicz widząc w niej kobietę „walczącą mężnie i na polu bitwy biorącą za męża niemajętnego, lecz walecznego młodzieńca". Zdaje się, że protekcja żony pomogła, iż Morawski awansował z czasem na generała. Uderza aktywność tej pani; w całym związku ona jest stroną inspirującą, realizującą swój plan. Morawski raczej statystuje. Widać, że nie żałowała swego wyboru, nie rozwiodła się z nim bowiem i przeżyła męża.

Jeszcze większy mezalians popełnił z miłości Mikołaj Radziwiłł (1746—1795), z linii szydłowieckiej, syn Michała i Anny Mycielskiej. Bawiąc w Warszawie, poznał Marię Gaudzicką, swą rówieśniczkę, córkę kuchmistrza wojewody ruskiego Augusta Aleksandra Czartoryskiego. Między młodymi istniała oczywiście zawrotna przepaść socjalna. Można tylko zaznaczyć, iż służący po wielkich dworach kuchmistrze należeli do specjalistów wysoko płatnych i cenionych, oraz że brat Marii, Feliks Gaudzicki był poetą, który z czasem zyskał znaczną popularność. Maria była wielce urodziwą panną, do *której umizgało się całe grono eleganckich* kawalerów. Mikołaj stanowił, przynajmniej w sensie pochodzenia, „ozdobę" tego grona, od początku wszakże postanowił, że Maria zostanie jego żoną. Dziewiętnastoletni młodzian nie mógł decydować o swym losie, musiał uzyskać pozwolenie rodziców, co, oczywiście, nie było łatwe. Na domiar wszystkiego Gaudzicka, ze względu na swą urodę i figurę, miała propozycję zostania aktorką, co w tamtych, a i późniejszych czasach dla kobiety uchodziło, jak wiemy, za zawód mocno dwuznaczny. Nic więc dziwnego, że Mikołaj sprzeciwiał się planom artystycznym i ostentacyjnie starał się o względy pięknej panny.

Cała ta sytuacja była przez pewien czas bardzo niecodzienna. Maria uważała nawet, że adoracja arystokraty odstręcza innych kawalerów i krzyżuje jej plany życiowe. W tym nastroju, bodajże z inicjatywy księcia Adama Czartoryskiego, napisała do postępowego pisma „Monitora" list, w którym kryjąc się pod inicjałami i tając nazwisko Mikołaja opisała swe perypetie. Żaliła się, że jest „obiektem komplementów i umizgów wielu kawalerów" bawiących „na pokojach" pewnego pana (to jest wojewody Czartoryskiego). Że jeden z tych kawalerów wyraźnie ją adoruje i deklaruje nawet się żenić, lecz nie posiada zgody rodziców. Autorka listu pisze, iż dawała mu poznać „różnicę stanu i majątku", prosząc równocześnie, by zaprzestał u niej wizyt. Nic to jednak nie pomogło, odpowiedział „zwyczajnym kochanków stylem", że ona jest dla niego największym dobrem i że się z nikim nie ożeni, a tylko z nią. Autorka listu żaliła się także, iż „Pan Bałamucki" nie tylko innych odstręcza, lecz nie zgadza się, by została aktorką, wymusza, by zrezygnowała z tak ciekawych projektów. List kończył się wyrzekaniem na swój los i na wielbiciela, który „łudzeniem i obietnicami zabrania mi innej do życia pomyślnego drogi".

List niczego nie rozstrzygnął, w dodatku mezaliansowi syna sprzeciwiła się stanowczo matka kawalera. W tej sytuacji Gaudzicka wyszła za mąż za niejakiego Siedleckiego. Mikołaj okazał się jednak niezmienny w swych uczuciach, po śmierci matki, która nastąpiła w 1771 roku, rozwiódł swą wybrankę i w listopadzie 1773 roku zawarł z nią ślub. Mieczysław Klimowicz, który pierwszy omawiał dzieje tej niezwykłej pary, słusznie pisze, że cała ta historia „jak z mieszczańskiego romansu XVIII wieku, tyle że z pozytywnym zakończeniem (...). To pozytywne zakończenie romansowej historii pozbawiło jednak trupę polską atrakcyjnej aktorki".

Można dodać, że z drugiej strony, dzieje miłości w dawnej Polsce wzbogaciły się o niekonwencjonalne, romantyczne wydarzenie, historię amoryczną, w której przysłowiowy Kopciuszek, córa magnackiego sługi, zostaje księżną! I w dodatku księżną Radziwiłłową. Okazuje się, że w XVIII wieku miłość potrafiła czasem sforsować, wydawałoby się, nieprzebyte bariery. Na zakończenie można dodać, iż Maria żyła przeszło dwadzieścia lat z Mikołajem, jak się zdaje, w szczęśliwym związku. Przeżyła go o jedenaście lat, zmarła 13 grudnia 1806 roku, licząc sobie około sześćdziesiątki.

Rys. Maja Berezowska